#33

2.30
2 Vols

KILKA CHWIL z WIEKU XI.

w czterech księgach, wierszem

NAPISAŁ

TOMASZ RUDNICKI.

Pan Bóg winy karze, pokuta je maże.

TOM I.

KSIĘGA I. i II.

KRAKÓW.
Nakładem Autora.
Skład główny w księgarni W. Poturalskiego w Podgórzu.
1903.

Drukiem W. Poturalskiego w Podgórzu.

WSTĘP.

Dumać o rodzinnej ziemi,
Kołysać dusze staremi
Praojców naszych pieśniami,
Krzepić ducha ich czynami,
Ich miłością ogrzać serce,
Budzić czucie po iskierce
W własnej duszy dla Ojczyzny,
Z starych mogił, z Ojców blizny
Poznać dawne dziadów lata:
Jest największem szczęściem świata!

Marzyć kornie o przeszłości,
Z niej wysnuwać nić przyszłości,
W Bożej cnocie czerpać wiarę,
Nią rozbrajać niebios karę,
Uczcić Ojców szczytne imię,
Które w dziejach karty drzymie,
Łzę uronić nad kościami
Spróchniałemi przed wiekami,
Z niemi boleć sercem brata:
Jest największem szczęściem świata!

Czerpać mądrość z dziej ojczystych,
Jedną chwilę z chwil przeczystych
Przeżyć myślą z pradziadami...
Korzyć ducha przed Mężami,
Co za wolność krew przelali,
Co w sieroctwie zapłakali
Krwawem okiem nad niedolą,
Nad nieszczęsną krwi niewolą
Swej Ojczyzny, jako dziecię:
Jest największem szczęściem w świecie!

Słuchać męża gromiącego
Przed wiekami spróchniałego,
Z Nim pokutę dzisiaj jeszcze
Czynić Bogu, słowa wieszcze
Jego pojąć i z Nim razem
Kornie klęknąć przed obrazem
Matki naszej, cnej Królowej,
I z nim błagać, by okowy
Krwawe spadły z dłoni brata:
Jest największem szczęściem świata.

P. T.

W niniejszym poemacie, skreślonym na tle bogobojnych czynów Świętego Stanisława Szczepanowskiego, a świetnej potędze Bolesława Śmiałego — nie przynoszę Ci, kochany Czytelniku, nic nowego z karty dziejów naszych, jak tylko to, co Ci od kolebki dobrze jest znanem.

Darzyć Cię zatem rzeczą nader starą jest zbyt wielką śmiałością z mej strony, albowiem przypomnieniem tejże ważę się wdzierać w święte tętno serca Twego, które wykołysane cnotą i miłością Twej ukochanej Ci Matki, w jej tylko głosie znachodzi zwierciadło duszy swojej.

I jam miał drogą, ukochaną Matkę... a Matki nasze to wszystkie są sobie siostry, wszystkie są córkami jednej naszej ukochanej Ojczyzny!... Co więc rzeknie jedna z nich, jest świętem dla nas wszystkich!

Głos więc Matki mojej, drżący po dziś dzień w sercu mojem, niech i dla Ciebie kochany Czytelniku będzie głosem Twej drogiej Ci, a całem sercem ukochanej Matki, bo choćby nawet głos Jej innem brzmiał słowem, niż niegdyś tchnął głos mej Matki, to jednak zlewa on się pełnym akordem w jednę, a nigdy nieskończoną harmoniję miłości Boga i Ojczyzny.

Pacholęciem będąc, Matka mię uczyła czcić Boga i kochać Ojczyznę... a, jak uczyła, to niech ten nader słaby przebieg mych nieudolnych myśli w tych kartach zawarty, będzie chociaż maleńkim wyrazem z Jej nauk, i niechaj Jej pamięć uświęci.

Oddając Ci zatem kochany Czytelniku drżenie serca mego, proszę Cię o braterską pobłażliwość.

Kraków w Marcu 1903.

AUTOR.

„Wieczny odpoczynek racz dać duszy Bolesława Śmiałego Panie! a światłość wiekuista niechaj Jej świeci na wieki! Amen“.

KSIĘGA PIERWSZA.

PANOWANIE.

I.

KRÓL PAN.

Na tronie Polan zasiadł syn Kaźmierza
Mnicha, Bolesław, i mieczem zamierza
Granice Polski rozciągnąć szeroko,
By tron swój wzmocnić i wznieść go wysoko
Nad inne trony.
W żelaznej więc dłoni
Trzyma rycerstwo.
Nie darmo na skroni
Dźwiga koronę, prawią w świat ziemianie.

Silny w zarządzie, a gdy wodzem stanie
Na czele wojska wraz na karki włazi
Nieprzyjaciela, i piorunem razi!

Drżą przed nim wszyscy. Drżą pany, drżą wrogi.
Dziki jest mówią, gwałtowny i srogi,
A w gniewie sroższy od głodnej wilczycy.

U niego równi biskupi, klerycy,
Kniaziowie, pany, chłopi i ziemianie...

On, tylko Panem! A czy kto w sukmanie,
Czy tam w sobolach, to mu wszystko jedno...
Tak żyje z kniaziem, jak i z szlachtą biedną.
Chłopka przygarnia jak brata do siebie,
Darzy go słowem, ratuje w potrzebie
Złotem i ziemią.

Jemu się sprzeciwić?
To lepiej węża na swych piersiach żywić,
Bowiem kark utnie!

Boga jedynego
Panem zwie swoim, a więcej nikogo
Nie zna na ziemi.

Na berło, koronę
Po Bogu baczy.

Pojął był za żonę
Wszesławę, córkę książęcia ruskiego,
Umysłu, serca nader łagodnego,
Cichą, spokojną, która dnie swe spędza
Z Matką - królową. Z rąk jej nigdy przędza
Chwilą nie zejdzie. Matka ją przytula,
Garnie do siebie, gdy biedaczka Króla
Całemi dniami na oczy nie widzi.
Matka-Królowa płacze z nią i biedzi,
W smutku ją cieszy.

Król, to pan dostojny,
Możny, wspaniały, a nad miarę hojny,
Chlebem się dzieli z każdym co chce chleba,
Każdemu pragnie sam przychylić nieba.
Znają go Niemcy, znają i Rusini,
Czesi i Węgrzy. Góry i doliny,
Chaty i dwory o szczodrobliwości
Naprzemian głoszą Króla Jego Mości!

Skarby otwiera, hojną ręką daje
Wszem i każdemu, jeźli z prośbą staje.
Nigdy nie pyta, czy dużo, czy mało...
Brać każe, byle tylko w skarbcu stało
Złota lub pereł.

Jednak wzamian żąda
W duch posłuszeństwa, a kto się ogląda
Nim rozkaz spełni, ten zginął na wieki,
By był i kniaziem.

Trza zmrużyć powieki
I ślepo słuchać. Kazał!... stać się musi...
Oporu nie zna, bo kto się pokusi
Mruknąć niechętnie, albo wtrącić słowo,
Ten swe zuchwalstwo wraz nałoży głową.

Starzy ziemianie, co pomną Chrobrego
Na dwór nie idą, nie chcą znać Szczodrego,
Bo oną szczodrość nieraz płacą drogo,
Gdy się do Króla w godzinę złowrogą
Zbliżą niebaczni.

Lecz, jak popędliwy,
Tak w swoich sądach nader sprawiedliwy.
Sądzi bez względu na stan, dostojności,
Na ród i mienie, bez żółci, bez złości
Wyrok wydaje. Ztąd go jedni chwalą,
Drudzy nie cierpią, a lud biedny falą
Na gród się ciśnie, bo tu ma poparcie,
Bo tu mu Król Pan wręcz słowem otwarcie
Obroną staje.

W wojnie tygrys srogi,
Nie spocznie, nie spi, aż wróg ugnie nogi.
Wojsko stać musi murem i żelazem,

Aż wróg się ugnie, do nóg padnie płazem
Żebrząc o życie.
Lubi on ochocze
Zabawy z winem, lubi i warkocze
Widzieć ziemianek... a, gdy się rozhula,
To bez pamięci... nie poznasz w nim Króla.

II.

NA GRODZIE.

Na grodzie Piasta ziemia drży od krzyków,
W przeróżnych strojach roje biesiadników,
Bo Niemcy. Czesi, Rusini, Węgrowie,
Zbiegi z obczyzny i książąt posłowie
Przy jednym stole zarówno z dziewkami
Siedli do misy, a brzęcząc kubkami
Jedzą i piją. Król Bolko na czele
Sam im przewodzi, sam żartuje wiele,
Sam nawet kubki próżne wraz nalewa,
Rad będąc gościom.
Wielkie stosy drzewa
Smołą i woskiem w płomień rozniecone,
A w cztery rogi ogrodu rzucone
Świecą biesiadzie.
Ogród rozłożysty
Tuż ponad Wisłą, a jak ona czysty,
Schludny, rozkoszny, cieniami wspaniały
Odwiecznych dębów, wskroś lipami biały,
Których woń miła zdala ziemian wita

I na gród prosi, i o chaty pyta
Szumem wesołym. A buki, jawory
Patrząc poważnie na pańskie obory,
Na gród wpół gontem, a wpół blachą kryty
Dumią w przeszłości.
W pośrodku ogrodu
Miejsce rozległe, a droga do grodu
Wiedzie ku niemu kwiatami sadzona.
Kwiaty tak krasne, jak krasna korona
Hożej pasterki z polnych kwiatów zwita.

Miejsce to w grodzie każdy chętnie wita,
Bo tu Król gości. Tu stoły w podkowę
Suto nakryte każdemu połowę
Z kuchni, z piwnicy Króla Jego Mości
Radeby oddać, by tylko w możności
Mógł brać ich hojność.
Na stołach wzdłuż złote
I srebrne misy podnoszą ochotę
Swemi skarbami.
Tu pieczeń gorąca
Na złotej misie, tam sarna pachnąca
Z bielutkim sosem, ów źrebięce chrapy,
A przy nich zaraz tuż niedźwiedzie łapy.
A kury, kaczki, bażanty i kszyki,
Gęsi, kapłony przedzielają szyki,
Z serów i z szynek. Po końcach podkowy
Dwie misy długie obiad ów Piastowy
Powagą swoją z chwałą zamykają
Chełpiąc się nie tem, że brzeg ztoty mają,
Lecz własną piersią. W jednej bowiem leży
Prosie pieczone, które zda się bieży
Z półmiska na stół, bowiem wzniosło nogi

Ryjkiem się śmiejąc. Z drugiej jeleń rogi
Trwożnie wychylił. Cały w knieji siedzi
Sztucznie zrobionej ze srebra i miedzi.
Biały blask srebra z różowym połyskiem
Miedzi się wiążąc oko bawi błyskiem
Coraz piękniejszym, bo płomień z ogniska
W knieję wpadając coraz liczniej ciska
Iskry złociste. Jeleń w środku siedzi,
Widzom się zdaje, że się jeszcze biedzi,
Jak zmylić tropy.
To tylko zastawa
Służąca w chwili, gdy cichnie zabawa,
Bowiem pachołki inne dania noszą
Do koła stołu, i wraz z Królem proszą,
By brać do woli.
Idą więc ozory,
Flaki, wędliny, tuż za nimi skory
Dzik postępuje... po nim baranina
Z żółciutką marchwią, po niej cielęcina
Z słodkiemi śliwy, a dalej zające,
Łosie, daniele, tuż zrazy gorące,
Słomki, bażanty, kaczki, kuropatwy,
Kury, kwiczoły... a wpośród tej dziatwy
Gęś z jabłkiem kroczy... po niej wołowina
Rożnem przebita, wreszcie wieprzowina
Z kwaśną kapustą, którą wszelki łyka
Prawie z chciwością, bo ona zamyka
Podanie stołu.
Teraz hulaj duszo...
Obiad się skończył... do kielicha muszą!
Król Pan sam wstaje, i by pito wzywa:
Dalejno bracia! — i już ręką kiwa
Na podczaszego. Ten niesie puhary.

Konwie... a dzbany bez dna i bez miary!
Król pełnić każe:
„Żywo moi mili!
Pijmy ochoczo... gdy nie będziem żyli
Pić przestaniemy... w grobież i Królowi
Nikt miodu nie da... pij bracie nie powie“.

Król siedzi w środku rozległej podkowy,
Za nim Żelisław, kasztelan służbowy,
Czeka rozkazów. Naprzeciwko króla
Usiadł staruszek i w płaszcz się otula.
To stary Leszko, druch Króla Chrobrego,
Który na pamięć Pana mu drogiego
Został na grodzie.
Jastrzębcem był z rodu.
A krew swą ceniąc, pociągnął do grodu
Bratanków swoich, aby tu Ojczyźnie
Służąc, krwią swoją mogli w własnej bliźnie
Chwałą się okryć, a broniąc Korony,
Strzegąc swych dziadów prastare zagony
Ojcami byli narodu prawego,
Który czci Boga Stwórcę wszechmocnego.

Ćma tych bratanków służyła na dworze,
Lecz żaden starcu, zmiłuj Panie Boże,
Podobnym nie był.
Urwisze, psotniki,
Lenie, opoje... słowem jednem, smyki.

Gromił ich Leszko. Gdy gromił, wolnieli...
Lecz to zazwyczaj z piątku do niedzieli,
A potem swoje.
Martwił się był stary,

I nieraz wołał: . . . . .
„Oj! by mi już mary
Rychło przynieśli“.
Lecz to narzekanie
Czemże im było?... Grochówką na ścianie.

Tak też i dzisiaj. Zbilut spojrzał wkoło,
Bratanek Leszka, i począł wesoło:

„Jasio konie poił,
Kasia wodę brała...
Jaś kobzę nastroił:
Kasia zapłakała“.

Przerwał mu Leszko:
„Śpiew twój niesmak budzi,
Raczej ci rzeknę zgorszenie u ludzi
Zgrzybiałych woła. Patrz już marszczą czoło“.

Młokos nie zwarzał, lecz śpiewał wesoło:

„Jasiu moje złoto,
Matuś wie o psocie...
I wie, że i oto:
Była dziurka w płocie“.

Brat mu przerywa, nie ma cierpliwości,
I piosnkę kończy wśród śmiechów radości.

„Rzec Kasiu matusi,
Żeś się dziurką śmiała...
Że mnie dziś nie skusi:
By mię zięciem miała“.

Krzyk, śmiechy, wrzawa!... Król wesołe oczy
Zwrócił na śmiałka, i już śpiew ochoczy
Zbilut wraz z bratem naprzemian zanucił,
Tak, że się zdało, że się z bratem kłócił.

„Widzisz, żeś chodziła przez las do kościoła,
Bo płacząc piastujesz na ręce sokoła.

— Nie baj, nie pleć głupi... Sokołam złapała
Nad rzeką pod knieją, gdziem kozy pasała.

— A było ci pasać na polach szeroko,
A zdala od Jasia, o staje, o oko.

— Pasałam o staje, lecz on: dziewcze moje —
Wołał — chodź tu do mnie... a... teraz nas troje".

Król brał się w boki. Tymczasem Czech wznosi
Zdrowie sąsiadki, i by pito prosi:
„Na zdar mi pany! To ugierska pani,
Ja sem Czech możny... hołd jej składam w dani".

Śmiech huknął wkoło. Król kładł się na stole,
Pękał ze śmiechu.
„Możny sem sokole —
Parsknął ktoś naraz — za ugierską panią
Szalejesz na zdar!"
Śmiechy mowcę ranią,
Więc pięść podnosi, sierdzi się i zżyma...
Tymczasem Niemiec już za rękę trzyma
Piękną Węgierkę. Ona mu się śmieje,
Nawet nie słucha, co się z Czechem dzieje,
Bo cóż jej o to?

Tu się Rusin ściele
Do nóg Niemeczce jak robak w popiele,
Ręce jej ściska i stokroć całuje,
I wiecznie kochać... kochać obiecuje.

Rój roje wlecze przybłędów po grodzie,
Bo chleb tu smaczny, a wino po brodzie
Do świtu kapie.
Nie brak biesiadników,
A z nimi nie brak huków, wrzasków, krzyków.

Psy pod stołami ogryzają kości.
Warcząc, szczekają i o kość ząb w złości
Szczerzą na siebie. Nikt ich za obróże
Pociągnąć nie śmie, bo to pana stróże
I przyjaciele. Pan sam je tresuje,
Spi z nimi społem, a nawet całuje
Pieszcząc, by dzieci. Znają one Pana,
Zna je Pan dobrze. Nieraz one z rana
Wieść okiem noszą spuściwszy ogony:
Umykaj wszelki !... Pan gniewem rażony!
Pan gromem ciska!
Płynie strumieniami
Wino węgierskie, pachołki konwiami
W koło go noszą.
Naraz Leszko zdrowie
Króla podnosi, lecz Król jego mowie
Rączo przerywa:
„Pij miły sąsiedzie...
Żyjemy razem nie wiedząc o biedzie...
Bóg — racz nas wspierać.“
Wszyscy jednak wstali:
„Król Pan niech żyje! — krzykli i podali

Pachołkom konwie suche do kropelki,
A mówiąc ze łzą: Tak cię ziemian wszelki
Czcić, kochać winien — padli na kolana
Wołając z duszy: Boże chroń nam Pana!
Miej go w swej pieczy!“
„Daj Boże ziemianie“.
Rzekł Król wzruszony.
„Miłościwy Panie!
Życie bierz w dani“. — Rzekł Leszko ze łzami
I oczy otarł drżącemi dłoniami.
I teraz nawet, w tak uroczej chwili
Jastrzębiec Zbilut nad bratem się chyli
I coś mu szepta, a ten bryś niecnota
Czecha podmawia, by w prosięciu złota
Szukał doraźnie.
Czech złota łapczywy
Już prosię ciągnie. Prosiak gdyby żywy
Kwiknął pod nożem. Kwik Czecha przeraził,
Skoczył wylękły.
Szelma kucharz wraził
Sztuczne piszczałki, co za przyciśnieniem
Grzbietu prosięcia darły się kwiczeniem.
Śmiano się zatem, żartowano z Czecha,
Że się przestraszył kucharskiego miecha.
Gniewał się Leszko na ten żart Zbiluta,
Lecz Król łagodził i bronił filuta:

„Daj spokój stary, to żart nieszkodliwy...
Cóż, płakać mamy?“
„Panie miłościwy!
Czech się rozgniewał“.
„E, znają się oba,
To się przeproszą zanim minie doba,

Nim kur zapieje. Proś lepiej sąsiada,
By w kielich zajrzał... już żaden nie gada...
Nie lubię mruków".
Więc Leszko zachęca,
Prosi podczaszy:
„Niech waść nie wykręca
Próżno słowami... ot, kubek nalany,
Proszę wychylić... a!... na miłość pany,
A pijcież, proszę!"
Piją więc, by bele.
Język kołczeje, bełkocze i miele.
Zgiełk się podnosi.
Rusin się odgraża,
Nawet na Króla obecność nie zważa.
Sypią się klątwy. O stół pięścią biją,
A wpół ochrypli, jako wilki wyją...
Zwadliwi kłótnię słowem podżegają,
A inni spici w tył się zataczają,
Przy czem nie mogąc znaleść równowagi
Chylą się naprzód, jak na sznurze wagi
Ręką trącone.
Świst, zgiełk, krzyk i wrzawa.
Zdala myślałbyś, że to bójka krawa,
Napad Rusinów, że dzień sądny Boga,
Że to uciechy zwycięzkiego wroga,
Że zgiełk rokoszan, a nie uczta dana
W grodzie królewskim przez Króla, a Pana.

Lecz nie dziwota, skoro Król na przedzie
U góry stołu swawoli, rej wiedzie,
Gdy obok niego jakaś cudzoziemka,
Włoszka, czy Szwedka, Węgierka czy Niemka
Brat za brat siedzi.

Chmurzą się ziemianie
Mówiąc: O, to już jest Boże karanie,
Że jakaś obca niszczy pańskie mienie,
Że pańskie złoto w obce pcha plemienie,
Że ją pan sadza wyżej niż przystało,
Bo temi względy ona nader śmiało
Głos swój podnosi. Mówią, że ziemiance
Prędzej przystoi, niż jakiejś kochance
Z królem pomówić, że sam tem uwłaszcza
Swojej osobie, więcej jeszcze zwłaszcza
W chwili, gdy obcych panów podejmuje...
I z nimi o blask korony traktuje...
Boć to wstyd, hańba.
Nikt jej nie zna z rodu,
Nikt nie wie, jako przybyła do grodu
Z kim, lub też po co?
Kibić jej tak mała,
Wątła, szczuplutka, że zda się, że wstała
Co tylko z pieluch, a jednak wokoło
Źrenice rzuca, groźnie marszczy czoło
Na niechętnego. Do gorsu przypięła
Różę bielutką, a szyję ujęła
W krwawe rubiny. Włos kruczy, a długi
Płynie po kostki, gdyby deszczu strugi...
Płynie do ziemi.
Suknia jej czerwona
Gwiazdami szyta, a z pereł opona
Białą pierś kryje.
Raz się śmiechem wdzięczy
Całemu stołu, raz jak dzwonek dźwięczy
Królowi w ucho:
„Podajże mi uszko,
I słuchaj jako szepta me serduszko...

Ty!... niewdzięczniku... Ty, moje kochanie,
Ty! serca mego okrutny tyranie".

To znowu naraz dziecinna a płocha,
Bo w głos powiada, że Króla tak kocha,
Jak siebie samą. Co mówiąc udaje,
Że rzewnie płacze, poczem naraz łaje:

„Zuchwały Bolku! dziś mi ręce obie
Ściskasz aż bolą, dziś mi tu przy tobie
Lepiej niż w domu. Dziś pieścisz, całujesz,
A nawet wiecznie kochać obiecujesz...
To dziś, boś wesół, nad miarę ochoczy,
Więc i na sługę zwracasz swoje oczy
Miłością pełne... A jednak już jutro
Rzucisz mię zdradnie, jak ryś rzuca futro
Na skwarne lato. Lecz, co mi tam o to?
Smutek nagrodzi pańskiej skrzyni złoto".

Król się nie zgniewał temi wyrzutami,
Owszem poruszył z uśmiechem wąsami,
A garnąc krasnę, mówił:
„Ty źrenico,
Ty perło moja... Ty! ma czarownico...
Mamże przysięgać, że kocham, szaleję?..."

„Tak, kochasz — rzeknie — lecz skoro zadnieje,
To znać mię nie chcesz... żadnej nie chcesz mowy,
Uciekasz do swej Pani, a Królowej,
Jakbym nie żyła... Bo, coć ci twa sługa?...
Coć obca w kraju?... Nie ja, toć cię druga
Miłować będzie."
„Rzeknij, a uczynię...

Chcesz z brylantami zabrać z skarbca skrzynię ?...
Sam tu skarbniczy!“

„Nie róbże mi krzyku,
Nie o skarb Bolku, nie o skarb lubczyku...
Ja chcę Wszesławę widzieć czy wdzięczniejsza,
Czy od twej krasnej kochanki piękniejsza?
Niechaj tu przyjdzie“.

„Dla ciebie me złoto,
Co tylko pragniesz uczynię z ochotą.
Co mi Wszesława?... Hej!... tu... pokojowy!...
Daj znać Królowej, że Król jest gotowy
Widzieć ją dzisiaj, że chce biesiadować
W gronie swej żony. Tu mi ją zawołać.
Niech zaraz przyjdzie!“

Wyszedł z rozkazami
Służalec pański, jednakże z rękami
Próżnemi wraca.

„A co? gdzie Wszesława?!“

„Nie dla niej, rzekła, po nocy zabawa
Tak nieprzystojna“.

Zerwał się na nogi
Podpity Bolko.

„Nie odchodź mój drogi —
Woła na niego krasna miłośnica —
Nie odchodź drogi, z strachu drżą mi lica,
Zostań tu ze mną“,

Lecz Król już szkarłaty
Zrzucił z ramienia i pędzi w komnaty
Królowej Pani, winem upojony,
Pędzi, jak niedźwiedź oszczepem raniony.
Króla odejście sprawia zamieszanie.
Cichnie biesiada, głuchnie i wołanie.
Zamarły śpiewy i klątwy ustały.

„Gniewny był, srogi, z złości trząsł się cały...
Biedna Królowa — z trwogą wyszeptała
Zuchwała krasna — gdzieżem rozum miała!?
O, ja nieszczęsna".
Już wino nie bawi,
Bo dech zapiera... kołkiem w gardle dławi...
Już nikt nie pije.
Ten drżąc muska czoło,
Włosy poprawia, coś niby wesoło
Nucić poczyna, ale patrzy w bramę...
Chciałby być za nią.
Tamten na sąsiada
Zerka ukradkiem, powstaje i siada,
Za kubek bierze, udaje że pije,
Jednak ku wrotom wyciąga swą szyję,
Radby już zmyknąć.
Inny w mysią jamę
Wlazłby najchętniej niąby grodu bramę
Skrycie ominął, jednak kręci wąsa,
Że zuch udaje, że się zżyma, dąsa.

Nikt nic nie mówi, bo w duszy układa
Jakoby uciec.
Przemyśla i blada,
Zuchwała pani.
Wszyscy wytrzeźwieli,
Bo wszyscy w strachu o wrotach myśleli.
Pierwszy rzekł Leszko:
„Lepiej być z daleka,
W gniewie nie zważa na zasługi człeka...
Buchnął płomieniem! Z gniewu trząsł się cały,
W komnatach Pani podwoje trzaskały...
Dobre mam ucho!... Radzę więc jak mogę:

Co rychlej wszelki zabieraj się w drogę,
Ratuj sam siebie".
Na to też czekali
I po za bramą, jak cienie znikali
Wśród czarnej nocy.
Już próżny dokoła
Stół pozostaje. Biesiada wesoła
Strachem się kończy.
Widać tylko dzbany,
Konwie, puchary i obrus polany
Miodem i winem... Widać łosia rogi,
Oraz prosięcia wychylone nogi,
On sam się tylko rad z siebie uśmiecha,
Zda się, że wesół z kucharza i z miecha.

Ogień dogasza... kończy się biesiada...
Znikła i krasna, znikła jak śmierć blada.

III.

SKON LAMBERTA.

Pod one czasy, gdy Bolko panował
I swe rycerstwo w silnej trzymał dłoni,
Laskę pasterską Lambertus piastował,
I nosił mitrę biskupią na skroni.
Starzec to jednak już złamany wiekiem,
Oraz chorobą rzucony na łoże

Więcej był duchem, niżeli człowiekiem;
Duchem też patrzył w święte sprawy Boże.
Całemi dniami rozmyślał o męce
Chrystusa Pana, i Jego miłości.
Trapił się jednak, wznosił w niebo ręce
I wzywał Boga, Jego wszechmocności,
Bowiem się troszczył o swych dusz zbawienie,
O Kościół święty, o polską Koronę.
A krzyżem leżąc wołał o natchnienie:

„Panie! o Panie, Tyś moją obroną,
Natchnij mię, kogo mam przybrać do boku,
By ten mię krzepiąc w zarządzie kościoła
Cnotliwe dusze miał źrenicą w oku...
Duch mój, o Panie, ciału nie podoła...
Starość go ciśnie... a choroba gniecie".

I Bóg go natchnął z Swej wielkiej miłości,
Że był upatrzył młodzieńca na świecie
Ze złotem sercem, ziemiana kość z kości,
A syna Stanka, pana Szczepanowa,
Znanego wokół z wielkiej pobożności,
Oraz, że syna jedynaka chowa
Ku chwale Bożej.

Lambert więc w cichości
Bogu dziękuje... składa drżące ręce...
Prosi młodzieńca:

„Weź kościół w opiekę...
Bóg mi cię zesłał... ulżyj mojej męce,
Wspieraj mię starca, nad grobem kalekę."

W pokorze Stanko bierze ster kościoła,

A Lambert klęcząc niebiosom dziękuje,
I jakby dziecko i płacze i woła:

„Dzięki Ci Panie, że Stanko piastuje
Ster chwały Twojej.“
Mało już się z łoża
Starzec podnosi, by modły odprawiać
W swojej katedrze. Łaska jednak Boża
Ciało mu krzepi, gdy się za lud wstawić
Pragnie do Boga, w uroczyste święta,
Lub gdy przeżegnać pragnie naród, Króla,
Jako i możne pany i książęta.

Lud wtenczas spieszy, jak pszczoła do ula
Tłumnie na zamek, pada na kolana,
Bije się w piersi i modły gorące
Śle do stóp tronu Stworzyciela Pana.
On zwiędłe lica wiarą jaśniejące
Wznosi ku niebu, a w końcu pacierza
Zwraca się w kościół i Króla, ziemiauy,
Drżąc,. błogosławi.
Lud zbożny pasterza
Miłuje swego, i jest mu oddany
Duszą i sercem.
W tej świętej czynności
Wspiera go kanclerz, Stanisław imienia,
Zwan Szczepanowski, który z pobożności,
Oraz i wielkich nauk i cnót mienia
Znany jest światu.
Nieodstępni byli
Lambert i Stanko. Razem do kościoła
Szli żebrać Boga. W jednej celi żyli,
I jedna dusza jaśniała im z czoła.

Lud ich miłował, bo codzień pasterza,
Swego gołąbka, staruszka drogiego,
Tuż zawsze widział przy boku kanclerza,
Który go wspierał, jak ojca własnego.

Stanisław Stanko — Boga w sercu chowa —
Mąż wielkiej wiedzy, cnotliwy i prawy,
Chcąc mnichem zostać przybył do Krakowa,
Lecz tu na prośby biskupa wziął sprawy
Kościoła w rękę, wziął suknię świeckiego
Kapłana, stał się radą i pomocą
Starcu nad grobem, a ciszący chorego
Modlił się za lud całym dniem i nocą.

Znali go wszyscy, z wiedzy szanowali,
Znał go Król Bolko i cenił wysoko,
Znali panowie i wielcy i mali,
Znał go lud biedny i czcił go głęboko.
Lambert go kochał jak syna, jak brata.
Kanclerz staruszka jak ojca miłował,
I w tej miłości pragnął służyć lata,
Bowiem z radością za starca pracował.

Lecz wtem Lambertus na zdrowiu zapada...
Wreszcie już z łoża nie powstaje więcej,
Czasami tylko do modlitwy siada
Wsparty w poduszki, i coraz goręcej
O wyzwolenie błaga Stwórcy nieba.

O śmierć niechybną, chociaż wolno kroczy,
Nigdy nam o nią żebrać nie potrzeba...
Sama przybywa, i zamyka oczy
Tak starcu, dziecku, jak i młodzieńcowi.

Ona nie pyta, nawet i nie zważa,
Gdy i w koronie Króla narodowi
Bierze, jak swego. Ona się nie zraża
Wziąść ojca, matkę i rzucić sierotą
Drobną dziecinę.
I tu już na progu
Stanęła z kosą i spieszy z ochotą,
By jak najprędzej oddać w ręce Bogu
Duszę cnotliwą.
Kanclerz Szczepanowski
Modły odprawia, a chociaż tak młody
Oblicze jego od smutku i troski
Zmarszczką zorane, i blade jagody.
Z całego serca z całej mocy duszy
Cieszy słowami, służy i ratuje.
Krokiem się nawet od łoża nie ruszy,
I jakby lekarz ciało opatruje.

Ciszę w komnacie i pacierz kanclerza
Przerywa oddech krótki, urywany
Konającego, a Ojca Pasterza
Ludu polskiego.
Wtem w komnaty ściany
Przedarł się dzwonek.
„To pewnie z klasztoru —
Wyszeptał biskup, i gasnące oczy
Ku drzwiom obrócił — z niebieskiego dworu
Pan do mnie idzie... Jakąż jasność toczy...
Panie, o Panie! jam sługa niegodny,
Byś Ty z niebiosów schodził w progi moje...
Tyś jednak Panie na grzechy łagodny
I pobłażliwy... Święte Imię Twoje.“

I płacz się podniósł. Z izby ustąpiono...
Wszedł Bóg, Pan niebios. I ze spowiednikiem
Korzy się kapłan i mówi wzruszony:

„Czystyś jak dziecię. Bóg ukrzyżowany
Patrzy w twe serce, a choć Krew z Korony
Jego ci niosę... Bóg nie czuje rany,
Boś Mu był sługą wiernym, cichym, zbożnym...
Pan ci się śmieje... Pan ci rozgrzeszenie
Zsyła przeze mnie.
To mówiąc ostrożnym
Dźwigał go ruchem.
A, gdy namaszczenie
Ostatnie składał... dzwonek cichym głosem
Dał znać strwożonym, którzy w progu stali,
Że Boga przyjął.
Chory siwym włosem
Świecił, jak święty.
Wszedłszy, poklękali
Rzewne łzy roniąc.
Gasnący wzniósł oczy
I cicho szeptał z księdzem spowiednikiem,
Który go cieszył. Wreszcie:
„Śmierć już kroczy —
Rzekłszy, podniósl się. — Z księdzem kanonikiem,
Cnym Stanisławem mówić jeszcze pragnę.
O, zbliż się synu nim zapadną oczy
Moje na wieki... Może ja cię nagnę
Ku prośbie mojej. Śmierć już raźno kroczy,
Już, tuż, nad głową.“
Drżący blask gromnicy
Oświecał łoże. Stanisław powoli
Podszedł ku starcu z krwawą łzą w źrenicy,

I ujął rękę według jego woli,
I do ust cisnął.

„Tyś mię, jako ojca
Sercem ukochał. tyś mię aż do końca
Żywota mego wspierał radą, czynem;
Dzięki ci za to na łożu boleści
Składam żegnając się z tobą jak synem
Moim najmilszym. Serce me się pieści
Tą słodką myślą, że w silniejsze ręce
Władza pasterska złożoną zostanie,
Niż były moje. Ulżyj mojej męce
Mój Stanisławie, złagódź me konanie,
I rzeknij starcu co nad grobem stoi,
Że ty w opiekę weźmiesz naszych braci
I Kościół święty. Mój duch się ukoi,
Serce me ścichnie, wiara się zbogaci,
Bo chwała Bogu zakwitnie łaskami
Pod twemi rządy, twojemi cnotami.“

„Jam jest niegodny, za młody, bezsilny —
Odparł Stanisław — Bóg wam jeszcze raczy
Zdrowie powrócić.“

„O, już nieomylny
Pochód wieczysty, śmierć wysłana, znaczy...
Dziś jeszcze stanę za bramą wieczności,
I tam u tronu żebrać będę Pana,
By ci tę siłę nadał z Swej miłości,
Jaka Piotrowi była w ręce dana.“

A na poduszki dźwignąwszy się cały,
Do kanoników klęczących u łoża
Wyrzekł ze łzami:

„By spory ustały
Podczas wyboru, niech was łaska Boża
Światłością wesprze, ażebyście zgodnie
Szczepanowskiego następcą wybrali,
Aby wasz wybór przeszedł tak łagodnie,
Jak blask księżyca po srebrzystej fali,
Który muskając źwierciadło promieniem
W błękit przejrzysty jego lica wznosi.
Wybór niech padnie godnie ze sumieniem,
Oto was pasterz konający prosi.“

Upadł na łoże wysilony mową.
Psalmy powtarza ustami drżącemi,
I żegna braci...
Raz ostatni głową
Skinął i westchnął słowy gorącemi,
I zasnął w Bogu.
I leży cichutki
Z słodkim uśmiechem, a taki bielutki,
Jako on święty opłateczek Boży;
Włoski mu tylko srebrzeją od zorzy
I blasku słońca jasno wschodzącego,
Które promieniem nad łożem zmarłego
Drży złotem światłem.
Z słońcem błysnął ranek...
A kniaź kościoła, narodu kochanek,
Biskup staruszek zasunął powieki...
Usnął snem twardym na ziemi na wieki,
Aby tam ożyć u stóp tronu Pana,
Który z miłości od nocy do rana
Chowa nas w pieczy, który nas w dzień, w nocy
Strzeże od przygód, a który w Swej mocy
Dzierży wszechświaty.

Lament się podnosi...
Dzwon katedralny skon Lamberta głosi...

Bieży lud z płaczem i pasterza chowa,
Który lat dziesięć przodował mu w wierze,
Który dlań zawsze miał pociechy słowa.
Idzie za trumną i mówi pacierze,
A płacząc cicho szepta o przyszłości:
Kto go prowadzić, kto kierować będzie
Jego sumieniem, kto z Bożej miłości
Jako Namiestnik na tronie zasiędzie.

Szepta z bojaźnią, przypomina sobie:
Niezgody dawne w tej żałosnej dobie,
Spór kapituły, jaki przy wyborze
Biskupów bywał.
„O, wesprzyj nas Boże!
Dwa lat katedra pasterza nie miała
Zanim Lamberta na tron powołała
Cna kapituła. Dziś udziel jej mocy,
Daj jej, o Panie, anielskie natchnienie,
By jednogłośnie przy Twojej pomocy
Obrała męża, który o zbawienie
Naszego ducha będzie miał staranie.
O, usłysz Panie dzieci Twych wołanie.“

IV.

WYBÓR PASTERZA.

Dzwon katedralny miastu oznajmuje
Radośnym dźwiękiem, że dziś kapituła
W kościele Bożym publicznie głosuje:
Komu ojcowska ma przypaść infuła.

„Veni Creator“ najstarszy z jej łona
Zanucił z płaczem. Bracia rozrzewnieni
Uklękli kołem. Śpiew powoli kona...
Wstają i wszyscy łaską Bożą tchnieni
Zgodnie głosują na Szczepanowskiego,
Z grona swojego wiekiem najmłodszego
Brata w zakonie, słynnego miłością.

Wybór ogłasza z serdeczną radością
Dziekan katedry. Wesołość lud wkoło
Głosi okrzykiem i Bogu wesoło
„Te Deum“ śpiewa, zasyłając dzięki
Wraz z duchowieństwem.

„Z Boga ojca ręki
Przyjmij nad nami bracie Stanisławie
Władzę pasterską — rzekł dziekan wzruszony —
Przyjmij, służ wiernie przenajświętszej sprawie,
A Bóg użyczy, że zbierzesz łask plony
I cześć współbraci.“

„Bracia moi mili,
Jam jest niegodny — rzekł Stanko ze łzami —
Jam jest niegodny, tu pasterze byli

W wieku powagi, bogaci cnotami,
Jam robak tylko,“
„Stanko, bracie miły —
Odparł mu dziekan, gołąbeczek siwy —
I ja pracuję, choć już gasną siły.
Bóg ci da łaskę, Bóg, Pan nasz prawdziwy,
Że silnym staniesz.“
„Władza zbyt to wielka...
Złóżcie ją w ręce możniejsze, godniejsze“.

„Bracie mój w Bogu, tu pokora wszelka
Grzechem się zowie. Myśli w nas dzisiejsze
Zgodne w wyborze: Wolę Boga znaczą.
Przyjmij pasterstwo, bądź nam ojcem wiary.
Przyjmij, o przyjmij... twoi bracia płaczą
Żebrząc twej pieczy.“
I gołąbek stary,
Dziekan katedry, upadł na kolana
Wraz z braćmi swymi.
„Głos do ciebie Pana
Przez usta nasze woła Stanisławie:
Służ wiernie mojej i kościoła sprawie,
Przyjmij opiekę nad dziećmi moimi,
Którzy cię proszą sercami drżącymi.“

„Przyjmij, o przyjmij! — lud ze łzami woła —
Przyjmij, o przyjmij! Bóg w tobie anioła
Zesłać nam raczył“.
I płacz się dokoła
Podniósł wśród ludu: „Nie puścim z kościoła!
Tyś naszym Ojcem! tyś naszym aniołem;“
I Stanisława otoczyli kołem,
Całując stopy.

„Nie opuszczaj dzieci,
Przez ciebie łaska Boża nam żaświeci...
Przyjmij pasterstwo!“
„Niech się Twoja wola
Stanie o, Panie — rzekł łkając mąż Boży —
Niechaj ta żyzna: wiarą świętą rola
Kwiat sypie łaski: niechaj owoc złoży
Miłości bratniej... Przyjmuję w pokorze
Wolę Twą świętą wiekuisty Boże“.
Rzekłszy padł krzyżem na ziemię wzruszony.

„Dzięki Ci Stwórco, Boże utajony —
Lud wołał z płaczem — dzięki z serc składamy,
Że Stanisława swym pasterzem mamy.“

V.

W CHACIE.

Ledwie jutrzenka na niebie pobladła,
Już wonna rosa na łąkach osiadła
I perłą błyszy, brylantami sieje
Tak, że się zdaje, że to przez nią dnieje,
Że ona blaski, nie zorza roztacza,
Że ona ziemi czas pracy oznacza.

Tysiąc brylantów w tysiąckrotnej barwie
Błyszczy na każdej na najmniejszej trawie,

Na każdym listku, na listka rąbeczku
I na ząbeczku. Na każdym kwiateczku
Błyszczy brylancik tak cudnej światłości,
Że przed nim gwiazdy gasną ze zazdrości.
Morze brylantów w złotem świetle zorzy
Zalewa blaskiem cały świat ten Boży.
Raz go szafirem pokrywa dokoła,
Drugi raz znowu z każdej trawki, z sioła
Bijąc rubinem mieni go w płomienie,
Raczej w tysiączne iskiereczek drżenie.
A każda iskra żar ognisty toczy
Tak, że się zdaje, że wypali oczy.

Teraz to wszechmoc niepojęta Boża
Budzi słoneczko z złocistego łoża,
I znać mu daje, że już są podane
Bieluchne perły rubinem przelane,
Że już topazy, szmaragdy, turkusy
Wabiąc motyle budzą w nich pokusy,
By one na nich skrzydełkami siadły,
I słońcu panu brylanty wyjadły.

Więc słońce wolno z pościeli powstaje,
Zrzuca jedwabie i przez bory, gaje
Promieniem wchodzi na łąkę kwiecistą,
I pije chciwie z ziół rosę perlistą.
Pije i pije, a im więcej pije
Tem więcej pragnie, bowiem rosą żyje,
Jej tchem jaśnieje.
I już pokraśniało,
I już się złotym promieniem rozśmiało
Łąkom i polom, dolinom i górom,
Borom i lasom i na niebie chmurom.

I coraz więcej tak się życiem śmieje,
Że i nie widzi jak na ziemi dnieje,
Jako się budzą kosy i skowronki,
I pieśń zawodzą do świętej Patronki
Maryi, Matki, co wszech rany chłodzi,
I wszech stworzenie z wolą Boga godzi.
Może nie słyszy? lub może udaje,
Lecz coraz wyżej po nad góry staje,
I całe wokół połączone sioła
Do pracy dziennej, i czci Boga woła.

I w Bużeninie, we włości Mścisława,
Ziemiana z rodu, a z dziedzictwa prawa
Pana i ojca całego wszech sioła
Już wszyscy w pracy. Każdy ile zdoła
Pragnie wyprzedzić również mu pilnego,
Bowiem z nich każdy pana im drogiego
Kocha nad życie. Ten więc już zaprzęga
Konie do wozu, tamten za pług sięga,
Ów brony czyści, a ten tu już znosi
Wory z nasieniem.
„Pomału — pan prosi —
Słoneczczko jeszcze nie wyszło z za góry,
Powoli chłopcy uszkodzi się który".

„Panie nasz miły już rosa opadła...
Czas w pole ruszać, już na ziemię siadła,
Już ją słoneczko do kropli wypiło...
Słonko się dawno z za gór wychyliło"

„Bóg z wami dzieci, Bóg z wami... bywajcie...
Ja do was wyjdę, w pracy się wspierajcie".

I wozy, pługi ruszyły z obory.
Za nimi bydło na łąki i bory.

Tymczasem słońce pozłacając chmury
Cięło promieniem pagórki i góry.
Na górach lasy w grupy ustawiało,
A każdą grupę z osobna ciosało:
Tu w dęby, w sosny, tam w jodły i świerki,
Zrazu jak cieśla zgrubsza od siekierki,
Potem powoli jako snycerz ryło
Konary dębów, a w końcu rzeźbiło
Listek za listkiem, a w listku żyłeczki,
Jak również w sosnach drobne igiełeczki.
Wreszcie spoczęło.
Patrzy, czy już skacze
Zając po polu? czy suną rogacze,
Łosie, daniele czarnemi lasami
Z swemi smukłemi, wiernemi sarnami?
Patrzy i w stawy, czy już złota łuska
Gnuśnego karpia o zwierciadło pluska
Srebrzystej wody?
I tak patrzy w gaje,
W bory i w knieje... i nie poprzestaje
Budzić do życia wszech stworzenia Boże;
Bo czy go lasy, czy bezdenne morze
Kryje w swem łonie, wstać do pracy musi.
Żadne stworzenie ani się pokusi
Sprzeciwić woli, rozkazowi słońca;
Rozkaz ten bowiem jest po koniec końca
Świata tu tego wolą Stwórcy Pana,
Którego wszechmoc, ani światu znana,
Ani pojęta!
Widzi więc jak woły
Ciągną swe jarzmo po za bróg, stodoły
Z ochoczym rykiem. Widzi, że już konie
Wraz z pasterzami ruszyły na błonie

Z wesołem rżeniem. Spogląda na chaty
Jak ul maleńkie i na dwór bogaty
Wielkością swoją. Wszystkim równo świeci
Chatom i dworom, bo w nich jedne dzieci,
Jednego Boga mieszkają w cichości
W zgodzie, w spokoju, w wzajemnej miłości.

Dom w Bużeninie był długim, szerokim
W ogród wchodzącym, równym czworobokiem.
Gontem był kryty z licznemi oknami
I z szerokiemi aż trzema bramami.

W bramie od wschodu mieszkał Mścisław z żoną
I z starą matką. Część ta murowaną
Z kamienia była.
Część druga środkowa
O wiele niższa, lecz cała dębowa,
Mieściła w sobie posługę domową,
Była niejako po kądzieli głową
Całego domu. Tuż to gospodyni
Sery i masło, i chleb żytni czyni,
I tu ma składy, kuchnie i mleczarnie,
W sklepach zapasy, rozliczne śpiżarnie...
Ba! i piwnice stoją pod jej okiem...
Tu ona rządzi i słowem i wzrokiem,
Raczej króluje. Tu służebne mają
Swoją świetlicę, w której to sypiają
Wraz z gospodynią. Tu parobka noga,
Ani nie trąci o podnóże proga.

Część trzecia z modrzewia stawiana
Była w usługi dla gości oddana.
Liczne jej izby na zachód rzucone
Szeroką sienią były połączone

Z mieszkaniem wschodnim. Tym prostym rozkładem
Wszystko w porządku szło z największym ładem,
Albowiem służba w środku umieszczona,
Na obie strony mogła być rzucona
Jednym rozkazem.

Stare to już było
Domostwo całe, jednak w nim się żyło
Gdyby w pałacu, lub w królewskim grodzie,
Bo każdy myślał o Bogu i zgodzie.

Pan kochał sługi, sługi czciły pana,
Jak ojca swego. Pani zaś wylana
Dla swych służebnic, by anioł dobroci
Drobne usterki z uśmiechem łagodzi,
Zwłaszcza, że matka wspiera ją w potrzebie,
Bowiem ją kocha jak syna, jak siebie.

Jakoby kwiaty naokoło wieńca
Dęby i lipy stoją wśród dziedzińca.
Dziedziniec duży, więcej kroków trzysta
Wzdłuż i w szerokość, w nim droga kolista
Przed chatę wiedzie, tak, że gdy wjechawszy
Bramą w dziedziniec, wcale nie zwracawszy
W tęż bramę wróci, względnie w stajnie wjedzie,
Gdzie niema mowy dla koni o biedzie.

Po za domostwem ogród jarzynowy,
W jednej połowie, w drugiej owocowy,
Aż się ku polom i ku łące ciągnie
Długi, szeroki. W nim się zając lęgnie
O się bezpieczny, bo go tu nie szuka
Żadna łowiecka na świecie nauka.

On tu bez troski, jak każdy w tym dworze,
Jego tu strzeże święte imię Boże.

Mścisław obchodząc dziedziniec do koła
Zaledwie tylko rad udzielać zdoła
Służbie zajętej w spichrzach, w brogu w stajni,
Bo już na niego oczekują gajni,
Polowi, leśni i o rozkaz proszą
Na przyszły tydzień, oraz wieść przynoszą,
Że pełno zwierza po łąkach i rolach,
Po gajach lasach, po kniejach i polach.

Słucha ich Mścisław, rozkazy wydaje,
Tu chwali, radzi, tam gani i łaje.
Każdy z nich zważa, każde słowo pilnie,
Bo każdy pragnie spełnić nieomylnie
Rozkazy pańskie. Wtem:
„Mścisław!... Mścisławie".
Słyszeć się daje tuż obok, tuż prawie.
Zwrócił się Mścisław,
„O, matuś!... matula!"

„Dawno Już matuś szuka swego króla,
A i Krystyna".
To mówiąc gładziła
Matka, Mścisława. Służba się skłoniła
Do kolan pani.
„Bywajcie, Bóg z wami.
Co w domu słychać, co z dziećmi, z żonami?"

„Zdrowi, Bóg nagródź!"
„Bywajcie, bywajcie,
A mnie się starej modlić pomagajcie,

Bym niezadługo wnuka oglądała,
Do was się jeszcze z wnukiem uśmiechała".

„I my pragniemy!"
„Ej! matuś... matulu"...

„Nie łajaj starej, mój synu, mój królu.
Bywajcie z Bogiem. Chodźmy, Krysta czeka
Z ranną polewką i pewnie narzeka,
Że nas nie widać".
I ku starej chacie
Razem ruszyli.
„Zawsze jedno macie
Na ustach matko".
„A, jedno i jedno...
Wnukiem pocieszysz moją starość biedną.
Modlę się we dnie, modlę w nocy Bogu".

„Ciszej matulu, bo Krysta na progu
Usłyszeć może".
„A, niechaj usłyszy,
Że w starej chacie, w starej ojców ciszy
Weselej będzie. O, dajcie mi wnuka,
Bo w chacie ciężko, że nikt nie zastuka
Do drzwi u progu".
Krysta zapłonęła,
Matka jej kosy w drżącą dłoń ujęła
I na ramiona Mścisława rzuciła,
I jako dziecię, dzieciom się miliła.

Bo też to była para urodziwa:
Ona i smukła, i jak sarna żywa
Z czarnemi oczy, z długiemi rzęsami,

A jak śnieg biały z bielszemi ząbkami.
Usta jej małe, jak róża rumianne,
Gdy się rozśmieją zda się, że poranne
Zorze z snu budzą.
On silny, olbrzymi
Z ognistem okiem, z wąsami długimi
I krętą brodą, śniady, ogorzały,
Z czołem wysokiem na którem zorały
Rozliczne burze męstwo i roztropność
Studząc zarazem młodzieńczą pochopność.
Patrząc nań matka kryła łzę w źrenicy.

„Matuś! matulu, chodźmy do świetlicy —
Rzekła cichutko nadobna Krystyną —
Tam na Mścisława wygląda Maryna,
Chce go pożegnać, wam ścisnąć kolana".

Zaledwie weszli przypadła spłakana
Marya do nóg Mścisława i matki,
I:
„Bóg wam nagrodź, iżeście do chatki
Chorą przyjęli". Wołała z wdzięcznością.

„Nie macie za co — odrzekła z miłością
Żona Mścisława— to powinność była".

„O, gdyby nie wy, jużbym i nie żyła.
Wy pani dobra, wyście przytulili
Chorą w swej chacie, wyście opatrzyli
Zbolałą nogę, niech wam Bóg nagrodzi!
Cierpienia wszelkie niechaj wam łagodzi,
Strzeże w przygodzie".
„Bywajcie, bywajcie...

Bóg z wami stara. O nas pamiętajcie
W pacierzu swoim".
I wyszła Maryna
Ze łzą wzruszenia. Nadobna Krystyna
Męża objęła. On jej gładził lica,
A mówiąc słodko:
„Droższaś niż źrenica
Oka mi mego — przytulał Krystynę
Do piersi swojej — Twą dobrocią słynę...
Ty! moja Krysto... o! ty mój klejnocie,
Ty! szczęście moje. Przez cię chata w cnocie
Żyje czcząc Boga. Serce me się pieści
I chlubi tobą. — Przebyła boleści
Biedna Maryna, i dziś z twej dobroci
Zdrowo odchodzi. — Twą cnotą się złoci
Dom ojców moich. Tyś mi życie moje,
Tyś wszystko moje!"
Taką to oboje
Miłością dla się płonęli szczęśliwi
W chacie szlacheckiej młodzi i cnotliwi
Na Bużeninie państwo Mścisławowie.
On radby niebo w każdem niemal słowie
Przychylić miłej. Ona i nie śmiała
O nic się pytać, bo czytać wolała
Z ócz męża pana, z lic ukochanego
Życzenie jego, z serca jej szczerego.

Tak szczęście z cnotą rosło w oczach matki
W ścianach zgrzybiałych po pradziadach chatki,
On ją piastował, ona go wielbiła,
A matka stara ich miłością żyła.

„Wnuka mi dajcie, bym kądziel przestała

Prząść po za piecem. Jam cię kołysała
Do snu Mścisławie, wnuka pokołyszę...
Wnuka mi dajcie".
Tak miłości ciszę
Stare matczysko w chacie przerywało.

„Wnucze mi dajcie będzie szczebiotało.
A, gdy już mamo i tato zawoła,
To i tęsknota spadnie babci z czoła".

To mówiąc macierz słodko się rozśmiała,
Poczem szeptała:
„Będę kołysała,
Będę mu śpiewać, baśnie opowiadać,
I z nim w ogrodzie w cieniu lipy siadać".

Naraz zamilkła, zdaje się, że duma
Kogo ma kazać zaprosić za kuma,
Bo na podołku ręce założyła
I zwiędłe czoło zmarszczkami okryła.
Naraz się jednak z zadumy ocknęła,
I ze łzą w oku radośnie szepnęła:

„A może wnuczkę, Bóg ześle w pociechę
Pod tę starością przygniecioną strzechę?
To wołać będę: Mój mały koteczku,
I prząść nauczę na kołowroteczku.
Pierwsze kurczątka i pierwsze króliki
Tu jej przywiodę. A róże gwoździki,
Astry, rezedy, kąkole, bławatki
Sama jej zniosę pod strzechę do chatki.
Z kolan mi nigdy nie zejdzie, nie zsiądzie,
Bo jej babula piosnki śpiewać będzie".

Słów tych słuchając Krystyna płonęła,
A pełna szczęścia bliżej się cisnęła
Do boku męża, przysłoniwszy oczy.

„Wnucze mi dajcie, a radość otoczy
Chatę zgrzybiałą.
Tem życzeniem tchnęło
Serce macierzy, niem szczęście płynęło
W ziemiana progi, które dziś niebogę,
Biedną żebraczkę, co złamała nogę
Zdrowo żegnały chwaląc z cnót Krystynę,
Chwaląc Mścisława, że biedną Marynę
W opiekę wzięli, jej się zlitowali,
I nad jej zdrowiem nocami czuwali.

Chata ta stara z dziadów i pradziadów
W wielkiej miłości była u sąsiadów;
W całej ją Polsce z gościnności znano...
Do niej się w wszelkiej potrzebie zbierano.
A, jak dziś babka wnuka wyglądała,
Tak się wnuczęciu polska uśmiechała.

IV.

W GOŚCINIE.

„Czołem waszmościom moim, czołem!“
„Czołem!“
„Prosimy w chatę — rzekł okiem wesołem
Mścisław ziemianin, pan na Bużeninie —
Nikt mej ubogiej chaty nie pominie“.

Kłaniał się nizko i gorąco błagał,
I z konia gościom zsiadać dopomagał.
Czterech ich było. Najstarszy z nich rudy,
Ospą zdziobany, a jak szczypa chudy,
Z szpiczastym nosem, niespokojnem okiem
Rzucając w koło kłaniał się, i krokiem
Wyprzedzał braci.
W sieni domu stała
Żona Mścisława i gości witała.

„Bracia Jastrzębcy, druchy Króla Mości!“

„Witam serdecznie. Witam miłych gości.
Zaszczyt to wielki widzieć w niskiej chacie
Tak zacnych panów“.
„Tak słodko witacie —
Rzecze jej rudy — że człek i języka
Nie pomni w gardle. Rzadko się spotyka
Taką gościnność. Nam to zaszczyt czyni,
Że nam niegodnym w oczko gospodyni
Wolno jest spojrzeć“.
„Żarty?... żarty wolne...
A nadmiar łaski“.
„Usta me nie godne
Wdzięczność wyrazić. Na koniu grzeczności
Wiele człek zabył tłukąc światem kości;
Na koniu i mowa szorstkości nabrała“

Weszli w świetlicę. Izba była cała
Zbroją przybrana. Wisiały szyszaki,
Pancerze, hełmy, topory i haki,
Włócznie, oszczepy, a na środku ściany
Pomiędzy zbroją Bóg ukrzyżowany.

Sprzęty dębowe. Ławy do około
Czysto pomyte. U pułapu zioła
W snop powiązane.
Ogień na kominie
Błyska wesoło, przy nim macierz drzemie,
Matka Mścisława.
„Matko! mamy gości —
Woła gospodarz — druchy Króla Mości“.

„Z Bogiem witamy, gość w domu, Bóg w domu.
Siadajcie proszę, gdzie i jak tam komu
Zda się wygodniej“.
Wzdłuż stołu więc siedli,
I z starym miodem chleb gościnny jedli
Gwarząc wesoło.
„A czyi synowie? —
Pyta się matka. — Zda się mi po mowie,
Że z Jakuszowic“.
„Mszczujowi z Odala“.

„Krzepki dziad Odal?“
„My dawno już z dala
Od progu dziada“.
„A Mszczuj, druch mój stary,
Ojciec wasz, zdrówże?“
„Już złożon na mary“...
Westchnęła stara:
„Wieczne spoczywanie —
Szepła po cichu — o racz mu dać Panie“.
„Na wieki wieków“. Dokończyła Krysta
Ręce złożywszy, a łza żalem czysta
Błysła w jej oku.

Chwilę tak milczeli,
Zda się, że goście, gdy ojca wspomnieli
Radość zabyli... Miód... już urok traci...
Żaden nie pije.
„A wielu was braci?“ —
Patrząc ciekawie zwolna matka pyta,
A za pytaniem już odpowiedź chwyta
Kończąc swe zdanie — „Wiedzieć nie zawadzi“.
Odparł jej starszy:
„Sześciu nas prowadzi
Ród z ojca Mszczuja. Ja, Bożywoj zwany,
Po mnie Odolaj, tak jak dziad wołany,
Jest Jędrek, Paweł, Zema i ten Zbilut,
Przez Króla nazwan żartobliwie filut“.

„To niby psotnik!“ — Krysta zawołała,
I już, jak ptasze, rozkosznie się śmiała.
Ogólna radość.
„Ej, bo też i Zbilut —
Trącił Bożywoj — słusznie nazwan filut“.

„Nie plótłbyś darmo — rzekł Zbilut — człek żyje,
A, że mym żartem czasem Król ożyje,
To tyle szczęścia. Wy się nie troskacie
Co Pana gniecie. Wszak nieraz i w chacie
Łza duszę truje, a tam... tam na grodzie...
Znój cięższy Panu... Weselsze więc słowo
Uśmiech mu woła“.
Rzekłszy twierdził głową.
Milczeli wszyscy. Ciszę mać przerwała:
„Byłam ja nawet, i biskupa znała,
Jana Jastrzębca“.

„To stryj nasz wielebny,
Dziś na Wrocławiu. Zaszczyt to podchlebny,
Że go pomnicie“.

„O, kapłan wzorowy —
Odparła macierz — lecz również surowy,
Jako dziad Odal. O, znam ja Odala,
Znam z mej młodości, choć rodzic mój z dala
Miał włość od niego. Co raz rzekł... stało się...
Gości zatrzymać?!... łamał koła, osie...
Nie puścił z domu. Bywało... bywało...
Lecz stać mu hardo, lub do oczu śmiało...
Chroń Boże człeka!“

„O, pomnę ja dziada:
Płomień na dachu!“ Rzekł wnuk Odala.
„Da!...
Biada!... onemu!... Lecz dzieci na ludzi
Z chwałą wychował. Sam z nich grzeszne chuci
Z korzeniem targał... Lecz to stare dzieje,
Co mówić o nich? Wam się młodość śmieje,
Prawcież wy zatem: o Królu.. o dworze“.

„Król, to Pan łaski, choć dziki jak morze —
Rzecze więc Zbilut — hojny i wspaniały,
Ojciec ubogich, żołnierz w boju śmiały,
Nieustraszony!“

„Tak, tak powiadają —
Odparła matka — ci co mu schlebiają.
Dziki on, dziki, rozpustny nad miarę,
Za nic on, słyszę, waży ojców wiarę
I obyczaje“.

„Macierz zawsze gdera“.
Potrącił Mścisław.

„Mienie ojców tyra
Trzymając różnych opojów na dworze,
Zbiegów z obczyzny, a z żoną, mój Boże,
W niezgodzie żyje“.
„No, bo Pan ochoczy —
Tu na Krystynę rzucił Zbilut oczy —
Krasne on liczko i pogłaskać lubi.
Ba! raz się żyje“.
„Zgubi tem się zgubi“...
Rzekła i wstrząsła stara siwą głową.

„Ej! idźcie matuś, idźcie z oną mową“.
A Krysta pyta:
„Cóż na to Wszesława?
Co na to mówi żona Bolesława?“

„A coby? płacze, modli się i biedzi,
I by w klasztorze w swej komorze siedzi
Z Królową-matką. — Tu Zbilut do ucha
Szepnął Krystynie. — Ej! wybyście ducha
W nim rozhulali, szalałby za wami,
Za waszem liczkiem, waszemi ząbkami,
Za czarnem okiem“. Krysta się spłoniła.
„Hejno Mścisławie, wszak wasza nie była
Jejmość w Krakowie?... Niech obaczy stroje
Dworu pańskiego“.
„Co wam też to w głowie?
Co to tam potem skromnej białogłowie?“
Mruknęła macierz.
„A wszak to nie szkodzi?
A zresztą Kraków i widzieć się godzi.
Proścież za sobą“.

„Ani prosić trzeba —
Rzekł Mścisław rączo. — Jabym księżyc z nieba
Przyciągnął dla niej. Gdy ma tylko wolę“...

„To mi kochanie!... lecz patrzaj sokole,
Mówi ci Zbilut, by jej czarne oczy,
I ten przepyszny, kruczy splot warkoczy,
Komu w Krakowie nie przewrócił w głowie“.

„Widać rycerzu już po waszej mowie,
Żeście u dworu zrośli Bolesława —
Zgromiła matka — widać, że zabawa
Z cudzoziemcami już i skromność waszą
W bagna zawiodła.“

„Niechaj was nie straszą
Wolniejsze słowa rycerza młodego.
Różnie człek bywał jedząc nie z jednego
Pieca chleb Boży. Człek tam, ot ze świata,
Rzekło się tylko, by ta stara chata
Śmiechem ożyła“.

„Moje zwiędłe uszy
Nie zwykłe temu, a mowy te w duszy
Niepokój budzą. Wolę ja tam, wolę
W zgrzybiałej chacie starych ojców dolę,
Cnotę skromności, niż nowość, co boli“.

To mówiąc matka wstała i powoli
Wyszła z świetlicy.

„Ot, gdera z starości. —
Rzekł słodko Mścisław. — Bawże naszych gości
Droga ma Krysto, ja wyjrzę czy dano
Koniom wygodę: obrok, owies, siano“.

Zostali sami, Zbilut na Krystynę
Patrzył ukradkiem.
„Niechaj raczej zginę,
Jeślim nieprawdę rzekł aśćce do ucha.
Przyjedźcie, mówię, rozerwiecie ducha...
Raz się jest młodym, a może — rzekł ciszej —
I Król Jego Mość o aśćce zasłyszy...
Ja mu podszepnę".
Krysta się rozśmiała:
„Nie bajcie plotek. Radziejbym słuchała,
Jako na grodzie przy uczcie śpiewacie.
Rozkoszniej będzie w naszej biednej chacie,
Gdzie zawsze głucho. Proszę zaśpiewajcie
Jako tam Panu. Błagać się nie dajcie
Biednej ziemiance".
To rzekłszy ząbeczki
Drobne a białe, gdyby perełeczki
Śmiechem rozwarła.
„Zaśpiewaj Zbilucie —
Poparł ją Jędrek — najbieglejszyś w nucie
Grodu pańskiego. My ci pomożemy,
Ostatnie słowa już ci wtórujemy,
By raźniej było".
Chrząknąwszy, wstał Zbilut
I śpiewać począł mrugając jak filut:

„Mając krasną urodę
Poszła dziewka po wodę:
Wzięła krasny dzban...
Lecz go rozbił pan!

Dziewka oczka spłakała,
Gdy skorupki zajrzała.

Cicho dziewko, dzieweczko,
Mam ja krówkę da mleczko:
Za nie kupisz dzban...
Wiedz, żem możny pan!

Dziewka krówki nie chciała,
Ino dzbana płakała.

Pan jej oczko fartuszkiem
Suszył szepcąc nad uszkiem:
Jam jest możny pan...
Dam złoto za dzban!

Dziewka złota nie chciała,
Ino dzbana płakała,

Cicho serce, dzieweczko
Rolą spłacę wianeczko:
Co ci? co ci dzban...
Kiej cię darzy pan!

Dziewka roli nie chciała,
Ino dzbana płakała.

Nie płacz, nie płacz ty sroczko,
Lecz na pana rzuć oczko:
Patrz, że ci za dzban...
Sam się daje pan!

Dziewka płakać przestała,
I już pana ściskała".

Skończył i w oczy popatrzył Krystynie
Mówiąc półgłosem:
„Król za tobą zginie,
Gdy tylko zechcesz!... Rzeknijże Mścisławie —
Zwrócił tu mowę do wchodzącego
Męża Krystyny — co o swej wyprawie
Z aśćką zamyślasz? Niechajże naszego
Króla obaczy, i Kraków nawiedzi,
W tem starem próchnie jeszcze się nasiedzi,
Aż zadość z matką. Ruszże się już z budy
O własnej sile, nie czekaj, by chudy
Jaki pachołek wyciągnął cię z nory,
Jak psy niedźwiedzia. Nie leź na ozory
Obmowy ludzkiej, że siedzisz w swym dworze,
Jak niedźwiedź jaki, albo borsuk w norze".

A na to Mścisław:
„Macierz zrzędzić będzie".

„A niech tam zrzędzi, wszak cię nie ubędzie,
Krysty nikt nie zje".
„Ja tam nie od tego...
Gdy Krysta zechce, to i pojedziemy".

„Radabym bardzo zobaczyć naszego
Króla, a Pana".
„Raz tylko żyjemy —
Dorzucił Zbilut — a, i widzieć warta.
Wam na usługi chata ma otwarta".

Mścisław potwierdził:
„O, nader wam wierzę,
Że jest co widzieć".
W tej chwili wieczerzę

Skromną wniesiono: Owoce suszone,
Chleb, ser i masło, kurczęta smarzone,
Zająca w sosie.
A więc, gdy Krystyna,
By brali prosi, Mścisław już węgrzyna
W kubki nalewa, i swój kubek wznosi,
I zdrowie gości szczerem słowem głosi:

„Bóg miej was w pieczy... Niech wam Bóg nagrodzi...
Niech takich ludzi nawet kamień rodzi,
Którzy jako wy, choć królewskie szaty
Noszą na sobie, ubożuchnej chaty
Nie pomijają".
Wraz Zbilut dziękuje
Wznosząc swój kubek:
„Mość Mścisław. żartuje...
My słudzy tylko Króla Jego Mości.
Dozwólcie zatem, że zdrowie jejmości
Waszej wypiję. Więc mości Mścisławie
Wznieś kubek w górę, bo już słowo prawię:
Niechaj nam żyje, jak słonko na niebie
Jejmość Krystyna, niech garnie do siebie
Wszech i każdego na tej marnej ziemi,
Niechaj nie gardzi pachołkami swemi,
Jako ja robak. Zdrowie jejmość pani!...
Trąćmy się jejmość".
Krysta się spłoniła,
Jednak o kubek Zbiluta trąciła.

Tak pijąc, jedząc w późną noc gwarzono...
Zbilut powiadał, że na zamku toną
Dnie, noce całe w tak hucznej zabawie
Tuż obok Króla, że się nie wie prawie.

Chciwie słuchała Krysta o tej modzie
Nocnych hulanek... o zbytkach na grodzie,
Jak tam rok mija... jak tam pełno gości,
Że aż drży ziemia od śmiechów, radości.

VII.

PACHOLĘ.

„Ty moje ptasie, ty moje sokole!
My oba razem wyciągniem het w pole,
Hen, hen! na góry... ty wzlecisz w niebiosy,
A ja ci śpiewać będę w niebo głosy:

„Hej! sokole złotopióry
Wzbij się lotem piór!
Hej! wysoko po nad góry
Przynieść wieści z gór!

Hej sokole tam jest chatka,
Tam żył ojciec mój!
A w tej chatce za mną matka
Łez wylewa zdrój!

Hej! sokole tam mogiła
A w niej ojciec śpi!
Przy mogile matuś miła
O tatulu śni!

Hej! sokole przynieś wieści
Gdzie dziś matuś, gdzie?
A jej powiedz, że ją pieści
Syn sierota: w łzie!“

„Ptasie sokole, kniaziu przyjacielu,
Ty mię rozumiesz jeden z ptasząt wielu,
Chociaż tak wiernie służysz Jego Mości,
Że on cię kocha i pieści z radości,
Jak Miećka swego“.
Tak młode pacholę
W izbie ptaszniczej, gdzie grzędy sokole
W około stały, do ptaka wołało,
Jemu się sercem, duszą przymilało.
Ptak rad był chłopcu, zdał się go rozumieć,
Bo raz to jednem, a drugi raz drugiem
Patrzył nań okiem.
„Trza się człeku zdumieć —
Mruknął ptaszniczy, chodząc krokiem długim
Wzdłuż i wszerz izby — jak obaj umieją
Gaworzyć z sobą, jak się rozumieją,
Jako się pieszczą. Ptak już nie zna Króla...
Tylko do chłopca sercem się przytula.
Król go już zabył... pieści go pacholę,
Więc też i serce wdzięczy się sokole
Biednej sierocie“.
Gdy tak ptasznik duma
Wpada Jastrzębiec.
„Niech mi się nie kuma
To chłopię z ptakiem — wrzasnął na ptasznika —
Bo ptak głupieje i Króla unika.
Jutro o świcie z sokoły i z psami
W pole ruszamy“.

„A czy Król pan z nami?“

„Z nami. Sam kazał. Opatrzyć sokoły.
Chłopak niech idzie po żer do stodoły
I psy nakarmi“.
Rzekł, rozkazał okiem
I ze świetlicy wypadł szybkim krokiem.
Po długiej chwili ptasznik na pacholę
Krzyknął łzę kryjąc:
„Królewskie sokole
Ja sam opatrzę!“
„To sokół kniaź jedzie?“

„Słyszałeś przecie! że Król łowy wiedzie...
Więc i kniaź musi służyć Jego Mości,
Królowi Panu. Idź porzuć psom kości,
Przygotuj smycze“.
„Pa!... kniaziu sokole“...
Wyrzekło chłopię, i wyszło na pole
Psy zaopatrzyć, żer przynieść z stodoły,
Aby czem było nakarmić sokoły.

VIII.

POKUSA.

Wraz z brzaskiem słońca wyruszył wesoły
Orszak królewski lekko przyodziany,
Jak na zabawę. Sokoł ów, kniaź zwany,
Że tylko z Królem wyruszał na łowy,

Siedział posępny.

„Co się dziś do głowy
Wdało kniaziowi? Zazwyczaj siadywał
Na hełmie Króla, z niego w lot się zrywał...
Dziś na ramieniu“.

I cicho w orszaku
Dziwy szeptając o królewskim ptaku,
Wróżyli jedni zły przebieg obławy,
Drudzy nieszczęście lub wypadek krwawy.
Ucichły śpiewy. Tą ciszą z zadumy
Król przebudzony:

„By pogrzebne tłumy,
Lub mnichy jakie ciągniecie w milczeniu —
Rzekł w pół niechętnie — czy ptak na ramieniu,
Czy tam na hełmie, to jedno, ptak ptakiem,
Wesołość łowom jest najlepszym znakiem,
A wróżbą dla mnie“.

Wtem zdala wprost drogi
Podniósł się tuman.

„Żywo mi, a w nogi
Zobaczyć kto jest?“

I raźno ruszyło
Czterech z orszaku, i pyłem pokryło
Cały gościniec.

Już to z Króla woli,
Już z owej przerwy, wesołość powoli
W orszak wracała. Śmiano się, śpiewano,
I odpowiedzi posłów wyglądano.
Wrócili wreszcie.

„Brat Waszej Miłości,
Władysław Herman“.

„A to mamy gości,

Będzie weselej".
Zwolna z zakurzawy
Zbliża się orszak... Król patrzy ciekawy,
I widzi brata w hełmie i w pancerzu.

„A, dokąd droga? dokąd to rycerzu?"
Pyta go Bolko. Herman schylił głowę

„Do grodu, do was"... lecz powstrzymał mowę,
Bo w tejże chwili sokół przebudzony
Zleciał na szyszak Hermana złocony.
Herman zsiadł z konia.
„To dziwo?... to dziwo! —
Szeptano wokoło. — Sokół jako żywo,
Nie znał nikogo".
„Patrz, sokół Hermanie
Witając, prosi cię na polowanie,
Zawróć się z nami".
„Strudzonym, a łowy
Nie mą zabawą".
„Ja z drogi połowy
Wracać nie będę. Lecz, anim się spytał,
Po co przybywasz, anim cię powitał".

Mówiąc to Bolko skoczył rączo z konia,
Ścisnął Hermana.
„Mołojcy na błonia!..."

Błonia to były! ręką Bożą siane,
A jak świat światem nigdy nie zbierane.
Łąki to raczej, co złotym rzepakiem,
Srebrną tatarką, purpurowym makiem,
Barwnemi trawy wzbogacone w zioła

Wieńczyły środek tej łąki dokoła.
Łąki to były z trawą tak wysoką,
Że jeźdzca z koniem nie zejrzało oko,
Skoro w nie wjechał.
Pozsiadano z koni
I już mołojcy uwijają w dłoni
Z mieczem w około, i już koszą trawę,
I już z ziół, z kwiatów uścielają ławę
Dla Króla Pana.
Drudzy dobywają
Sery, wędliny, które ustawiają
Na siodłach zręcznie zamienionych w stoły.
Inni zaś rączo, zakasawszy poły,
Owe przekąski na kawałki krają,
I stare miody w kubki nalewają,
A to tak żywo, że już i śniadanie
Stoi gotowe.
Król siadł na tapczanie
Razem z Hermanem. Służba się cofnęła,
I na uboczu przy koniach stanęła.
Sam tylko Zbilut przy Królu pozostał,
On bowiem z dawna ten przywilej dostał
Służenia Panu, być zawsze przy boku,
I wszystko bacznie mieć na swoim oku.
Król podniósł kubek:
„Zdrowie twe Hermanie!“

„Wasze mój bracie, wasze Królu Panie!“

Duszkiem spełnili i ręce ścisnęli.
Jastrzębiec nalał. Bracia jeść poczęli
Jednak w milczeniu. Wreszcie Król Hermana
Pyta:

„Z czem droga?“

„Uścisnąć kolana
Matce Królowej, was mile powitać,
Waszą Wszesławę o zdrowie zapytać,
A Miećka widzieć, w końcu biskupowi
Skłonić się kornie, skłonić się Stankowi“.

„Mąż światły, prawy .. należy... nie szkodzi —
Rzekł Król powoli — prawą drogą chodzi...
Sam za nim słałem do Rzymu z prośbami...
Mąż bogobojny, błyszczący cnotami.
Skłoń się... należy... Głowa to kościoła...
Chwalę ci, chwalę... Mąż .. który podoła
Wiele uczynić“.

„Słyszałem, że godny,
Że w wiedzy światły, że nader łagodny,
Cichy, spokojny“.

„Ojcem był starcowi...
Bratem i synem... wszystkiem Lambertowi...
Był mu i sługą... Skłoń się... skłoń... należy...
Tak, jako rzekłem prawą drogą bieży“.

„Po za granicą, w Francyi, słyszałem
Miał się był kształcić, że do nauk ciałem
I duszą przylgnął“.

„Kształcił się był w Gnieźnie,
Potem w Paryżu. Mąż co w rękę weźmie,
Wszemu podoła... Z nauk uwielbiany...
W cierpieniach ludzkich przykładaj na rany.
Wdowę, sierotę, gdyby własne dziecię
Sadza u stołu. Całą ojcowiznę,
Całe swe mienie, dziadów swych spuściznę
Rozdał ubogim“.

„Bóg łaskaw, że męża
Dał kościołowi. Ziemian do oręża
Nie brak wam bracie, lecz sprawy kościoła...
Lambert był stary".
„Garnął lud ze sioła
O ile zdołał".
Umilkli na chwilę.
Król podniósł kubek:
„Ot, naszego tyle,
Co wypijemy".
Duszkiem wychylili,
Jastrzębiec nalał.
Ojce nasi żyli
Pijąc miód Boży. Pij i ty Hermanie...
Król taki człowiek, jak chłopek w sukmanie,
To brat nasz, bracie".
„Niegodnym syn przecie —
Rzekł Herman nagle — że mówię o świecie
Pierwej niżelim spytał się o chatkę,
O naszą drogą ukochaną matkę.
Zdroważe matuś?"
„Raz chodzi, raz leży.
Ot, jako stara. W siły jeszcze wierzy...
Daj jej Bóg zdrowie".
„A Jej Mość Wszesława?"
„Chowa i tuli, i pieści Miecsława.
Dobra to pani; z matką tylko siedzi...
Duszą ją kocha".
„Za wiele gawiedzi
Chowacie w grodzie... może to ją wstydzi
Wnijść między obcych... może zbytki widzi,
I tem się zraża, więc woli w komorze
Zamknąć się z matką".

„Na królewskim dworze
Liczno być musi. Któż obcych ugości,
Gdy nie korona?“
„Za wiele miłości
Obcym dajecie“.
„Lecz i lud miłuję,
Rzeknę, dla niego... dla ludu króluję,
Bom i ja z ludu... ludu szczęścia pragnę...
I do mej woli szlachcie karki nagnę.

Kniaź się zadumał, na pierś schylił głowę.
Król zaciął usta... przerwali rozmowę.
Długo siedzieli, każdy dumał sobie.
Wreszcie król ręce podał bratu obie.

„Czas, rzekł, czas w drogę, zwłaszcza że nic w końcu
Nie wymyślimy. Po próżnicy w słońcu
Za skwarno siedzieć“.
Rzekłszy wstał z tapczana
I w ramię ujął żegnając Hermana.
Herman się skłonił do kolan Królowi.
„Tak się nie kłaniaj nawet Cesarzowi“,
Zgromił go Bolko.
„Panie miłościwy...“

„Bratem ci jestem... Jedź zdrów i szczęśliwy,
A czekaj na mnie, ja pod wieczór wrócę,
To ci i nudy na grodzie ukrócę
Orszakiem moim“.
Przywiedziono konie.
Bracia raz jeszcze uścisnęli dłonie.
Ruszono z miejsca. Lecz sokół, by z miedzi
Na hełmie kniazia, jak usiadł, tak siedzi,

Ani się ruszy. Darmo go wołają
Wabiąc do siebie, darmo nań gwizdają,
Nie myśli wracać.
„Dziwne to jest przecie?
Dziwne się rzeczy dzieją na tym świecie.
Sokół zbiegł Pana!“ Szeptają dokoła.
„To coś oznacza?!... Władysław z sokołem“...

„Niechaj z nim jedzie — rzekł z pochmurnem czołem
Bolesław gromko — a, niechaj z nim jedzie,
Niechaj go sokół do grodu zawiedzie.
Zstarzał się... sterał... zleniwiał z starości,
Już z nim polować dziś niema radości“.

Jechali stępo. Król zły, zachmurzony,
Zbiegiem sokoła zda się urażony.
Żałował może, że go zwolnił z sznura,
Że zdjął mu kaptur, a tem jego pióra
Z więzów uwolnił. Zły więc był na ptaka,
Nie sądził bowiem, że go spotka taka
Odeń zniewaga. Zły był i na siebie,
I zły na orszak. Wierząc w Boga w niebie,
Nie wierzył w wróżby, jednak go gniewało,
Że ptak go uszedł. Serce gniewem drżało...
Sokół z Hermanem?... Sokół rzucił Pana?...
Z kniaziem pojechał!... Sam go dzisiaj z rana
Pieścił, głaskając... a teraz z Hermanem
Wjeżdża do grodu, jakby z własnym Panem.

Jechali milcząc po polu szerokiem,
Jastrzębiec Zbilut przenikliwem okiem
Rzucił na Króla, chciał zacząć rozmowę,
Lecz się obawiał, i zachodził w głowę

Jakby nawiązać. Śledził więc dokładnie
Każdy ruch Pana, bowiem z giestu zgadnie,
Jak przerwać głuche, tak długie milczenie,
Które jedynie parskanie lub rżenie
Koni przerywa. Wreszcie w Króla minie
Zajrzał cień gładszy. A więc:

„W Bużeninie
Byłem noclegiem, rzekł, stara to chata,
Jednakże w mienie i w cuda bogata!
Co to za pani?... wszerz z piękności słynie...
W całej stolicy mówią o Krystynie,
Żonie Mścisława. Co za cudne oko!
A taką żądzą tchnie w serce głęboko,
Że, aże mrowie przechodzi wzdłuż ciała...
Co to za rączka maleńka a biała!
Włos, by z hebanu płynie aż po kostki.
A?... jako śpiewa?... Posłuchajcie Panie...
To umysł krzepi, przerywa dumanie".

I począł śpiewać z początku nieśmiało,
Poczem mu jednak głosu przybywało.

„Dziecinne lata przepędziłem z tobą,
Ty dzieckiem byłaś, a ja pacholęciem.
Miłość śniliśmy. Tak zajęci sobą:
Jam cię królową, tyś mię zwała księciem.
Tak ręka w rękę biegliśmy przez łąki,
Aż po za góry nad rzekę rodzinną,
Gdzieśmy usiedli, a ja twe koronki
Na piersiach muskał ręką mą niewinną.
Razem słowika wieczór słuchaliśmy,
Razem w noc późną z wyobraźnią młodą

O przyszłem życiu cuda marzyliśmy...
Marzenia pierzchły... popłynęły z wodą...

Gdzież teraz jesteś? Ty moja królowo!
Czyliś szczęśliwa?... Czy pamiętasz lata
Razem prześnite?... Czy pamiętasz słowo
Pierwszej miłości?... Czy pamiętasz brata?...
Bratem i siostrą... tak zwaliśmy siebie,
I tak się miłość nasza rozpoczęła...
Żyliśmy szczęśni, jak anieli w niebie,
Na naszych sercach wzajemność spoczęła.
Z brata kochanek, ze siostry kochanka,
Z rodzeństwa duszy miłość wytrysnęła...
Tyś pragła piosnki... a ja żądał wianka!
Niezgoda życzeń przed nami stanęła!

Prawiłem nieraz, rwiąc ze złości włosy:
Że kwiatek uschnie, gdy mu braknie rosy,
Że drzewo zwiędnie, gdy deszczu nie stanie...
Tyś na to rzekła: A, cóż to mnie... panie?..
Zimne te słowa, jak woda w płomieniu
Żar jeszcze większy w piersi rozdmuchały...
Rozstanie nasze, ty! masz na sumieniu...
Ty mówisz, że ja... że byłem zbyt śmiały".

Zabłysło oko Króla Bolesława.

„Słyszałem był raz o żonie Mścisława...
Ściągnąć ją na dwór".
„Na hołdy przyjedzie
Mścisław, i Krystę ze sobą przywiedzie".

„Łotr z ciebie stary! Łotr z ciebie Jastrzębie".

„Od tego człowiek nosi język w gębie.
Tylem namawiał, aż Mścisław dał ucho...
Jednak ta podróż nie przejdzie mu sucho,
Bowiem gdy Krysta zoczy zamku dziwy,
A zwłaszcza jeszcze, gdy Pan miłościwy
Zechce pogłaskać kruczy splot warkoczy
Nadobnej Krysty, to i Krysta oczy
W Panu utopi".

To rzekłszy ukosem
Spojrzał na Króla. Król odparł półgłosem:

„Nie kuśże biesie... czort z ciebie prawdziwy.
Zobaczyć wolno".

Zbilut łaski chciwy
Wraz podchwytuje:

„I pogłaskać lice,
Lecz zajrzeć Kryście głęboko w źrenice,
Rzecz niebezpieczna. Oczarować może!
A coby Stanko!?... Wielkie sądy Boże!
Aże mię mrowie przechodzi po kościach!"

Zmarszczył się Bolko.

„Niech on o świętościach
Kościelnych myśli. Prawy to mąż, twardy
Na grzechy ludzkie. W godności swej hardy...
A, niech tam będzie. W silnej dłoni trzyma
Sprawy kościoła... lecz niech się nie wzdyma
Co do mnie Króla!... Dwóch rządzić nie może...
Ja berło świata, on niech dzierży Boże,
A będzie zgoda".

Umilkł i w zadumie
Zda się pogrążył. Zbilut zaś o dumie
Królewskiej myślał. Duszę mu osiadły
Czarne widziadła i strachem owładły.

IX.

HOŁDY.

Od trzech tygodni dworno się zjeżdżają
Na hołd ziemiany. Namioty stawiają
Tuż obok miasta, bowiem już mieszkania
Wszystkie zajęte. Wszelki się ugania
O lepsze miejsce. Gwar, krzyk i wołanie
Z każdym dniem rośnie. Wnet miejsca nie stanie
Na pomieszczenie dworów i czeladzi.
Każdy jak może biedzi się i radzi
Rozumu swego. Kto pierwszy przybywa,
Ten też i miejsce celniejsze zdobywa
Dla się i służby.
Nie pomną ziemianie
Takiego zjazdu. Najstarsi ziemianie
Ciągną na hołdy z dziećmi i z żonami,
A wszech z drogimi, z licznymi darami
Dla Króla Pana.
Tak młody, jak stary
Pragnie u Króla bogatemi dary
Łaskę uzyskać. Każdy szczędził skrzętnie,

Pracował w roli, by dziś grosz ten chętnie
U tronu złożyć, nim spokój okupić
Drogiej Ojczyzny, nim i siły skupić
W obronie kraju, oraz świetność tronu,
Tak wznieść wysoko, jako plon z zagonu.

Na środku rynku gradusy wysokie,
A jakie długie, takie i szerokie,
Od samej góry, od podnóża stołu
Tam stojącego, do samego dołu
Ponsem obite. Stół po prawej stronie
Wzniesienia stoi. Tron w środku, na tronie
Miecz i korona.

Wspaniałe wzniesienie
Zachwyca oko, chociaż budzi drżenie
W lękliwem sercu. Myśl, że Król przybędzie,
I w majestacie wśród narodu siędzie,
Dziwnem uczuciem ogarnia każdego,
Choć każdy pragnie zobaczyć Śmiałego
Króla, a Pana.

Stół kapą srebrzystą,
A w liczne gwiazdy grubo pozłocistą
Stoi nakryty, na nim leżą księgi
Z spisem ziemianów i krzyż do przysięgi
W razie potrzeby.

Za stołem skarbniczy
Stoi. On, który dar kreskami liczy
I w grubą księgę sumiennie wpisuje.
Tuż przy nim kanclerz, ten, co wywołuje
Rody z imienia, z włości lub z godności,
Lecz, że już stary więc mu w tej czynności
Kleryk pomaga.

Kleryk nędzny, blady...
Choroba na nim wycisnęła ślady...
Lub może praca... a, może marł z głodu...
W źrenicy jego błyszczy duma rodu,
Cień jakiś dziwny smutku, czy żałości,
Splątany jednak z wyrazem wyższości,
A może gniewu, bowiem jego oko
Zda się, że wyżej ponad tron wysoko
Płomieniem rzuca, i zda się, że nawet
Ząb za ząb pójdzie, jako i wet za wet
Nie podaruje. Jednakże spokojny,
A w swoim żalu nad wyraz dostojny
Stoi i czeka rozkazów zwierzchnika,
Kanclerza swego, i zda się, że wnika
W myśl i chęć tegoż.
Kanclerz, ziemian stary,
Zwykł był już widzieć ziemianów ofiary
Panu składane, czeka więc za stołem
Spokojnie Króla.
Rozłożystem kołem
Po lewej stronie siedzą wzdłuż panowie
Obcej korony, Kniazie i posłowie
Po prawej tronu. Na stopniach wzniesienia
Rycerze w zbroi, by kuci z kamienia,
Stoją nie drgnąwszy. U samego spodku
Schodów gradusa kobierzec na środku
Długi, szeroki rozścielony leży
Po nim pas krasny, aż do tronu bieży
Złoty, by słońce. To droga zasłana
Dla władcy Polan, dla Króla a Pana.
Wzdłuż i wszerz rynku naród zgromadzony
Czeka na hołdy.
Wtem od grodu strony

Trąby zagrzmiały. To znak, że Król jedzie...
I już go widać. Liczny hufiec wiedzie
Panów za sobą. Podbiegł koniuszy
Przytrzymać strzemię. Naród krzyknął z duszy:

„Niech żyje Król Pan! Czołem Jego Mości!
Niech zdrów panuje do późnej starości!“

Król był w pancerzu strojnym w karpie łuski,
A pozłocistym. Głowę krył hełm ruski
Z czaplim buńczukiem. Przez pierś biała wstęga
Suta perłami, płynąc kolan sięga
Frenzlą z rubinów.
Szedł prędko na stopnie...
Za nim Jastrzębiec tak spieszył pochopnie,
Jakby się lękał, by go nie wyminął
Który z służalców, boby przez to zginął
W łaskach u Pana.
Król już na wzniesieniu
Stanął, i spojrzał... i już na ramieniu
Jego zawisnął płaszcz gronostajowy...
Książęta, pany pochylili głowy
Ku samej ziemi.
Naraz Król z ramienia
Zdarł płaszcz i wyrzekł:
„Z pradziadów imienia:
Jam kmieć w koronie.“
Jastrzębiec podleciał...
Bo, co Król myślał on sam tylko wiedział.
Rozwiązał chustę kwiatami złoconą,
I z niej wydobył wiekiem przypruszoną
Lnianą siermięgę, świąteczny strój Piasta,
Ojca pradziada.

Król, jak ta niewiasta
Rada na stroje, tak rączo pospieszył...
Sam oblekł kitlę, jej się płótnem cieszył,
Kryjąc łzę w oku.
„Ten strój kniazia Piasta...
Wśród walki życia, i wśród panów miasta:
Płaszczem królewskim.“
Rzekł i spiął siermięgę
U samej szyi. Widno tylko wstęgę
Przez pierś płynącą.
Brzęk lecącej muchy
Zdala z daleka... jej skrzydełek ruchy
Zdało się słyszeć, taka cisza była
Na całym rynku. Krew w żyłach nie biła...
Skrzepła z uroku.
Król Mość spojrzał w stronę
Gdzie stał mistrz dworu. Ten podniósł koronę
Z tronu, zbliżył się, upadł na kolana,
Podał ją Panu... a, miecz z ręki Pana
Wziąwszy oparł go ostrzem na swem łonie,
I stanął obok, tuż przy samym tronie.

Bolesław usiadł, i hołdy odbiera
Od swych poddanych. Dumnie się rozpiera
Na tronie Ojców.
Srebro, perły, złoto
Znoszą ziemianie, lecz nie z tą ochotą
Z jaką to dawniej Ojcom jego nieśli,
Bo mu niechętni, że u niego zeszli
Na nędzne sługi, że każdy wzgardzony,
Że dzisiaj nie on, lecz Król sam korony
Strzeże, jak oka.
Siedzi, czarne oczy

Prawie z pogardą w koło siebie toczy,
Nie widzi nawet, jaki dar mu składa
Ziemiana ręka, że dawcy twarz blada
W chwili pokłonu.
Kleryk wywołuje
Z kolei rody. Kanclerz zapisuje
Złożone dary, kreską w księdze znaczy,
I by nie zmylić, całą duszą baczy.

Każdy wołany tuż przed tron przybywa,
Pokłon oddaje, i co zniosła niwa
W złoto zmienione sypie u stóp tronu,
Płaci daninę z każdego zagonu.

Już stos się wznosi złota i kamieni
Drogich, kosztownych... i już stos się mieni
Barwistą tęczą w złotym blasku słońca...
Mieni się, rośnie, jaśnieje bez końca!

Kleryk drży cały, ledwie wargą włada
Głosząc imiona... Głosząc wstaje, siada,
Siedząc znów wstaje... W złoto wlepia oko,
A oko tonie tak w skarbach głęboko,
Że aż w źrenicy żądza posiadania
Bije chciwością... Po przed stół się skłania
Dech zapierając. Wytrzeszczone oczy
Krwią mu zabiegły. Pulsem biją skronie
Coraz silniejszym. Zda się, że już skoczy
I zgarnie złoto, bowiem rozwarł dłonie
Palce zagiąwszy, jak on sknera w skonie
Na worze złota.
Lica zapłonione,

A chciwie okiem w złocie zatopione
Król zajrzał, krzyknął:
„Czego drżysz, ty?!... czego?“
Zimny pot oblał czoło nieszczęsnego,
Trząsł się, by w febrze stojąc zatrwożony
Z rozwartą wargą, stał, gdyby rażony.
„Mówże! gdy pytam.“
„Ja?... ja? Miłościwy“...

„Ty!... mówię, przecież!... Głuchyś? czyś nieżywy?...
Czemu drżysz?... pytam!“
„Złoto!... mię oślepia“...

„Chcesz go? chcesz?... toć bierz!“
Kleryk oczy wlepia.
„Bierz!... wiele pragniesz... wiele unieść zdołasz.
Bierz, póki daję. Bierz, gdy złota wołasz!“

Rzucił się kleryk i dłońmi drżącemi
W kieszenie chowa, drze złoto chciwemi
Rękami dysząc; lecz miejsca zabrakło,
Łakomstwo bowiem coraz więcej łakło!

Król skoczył z tronu — potruchlała szlachta —
Rzucił mu płaszcz swój.
„Może ci ta płachta —
Krzyknął — wystarczy... garnij w nią klejnoty,
Jak szmata starczy... garnij klejnot złoty
W tę nędzną płachtę!“
Kleryk płaszcz rozłożył
I sypał złoto... a, gdy już nałożył,
Związał go chciwie, i z ziemi powstaje...

Na plecy dźwiga... słucha, czy nie łaje
Król, że za wiele zabrał z kupy złota...
Krok postępuje, a drżąc węzeł mota
Skostniałą dłonią... Nagle skroń mu zbladła,
Krew z ust buchnęła... śmierć na skroni siadła...
Upadł z ciężarem... i kona straszliwie.

Król się uśmiechnął szydersko, złośliwie:

„Niechaj tak wszyscy chciwcy złota padną,
Którzy bez serca krwawą pracę kradną
Brata swojego. Precz! z ciałem do wody...
Ryby i raki niechaj mają gody.
Wrzucić wraz z złotem, niechaj na dno idzie,
Niechaj rybaka wesprze kiedyś w biedzie.“

Tymczasem inni hołdy swe składają,
Z pokorą dary Miłość Panu dają.
Tak idąc wszyscy, drżącemi krokami
Pokłon mu niosą wraz z swemi żonami.
Z kolei kanclerz woła:
„Z Bużenina...
Mścisław, ziemianin!“
„Zbilut!... ta dziewczyna?...
Pyta Król żywo.
„Panie miłościwy —
Odpiera sługa — toć to właśnie dziwy
O których niegdyś, Miłość Jego Pana,
Byłem uprzedził. Toć to ta, wszem znana,
Ta... piękna Krysta.“
W tejże właśnie chwili
Ku stopniom tronu oboje przybyli
Mścisław z Krystyną.

Król Pan czarne oko
Zatopił w Kryście. Mścisław się głęboko
Schylił przed tronem. Krysta splot warkoczy
Ręką ująwszy, a podniósłszy oczy
Na Króla Pana gnie się aż do ziemi,
Lecz tak się korząc oczy ciekawemi
Patrzy na Króla.
Król w oko Krystyny
Zajrzawszy, szepnął:
„Boże odpuść winy —
Poczem zawołał: Zbilut!“
„Miłość Panie“...

„Tu patrz, i słuchaj! Niechaj Mścisław stanie
Z żoną na grodzie... Cały drżę z miłości!...
Słyszysz?... Rozumiesz!... Nie wątp o hojności.“

Zbilut się skłonił. Odeszli ziemianie
Rzekłszy raz jeszcze:
„W pieczy miej nas Panie!“

Król powstał z tronu, i na zamek wraca,
Zda się być wesół, że tych hołdów praca
Już przeminęła. Jedzie wolnym krokiem,
I na lud rzuca rozjaśnionem okiem.
Lud z serca woła:
Niech cię Bóg miłości
Zdrowiem obdarza... Tyś kość z naszej kości!
Tyś Król! Tyś Pan nasz!“
Król śmieje się w koło,
A naród woła:
„Żyj!... Panuj wesoło!“

X.

ZGUBIONA.

Jeszcze słoneczko blaski swe rzucało,
Gdy się już światło księżyca rozlało
Po Bożym świecie. Księżyc z sennem słońcem
W zapasy idzie. Prawa swe z dnia końcem
Zdobywa wreszcie coraz to jaśniejszym
Wyrazem twarzy, coraz to silniejszym
Promieniem blasku.
I już w pełni stoi,
Już się pocisków słonecznych nie boi.

Słońce zapada za lasy i góry,
Raz jeszcze żegna na błękitach chmury
Czerwonym blaskiem.
Żal mu, żal porzucać
Lasy i bory, i żal mu zasmucać
Cieniami nocy stworzenia na ziemi,
Więc jeszcze pragnie chociaż już drżącymi,
A nadmiar z pracy ciężko drzymiącymi
Promieńmi życia przemówić do świata,
By świat nie zabył rodzonego brata,
Lecz go ukochał tak, jak ono kocha
Cały ten wszechświat, a nie jak ta płocha
Gwiazdka, co niby świecąc naraz spada,
I gdzieś na łąkach zwiędłym grzybem siada
Bez blasku życia.
Zgasło i zapadło...
W swem się łóżeczku w spoczynek układło,
I spi spokojnie.

Już księżyc króluje,
I srebrnym blaskiem ziemię opasuje
Do snu kołysząc.
To inne królestwo...
To rządy nocy, która wszech jestestwo
W ciemną noc wiedzie.
Zwierz więc legowiska
Skwapliwie szuka. Ryba łuską błyska
O lustro wody dziś poraz ostatni,
I ginie na dnie, lub w kamieniach matni
Łoże znajduje.
Koń zabył o uździe,
O krwawym pocie. Zając przypadł w bruździe
I śpi, słuchając. Ptaki ciepłe łoże
W gniazdku znalazłszy, chwalą Imię Boże,
I marzą słodko o zbiegłym dnia końcu,
Jasnej pogodzie, o jutrzejszem słońcu.

Wszystko śpi cicho. Księżyc jasno świeci,
Do snu kołysze wszelkie Boże dzieci.

Śpią już lilije, śpią i tulipany,
Śpią róże, laki, śpią i leśne pany:
Paprocie, bluszcze; śpią dęby i buki
A na nich orły, jastrzębie i kruki.
Śpią lipy, grusze, jabłonie, topole,
Na nich słowiki i młode sokole
Lotem zbłąkane.
Człowiek jeden czuwa...
Dzień mu był krótki... więc życie zatruwa
Nocnem czuwaniem, łamie prawo Boże,
I gdy słońce wstaje, on kładzie się w łoże
Do snu dziennego.

Ma rozum... ma wolę...
Sam sobie zatem ściąga gorzką dolę
Przewrotnem życiem!
Tak i dziś w Krakowie,
Raczej na grodzie, ziemianie, panowie
Dzień z nocy czynią.
Król ich podejmuje,
I najłaskawiej o zdrowie spytuje.
Wszyscy przybyli, nie braknie żadnego...
A nawet, nawet i najbiedniejszego...
Wszyscy tu równi, bez różnicy stanu
Służą Królowi Jego Mości Panu.
To uczta dana dla książąt i panów,
Dla szlachty, mieszczan, rycerstwa, ziemianów,
Którzy na hołdy do grodu przybyli,
I cześć powinną Królowi złożyli.
Taki był zwyczaj od pradziadów Piasta,
Że żaden ziemian nie wyjechał z miasta,
Nie bywszy pierwej jako brat na grodzie,
By tą czcią drugą okazać, że w zgodzie
Oraz w miłości z dworem pańskim żyje,
Że chętnie z Królem kubek miodu pije.

Król nader łaskaw, zda się, nie Król Mości,
Lecz sąsiad i brat panów i waszmości.
Z każdym rozmawia, każdego spytuje...
Każdego szczęściem, jak brat się raduje.

Otworem stoją ogrody, pokoje.
W ogrodach, w izbach pełne ziemian roje...
Stoły nakryte gną się pod zwierzyną,
Gną się pod miodem, winem i jarzyną
Wszelką, wszelaką.

To szczodry Król gości...
A jako rządny w władzy i w godności,
Tak w swoim domu czci gościa jak siebie...
Tu wszech go znajdzie w najcięższej potrzebie.

Królowa Pani ugaszcza ziemianki.
Kazuje znosić owoce, śmietanki,
Włoskie daktyle, cukry i pieczywa,
Wiśnie smażone, i co ziemia żywa
Na grodzie mieści. Tureckie orzechy,
Ruskie gołąbki dla większej uciechy
Polskich ziemianek.
Choć śmieją się, radzi,
Ażeby jadły. Prosząc nawet gładzi
Mile rączkami po szyi, ramieniu,
I mówi pieszcząc:
„O swem urodzeniu
Należy pomnieć. Jam w Rusi zrodzona,
Więc też po rusku i jeść nauczona...
Jednak was kocham... tum przyrosła duszą,
Choć mię zwyczaje stare na Ruś kuszą...
Tu u was umrę. Tu Bóg dał Miecsława
I męża Pana, Króla Bolesława.
Jam już jest waszą".
Tak, jako podoła
Gości ziemianki Królowa Wszesława.
Coraz ochotsza, weselsza zabawa
Skromnemi śmiechy szerzy się dokoła.

Ziemianki w czepcach wyszytych perłami,
W szatach na okół spiętych brylantami,
Więcej jaśnieją niż sama Królowa,
Ona się bowiem w lnianej sukni chowa,

Tak dziś na grodzie, jak niegdyś u ojca...
I w tej skromności jaśnieje bez końca
W cnót majestacie.
Król zaszczyca mową
Waszmość Mścisława. Krystyna z Królową
Razem się śmieją, jakby równe sobie,
Jakby na Rusi chowały się obie,
I jakby razem w swe dziecinne lata
W łąkę kwiecistą biegły szukać brata,
Który się schował z rozpustnej swawoli,
I rad, że serce siostrzyc za nim boli.

Wreszcie Król wyrzekł:
„Będę w Bużeninie...
Przybędę do was". Radość z ócz Krystynie
Iskrą błysnęła, a Mścisław kolana
Ścisnął, dziękując łaskawości Pana.
„Przybędę latem, nawiedzę was w chacie...
Jako mnie przyjmiesz miłościwy bracie?

„Jak ojca swego!"
Zaszczyt to niemały!
Krystyny oczy z radości jaśniały.

„A wy Krysto radzi mi będziecie?"
„Ja... Wasza Miłość, najkorniejsze dziecię...
Duszą i sercem".
„Sercem, sercem luba —
Rzekł Król, lecz ciszej — w tobie moja zguba,
Ty... czarownico!"
Krysta się spłoniła,
A czarne oko tuląc, rzęsą przysłoniła.
Król się oddalił.

Mścisław krył łzę w oku
Pełną wesela. Zbilut słyszał z boku
Całą rozmowę, mrugał na Krystynę
Podczas, gdy Mścisław:
„Ja z radości ginę —
Prawił — ma! Krysto... Króla Jego Mości
W chacie ujrzymy! Trzeba sprosić gości,
Wszystkich ziemianów".
„Mścisławie mój drogi"...

„Król chce przestąpić nasze biedne progi...
Trzeba domostwo przybrać okazale...
Moja ty Krysto! nic nie żałuj wcale...
Ścianom daj nowe z purpury obicia".

„Wszystko mój drogi. Nie poszczędzę życia...
Sprawię co trzeba; spełnię mój Mścisławie".

„Zaraz pachołki w sąsiady wyprawię —
Odparł jej Mścisław — aby się stawili,
I swem przybyciem dom nasz uświetlili,
Witając Króla. Matka ci pomoże
Zająć się domem".
„Mój ty miły Boże!
Sama w świetlicach podłogi pomyję.
Matuś już stara; sama przygotuję
Wszystko dla gości".
„Moje ty jedynie,
Moja ty, Krysto!"
„Serce moje ginie,
Za tobą drogi". — Rzekłszy one słowa
Zadrżała w duszy, bo już w sercu chowa
Rządzę płochości.

Tymczasem skarbniczy
Z królewskim mieniem wcale się nie liczy,
Rozdaje dary: sukna, futra, zbroje,
Miecze, pancerze. Służby za nim roje
Z mnogimi dary.

On z rozkazu Króla
Tego w niedźwiedzie sam ręką otula,
Tamtemu czepiec dla żony podaje
Perłami suty. Przed innym znów staje
I prosi ze łzą, by hełm przyjąć raczył,
By się nie spierał, jednak na to baczył,
Że Król go darzy, że Król miłościwy
O pamięć prosi... podczas, gdy gbur chciwy
Chcąc wszystko zgarnąć ręce w górę wznosi
I wrzeszczy:

„Te ot! które ów roznosi,
Te daj sobole... bo pójdę do Króla!“...

Usłużny sąsiad gardziel mu zatula
Olbrzymią dłonią.

Skarbniczy nie zważa
Na one wrzaski, lecz dalej obdarza.

I tak, kto rano składał hołd na rynku,
W wieczór odbierał dary w upominku
Z ręki królewskiej.

Naraz Mścisław wznosi
Zdrowie królewskie;

„Ziemianin was prosi,
Was bracia mili, i was mości pany,
Chociaż wam nawet ród mój mało znany,
Abyście ze mną zdrowie Króla Mości

Duszkiem spełnili... Niech Bóg w grodzie gości,
I wspiera Pana!“
„Ojciec nasz prawdziwy! —
Huknęła szlachta — Król Pan miłościwy,
Niechaj nam żyje!“
Król wzruszon tą mową
Powstał z siedzenia, lekko schylił głową
I rzekł:
„Dzięki wam!... Wam mości Mścisławie,
Dzięki za słowo... Ja w Ojczyzny sprawie
Krew swą przeleję... Niech nam Bóg pomoże
W dobrych zamiarach!... Ten kielich podnoszę
Na świetność Polski, i wraz Stwórcę proszę
O łaskę dla nas“.
Chwila uroczysta.
W oku Śmiałego zabłysła łza czysta,
Jednak już raźno i ochoczo woła:

„Pijcie ziemiany! ile radość zdoła,
A starczy miodu... Piwnice szerokie,
A jako morze tak one głębokie,
Toć nam wystarczą... Pij! wiele chcesz który,
A czcij Ojczyznę!“
Zatrzęsły się mury:

„Żyj Królu Panie!... Żyj nam setne lata!
Niech cię miłuje wszech gród i wszech chata,
Jak ojca swego!“

Piją i ziemianki
Ze swych kubeczków nalewki z śmietanki.
Radość się wzmaga tak, że i Wszesława
Nią upojona kazuje Miećsława

Przynieść do siebie, bo pragnie się szczęściem
Dzielić z drugimi, bowiem się zamęściem
Chce nazwać: szczęsną.
Niańki dziecię wnoszą...
Ziemianki naraz, by je podać proszą.
Każda z osobna okiem się domaga,
Żadna nie pyta, że się dziecię wzdraga
Iść w obce ręce. Prosi i Krystyna...
I już na ręce siedzi jej dziecina,
Ona je tuli, podczas gdy Wszesława
Obie rączęta całuje Miećsława,
I tak się słodko przymila dziecinie,
Że ono oczkiem za matulą ginie.
„O ty! mój Królu!“ pieszczotliwie woła,
I złote włosy odgarnia mu z czoła.

„Prawda?... podobne jest do Bolesława,
Królątko moje... To moja zabawa!...
To moja gwiazdka!... całe życie moje!...
Wszech skarby moje blask tych ocząt dwoje!...

Inne się proszą:
„Daj go mnie... Krystyna!“

Gdy tak z rąk do rąk przechodzi dziecina
Podchodzi Zbilut i w ucho Krystyny
Szepta cichutko:
„Co ci z tej dzieciny...
Nie bądźże głupią... daj w dal to piórecko,
Co tobie po nim, gdy Jego Mość w oczko
Zajrzeć ci raczył, tak, że już nie zdoła
Hamować siebie. Będą cię dokoła
Królową zwali, będziesz uczt ozdobą!

Szaleje, wzdycha... szaleje za tobą.
Lecz pomnij Krysto, gdy będziesz wysoko,
Abyś i na mnie rzuciła swe oko,
I byś pomniała, że ja ci na grodzie
Zgotował szczęście .. żyła ze mną w zgodzie".

„Cicho, bo Mścisław".

„Zaraz go zabiorę
Prędzej pomówić znajdziesz z Królem porę".

To ledwie rzekłszy, już Mścisława w koło
Wiódł między gości śmiejąc się wesoło.
Król zauważył, podszedł ku Krystynie
I szepnął cicho:

„Serce moje ginie
Za Tobą Krysto... Twoje krucze oko
W duszy mej tonie, rani ją głęboko.
Pozwól pogłaskać swe przekrasne lico...
Ty! ma jedyna... Ty!... ma czarownico".

Krysta słuchała, w głowie jej szumiało,
Grzeszną miłością płoche serce drżało.
Zabyła spokój i ciszę domową
Pojąc pierś wzdętą zatrutą rozmową.
Blask ją tumanił, mowa upajała,
W płochem jej łonie grzeszna miłość drżała.
Zniknęło szczęście. Mścisław stał się mały
W oczach Krystyny. Serce zajął Śmiały
Król miłujący. Znikła z oczów chatka
W cnoty bogata. Znikła stara matka,
Zniknął i Mścisław, a z nim miłość czysta,
Bo już krom Króla nic nie widzi Krysta.

Odszedł stróż anioł ze wzruszenia blady,
Serce Krystyny owładnęły gady
Grzesznej miłości.
Już Krysta szaleje,
Już się Królowi i wdzięczy i śmieje,
Już nic nie słyszy, w Królu topi oczy,
Król w dłoni pieści jej sploty warkoczy.

„Kochasz mię Krysto?“
„Kocham Miłościwy!...“

I raz ostatni oblał ją wstyd żywy,
I znikł na wieki, bezwstyd siadł na skroni.

„Kocham“ — Król mówi pieszcząc warkocz w dłoni

XI.

W ZACISZY DOMOWEJ.

W komnacie Pani serdeczny, niewinny
Śmiech się rozlega. To głosik dziecinny
Małego Miećka, który się raduje
Klaskając w dłonie, że mu pokazuje
Babula figle. On na matki łonie
W rozkosznym śmiechu całem sercem tonie,
Bo babcia igra:

„Idzie, idzie bobo...
Idzie i idzie... idzie, zje tam kogo...
Miecia, Mieciusia!“

Tak mówiąc, palcami
Od stópek Miecia, jak gdyby nóżkami
Bobo stąpało, tak ona powoli
Z nóżki na piersi postępując koli
Aż do szyjeczki, a gdy już zawoła:
Zje, zje! Mieciusia!... to Mieciu nie zdoła
Śmiechu powstrzymać, i rączki podnosi,
I: „Ece... baba!... ece!...“ oczkiem prosi.
A więc babula na nowo poczyna,
A siwe oczka wytrzeszcza chłopczyna
I rado słucha, jako bobo kroczy,
Jako się wolno aż do szyjki toczy...
I znowu chichot!
Naraz krasne pączki
Pulchnej twarzyczki, zarzuciwszy rączki
Na szyję matki, skrył Mieciu w ramieniu
Drogiej matuli i drży w upojeniu,
Bo on wie dobrze, że babcia podskoczy
Cicho na palcach i zajrzy mu w oczy,
A zawoławszy: Tuś mi! Daj gardełko,
Ty moje serce, ty moja perełko!
Ręką po szyjce Miecia załaskocze,
Mieciu się skryje i znów zachichocze
Prosząc babuli:
„Baba!... baba!... sroka!...

A więc babula otarłszy łzę z oka
Bierze dłoń Mieczka, po niej palcem puka,
A on ciekawie już oczkami szuka

Paluszków swoich. Babcia sroczkę prawi,
I temi słowy wnucze swoje bawi.

„Tu sroczka kaszkę warzyła,
Ogonek sobie sparzyła,
A choć z bólu: Oj!... krzyczała,
Jednak kaszki braciom dała.
Temu dała na miseczkę,
Temu dała na łyżeczkę,
Temu dała do garnuszka,
Temu dała do dzbanuszka,
A piątemu łeb urwała
I do nieba go wysłała...
Fru!... fru!... leć do nieba
Po skóreczkę chleba!“

I Mieciu z babcią rączki w górę wznosi,
A: fru! fru! wołając już ponownie prosi:
Ece... fru!... baba.
Więc babcia na nowo
Sroczkę powtarza. Mieciu każde słowo
Pragnie spamiętać, a gdy fru! nadchodzi,
To rączki wznosi i oczkami wodzi
Zda się po niebie.
W komnacie woskowe
Świece się palą i blado różowe
Światło rzucają. Nad łóżkiem zasłanem
Samemi puchy, a przed niebios Panem
Lampka migocze. Przy łóżku kołyska
Złotym biegunem mieni się i błyska...
Nad nią spływając bieluchne koronki
Ujmują obraz najświętszej Patronki,
Królowej polskiej, która Boga-Syna

Tuli do łona... A Bóg, Syn-Dziecina,
Główkę na piersi złożywszy Matuli
Oczkiem w nią patrzy, rączkami się tuli.

To raj Królowej!... to jej niebo całe!...
Ta Matka niebios... to jej dziecię małe...
Ta jej matula!...
O!... bo ileż razy
Klęcząc w łzach krwawych do Panny bez zmazy
Woła tu, płacząc:
„O, Panno nad Pany!...
Chroń mego Miećka... Na Chrystusa rany,
Błaga Cię matka!“
„Mama... mama!... nyny!“

„Zaraz me serce, zaraz moje syny,
Ty moje złoto!“
Mieciuniu pięścięta
Podniósłszy w górę począł trzeć oczęta
Wołając: nyny!
„Już, już, ty me złoto“.
Rzekła Królowa, a babka z ochotą
Ściele kołyskę.
Nadobna Wszesława
Stokroć całuje rączęta Miećsława,
Synalka swego i babcię ostrzega,
By cicho była, bo już anioł biega,
Już w sen kołysze Miecia synaleńka,
Bo już i nad nim czuwa cna Panienka,
Matka Marya.
Już Mieciu w pościeli...
Już nad kołyską igrają anieli,
Bo on się słodko przymrużywszy oczy
Do nich uśmiecha.

„Niech was Bóg otoczy
Cnotami niebios“. Szepnęła babula,
Podczas gdy Mieciu jeszcze się przytula
Drobną główeczkę do łona matuli,
I cicho szepta: Mama, mama luli.

Wyszła Marya, a Wszesława lula
Cicho śpiewając... w sen kołysze Króla.

„Śpij, śpij złoty mój aniele
Siwe oczka zmruż,
I śnij błogo, a śnij wiele
O wianeczku z róż.

Śpij, bo nie znasz jeszcze troski,
Ani życia burz,
Bo cię strzeże anioł Boski
Od łez krwawych mórz!

Śpij, śpij słodko, bo matula
Przy kołysce tuż
W sen ci śpiewa, do snu lula.
Czuwa anioł stróż.

Śpij me dziecię, śpij słodziutko,
Ani rączką rusz,
Matuś śpiewa ci cichutko,
Oczekując zórz.

Śpij, śpij drogie moje dziecię
W uśmiech usta złóż,
Śnij radośnie o tym świecie,
Już mi uśnij, już!

Spij bo matuś błaga Boga,
By cię anioł stróż
Wiódł gdzie bieży cnoty droga,
Wiódł, gdzie Stwórca mórz!“

I.

NIEZGODA.

O nagłej śmierci młodego kleryka,
Że jego ciało pochłonęła rzeka,
Że Król rozkazał w Wisłę rzucić trupa...
Wieść się dostaje do uszów biskupa.
Zrazu nie wierzy.
„Stwórco! Panie żywy!
To być nie może, by Król miłościwy
Ciało człowieka kazał wrzucić w wodę
Bez słów kapłana?... by na wiary szkodę,
On!... Król tej ziemi, Boży namaszczeniec,
Sam podniósł rękę?!... by jak odszczepieniec
Szydził z kościoła“.
Wreszcie jednak wierzy,
Gdy z temi wieści już sam kanclerz bieży
W biskupie progi.
A więc biskup smutny
Idzie do Króla, by mu czyn okrutny
W oczy wyrzucić.

Natychmiast w podwoje
Wpuszczono Stanka.
„Korne służby moje
Królu, nasz Panie".
„Bywaj Stanisławie...
Żeś mię był zabył, już sądziłem prawie...
A tyś był w drodze".
„Zwiedzałem kościoły
Po Bożych siołach... A ojców popioły,
Jako syn wdzięczny ze łzą nawiedziłem...
Temu, o Panie, na hołdach niebyłem,
Co racz wybaczyć".
„A ludek mój Boży?...

„Modlitwą za was łaski Boże spoży".

„Gorliwość twoją chwalę... chwalić muszę".

„Każdego brata pragnę widzieć duszę,
Jako łza czystą. Temu miłościwy
Wybacz, że rzeknę, żeś był popędliwy,
Względnie za ostry, gniewem uniesiony
Na byłych hołdach, gdy człek zaślepiony
Mamoną złota... trupem padł nieżywy!
Zgrzeszył on... prawda. Lecz ty jego ciało
Bez pokropienia w nurt Wisły kazałeś,
Jak poganina, by się piekło śmiało,
Wrzucić z ohydą. Tem zgorszenie dałeś!
O, rozkaż Panie, by dostano ciało,
Bym je pogrzebał, jak wiara kazuje".

„Biskupie zacny, co ci się zachciało?
Co ci się dzisiaj w mózgownicy snuje?

Chcesz, by Król wyrok odwołał?... Biskupie!
Miej rozum przecież!... Co tobie po trupie?“

„By go pogrzebać, w ziemi złożyć kości“.

„Więc i ty także hołdujesz chciwości,
Jako on kleryk?“
„Panie miłościwy!
Człowiek on biedny, kleryk nieszczęśliwy
Zapragnął złota, jednak nie dla siebie...
Dla swej rodziny. Ojciec, brat w niewoli
Pogańskiej jęczy... chciał pomódz w potrzebie,
Wykupić złotem, ulżyć w ciężkiej doli.
Miłość synowska oczy zaślepiła...
Miłość się ona w cnót pereł rozwiła!
Skonał z miłości“.
„Chwalę twe mniemanie...
Lecz, co się stało, już się nie odstanie“.

„Królu, o Panie! wiara na cię woła...
Usłuchaj głosu sługi sług kościoła,
Każ dostać ciało“.
Łowić czaszki trupie
W nurtach wiślanych?... miej rozum biskupie..
Każ... każ!... powiadasz?... a któż rozkazuje?
Ja tylko jeden, który dzierżę władzę!“

„I ten, o Panie, który koronuje,
Królów namaszcza“.
„Dość już... przestań... radzę,
Bowiem że ledwie złość moją hamuję.
Jam Król i Pan wasz! a wy... marne sługi!
Rycerz, nie rycerz... książę, czy nie książę!
Biskup, nie biskup! żaden inny drugi...

Żaden!... bo mu wraz purpurę zawiążę,
Że język wypnie i oczy wywali".

„Duchowna władza wyższą jest, niżeli
Twa ziemska Królu".
„Więc dostań z pod fali
Kleryka swego... Niech spłyną anieli
Spełnić twój rozkaz".
„Nie szydź Królu z wiary,
Abyś nie ściągnął na się niebios kary,
Aby cię kiedyś to nieszczęsne ciało
W Wisłę rzucone nie prześladowało".

„Dosyć tej mowy".
„Więc cię nie uproszę,
Bracie mój miły, o ciało zmarłego?"

„To! sobie u cię biskupie wyproszę...
Panem! nie bratem masz zwać Króla swego.
Ja! władzę dzierżę".
„A ja Królu większą,
Wiele silniejszą, o wiele piękniejszą".

„Słuchaj biskupie: Nigdy w jednej kniei,
W jednem leżysku dwóch wilków nie żyje.
Miarkuj to dobrze... i nie miej nadziei,
Bo ja każdego na miejscu ubiję,
Któryby ważył drasnąć moją władzę.
A więc i tobie raz ostatni radzę:
Nie wtykaj palcy nigdy między wrota,
Bo ci je utnę!"
„Gdzież twych ojców cnota?"...

„Za późnoś przyszedł na ten świat biskupie,
By Królem rządzić! W Rzymie się okupię,
Gdy cię ukorzę. Siedź zatem spokojnie,
Nie myśl, nie mędrkuj o tronowej wojnie.
Czołem przed Królem! Skończyłem me słowa.
Niech się nad Króla nie wznosi twa głowa,
Bo ci ją przytnę o całą szerokość,
O głowę skrócę biskupią wysokość“!

To mówiąc o stół pięścią z całej siły
Uderzał, tupiąc. Na skroni mu żyły
Siną krwią zbiegły. Biskup stał spokojny,
Król coraz głośniej:
„Nie wywołuj wojny!
Czołem przed Królem — wołał zapieniony —
Wara ci do mnie! wara do korony!
Jam Król, twój Pan... a wy sługi moje!...
Drżyj! zanim do mnie uchylisz podwoje“.

Oną przemowę Króla Jego Mości
Z biskupem Stanko, pod drzwiami w skrytości
Służba słyszała, i dalejże nosić
Złemi języki:
Że biskup był prosić
Króla o ciało zgasłego kleryka,
Że Król go pytał:
Żal ci klecho złota?...
Że potem tupał:
Biskup niech nie wtyka
Nigdy swych palcy, między drzwi lub wrota,
Bo mu je utną!
I dalejże z igły
Robiła widły. Pogłoski w duch migły

Po całym zamku. Śmiano się z biskupa,
Że chciał dostawać z nurtów Wisły trupa.
Szydzono nawet:
Kleryk zabrał złoto,
Któreby biskup był zgarnął z ochotą.

Takie rozmowy sierota-pacholę
Słysząc do ptaka mówiło:
„Sokole!
Ty takich oszczerstw powtarzać nie będziesz,
Boś ty me ptasie, boś ty me sokole,
Boś ze mną słyszał, jako tam na dole,
Tam, tam w Krakowie ze czcią rozprawiano
O chwale Stanka, chociaż go dziś rano
Król Pan znieważył".
„Cóż więc tam mówiono?—
Pyta ptaszniczy. — Gdyś ptaszęciu łono
Swoje otworzył, to i mnie go możesz.
Powiedz mi zatem coś był słyszał?"

„Boże!—
Westchnęło chłopię. — Toście nie słyszeli,
Że w pieczy mają biskupa anieli?
Wszak tam w Krakowie wszyscy ludzie wiedzą.
Prawda, że nie tak, jak my w grodzie siedzą,
Lecz z ludźmi mówią i słyszą o świecie".

„Powiedzże zatem, coś słyszało dziecię?"

„Stanko chłopięciem szedł do Gniezna w szkoły,
Szedł pieszo, boso.
Słonko parzyło, więc gdzie ostrokoły
Ogradzały fosą

Łaźnię wojskową — nie świadom praw życia —
Wszedł w nią i kąpie
Strudzone ciało. W tem wojsko z ukrycia
Wpada i rąbie
Chrust i brzezinę, z nich w duch rózgi wiąże
I: hejno! — woła —
Bij! a nie pytaj. Bij! kto pierw zawiąże,
Bij! jak kto zdoła
To oto chłopię, co jako deszcz z dachu
Spadło do łaźni.

Wybiegło chłopię, a nie mogąc w strachu
Wdziać szat z bojaźni...
Nago co siły w pole uciekało.
Wojsko z wrzaskami:
Dali go! hejże!... przez pole go gnało
Siekąc rózgami.

Chłopię strwożone siadło na kamieniu
Płacze, boć boli.
Płacze łzą krwawą, myśląc o sumieniu
Tych, co o doli
Brata bliźniego nie chcą słyszeć, wiedzieć,
Co drwią z opieki.

Tak pokrzywdzone musiałoby siedzieć
Wśród słońca spieki
Bóg wie i dokąd, gdyby nie anieli
W złotej światłości
Nie byli z niebios ku niemu spłynęli,
Cieszyć w żałości.

Chłopię aniołków słodziutko prosiło,
By tam u Boga
Nic nie mówili, że się mu tu śniło:
Że spadła trwoga.

Bóg jednak skarał to dzikie żołdactwo
Sromemi wrzody!
A ono pole unika robactwo
Jak zły pies wody!
Tam ciągła susza za karę panuje...
Ziemia jałowa...
Lud oną puszczę, mówiąc, pokazuje:
Góra popowa.

Tak tam mówiono, tam w mieście na dole,
Tak ja powtarzam".
Skończyło pacholę.

Ptaszniczy dawno przerwał swe chodzenie,
Słuchając chłopca, więc głuche milczenie
Izbę zaległo. W końcu rzekł ptaszniczy:

„Niechaj się każdy z Panem Bogiem licz„".

„Panie rodzony! nigdy na biskupa
Nic mówić nie trza, choć Jego Mość tupa.
Królowi Panu, że wolno być może?..
Nam jednak trzeba chować prawo Boże.
Tak tam na dole ludzie powiadają,
A ludzie przecież prawo Boże znają".

Umilkli obaj.

W tem trzasły podwoje...
Wpadł Król Jego Mość w ptasznicze pokoje,
I dziko wrzasnął:
„To kniazie sokole!
Ten brut fałszywy! het! wyrzucić w pole,
Lub mu łeb skręcić, niech go już nie widzę,
Bo niewdzięcznością, jak wężem się brzydzę".
Rzekł, drzwiami trzasnął.
Skoczyło pacholę:

„Chodź! Chodź ty ze mną, ty moje sokole!
Hej! na góry do mej chatki
Tam masz braci swych...
Hej! tam do mej drogiej matki,
Tu żyć dłużej grzech!"

I raz się tylko zakręciło kołem
Chłopię-sierota, i znikło z sokołem.

XIII.

ZNIEWAGA.

Już pod sam wieczór z dworem swym zajechał
Biskup Stanisław w progi ziemianina,
Jana z Brzeźnicy. Słodko się uśmiechał,
I witał gości pobożnego syna,
Który na chwałę Bogu wybudował

Schludny kościółek. Jan w rękę całował
Pasterza swego, a szlachta czapkami
W górę rzucając hucznymi krzykami,
Pełna radości, i co tylko siły:
Witaj nam! witaj pasterzu nasz miły,
Wołała, głusząc.
Stanisław serdecznie
Ze łzą dziękował, błogosławiąc słowy:

„Pokój wam dzieci. Niechaj będzie wiecznie
Chwalone Imię Pańskie".

Kornie głowy
Schylano przed nim.
Radość, szczęście płynie...
Jutro kościółek będzie poświęcony...
Sam biskup zjechał, by zacnej rodzinie
Okazać, jak jest wielce ucieszony
Z jej pobożności. Sam namaszczać będzie
Swiątynię Pana.

W kapłańskim urzędzie
Przoduje wszystkim. On niezmordowanie
Swe parafije objeżdża co roku,
Udziela rady, o wieczne zbawienie
Troszczy się owiec... wszystkich ma na oku.
Pasterz prawdziwy, ojciec nieszczęśliwych,
Podpora sierot, opiekun wdów tkliwy,
Przyjaciel szczery kapłanów żarliwych;
Występku, zbrodni wróg, sędzia straszliwy.

Właśnie w tej chwili, gdy Jan w chaty progi
Wiedzie biskupa, uderzono w rogi:

„Król!... Król Pan jedzie!... Gość niespodziewany!“
Radość to wielka, zaszczyt niesłychany.

„Król Pan niech żyje!“ — Dokoła wołają,
I z krzykiem: Czołem! — w chatę zapraszają.

Król był łaskawy. Biskupa powitał
Właśnie w tej chwili, gdy tenże się pytał
Jana o żonę, który pomięszany
Odpowiedź zwlekał.

„Janie mój kochany,
Gdzież wasza żona? Niechże ją powitam,
Pobłogosławię. Dzieci zdrowe, ładne,
Niech w Bogu rosną. O żonę się pytam
Janie mój drogi. Życie niech przykładne
Zacnych małżonków krzepi okolicę“.

Na one słowa pokraśniało lice
Jana z Brzeźnicy. Milczał jak zaklęty,
W końcu jednakże wyrzekł prawie w złości:
„Ja nie mam żony“.

„Zmarła?... Panie święty!
Biedne sieroty... już w pierwszej młodości
Straciły matkę... Żal mi was mój Janie“.

„Dosyć już, zadość tych żałości panie...
Żałujcie drugich, gdy macie ochotę“.

„Biskupie zacny, Jan ma tę niecnotę,
Że żony zmienia według podobania,
Codzień się prawie, to do innej skłania“.
Wyrzekł Król, śmiejąc.

Biskup poczerwieniał,
W miejscu przystanął, jakoby skamieniał.

„To być nie może! Janie na Brzeźnicy
Jestże to prawdą?... Wy!... do swej łożnicy
Nieślubną dziewkę“...

„A, co wam do tego!
A, co wam!... A, co wam do domu mego! —
Pieniąc się z gniewu, krzyczał Janko wściekle —
Co wam do tysiąc!... tysiąc czartów w piekle!
Wara wam do mnie!“
Król sporu nie słucha.
Już się zabawia w przyległej komnacie.
Biskup łagodnie korząc Bogu ducha
Wzruszony mówi:
„Janie, o mój bracie...
To być nie może, to hańba, zgorszenie.
Janie kochany, gdzież twoje sumienie?
Bez matki dzieci?!... Pojąć ją musicie,
I inne od dziś, przykładne wieść życie“.

„Co tobie Stanko!“
„O twoje zbawienie,
O przyszłość dzieci, o Ojczyzny mienie
Serce mię boli... Pojąć ją musicie,
I inne, mówię, cnotliwe wieść życie.
Ja pasterz proszę, ja ci rozkazuję,
Bo grzech twój ciężki owce moje truje!
Zaślubić masz ją... tak chcę!... tak kazuję!“

W źrenicy Jana krew płomieniem błysła,
Wężem stógłownej błyskawicy cisła.

„Kazuję!... komu?... Stanko?... szlachcicowi!...
Hej!... chłopcy, hejno!... Ja cię tu!... Janowi...
Ja cię nauczę!... Wyrzucić za wrota!...
Mnie!... i kto?... Jana! obelgami miota...
Ja ci! kazuję!... patrzcie?... patrzcie ino...
Kazuję!... komu?... kto?... Niechaj się zwiną!...
Ja cię!... patrzcie go!... w Króla obecności!...
Uchodź! powiadam, póki całe kości
Masz jeszcze w grzbiecie!“
I służba zuchwała
Skoczyła z krzykiem.
„Niechaj będzie chwała
Panu nad Pany“. Wyrzekł mąż cnotliwy,
I wyszedł z izby.
Hałas przeraźliwy
Rozległ się wkoło. Służba ziemianina
Na służbę Stanka z kijmi się rzuciła,
Wrzeszcząc zajadle:
„A toć mi gadzina!
W progi się nasze stąpić poważyła,
Aby lżyć pana!... A, to mi hołota!...
Pana znieważać?... Tam brama i wrota!“

Tak ujadając, kijami okłada
Sługi Stankowe. Wszech manatki składa,
I już za bramą.
Biskupa nie tknięto.

I tak w zniewagę zamieniono święto.
Pasterz wygnany, poświęcać nie będzie,
Popędliwością wstrzymany w obrzędzie.

Na bliskiej łące nocą zaskoczony
Spoczywa Stanko, a choć znieważony

Modły zanosi za Jana grzesznego,
A wielbiąc Pana, Stwórcę wszechmocnego
Przekrasną łąkę ze łzą błogosławi:

„Panie! nie mogłem, choć się serce krwawi
Dom chwały Twojej poświęcić ludowi...
Więc święcę pola memu narodowi:
W Imię Twe święte, wiekuisty Boże,
Niech ziemia sypie pokarm, Twoje zboże
Ludowi Twemu. Niech zakwitnie rola
Chwałą Twą Panie!“

I żegna wzdłuż pola,
Łzy wylewając.
Tak przebył do świtu.
Anieli Pańscy zstąpili z błękitu
I z nim w pokorze, chwaląc niebios Pana,
Modły zanoszą za grzesznego Jana.

Słysząc Bolesław o tem znieważeniu
Biskupa Stanko, w groźnem uniesieniu
Kazuje konie natychmiast kulbaczyć,
Wsiada i gromi:
„Szlachcic winien baczyć
Na cześć kapłańską!“
I konia ostrogą
Spina zgniewany. Koń w lot miga drogą,
I już za dworem.
Gniew on zamięszanie
Sprawia straszliwe. Kupią się ziemianie
I smutno gwarzą. Jan ochłonął z złości,
Pojął, że zgrzeszył, że w popędliwości
Zabrnął daleko.

Winę swoją głosi,
I pozostałych ziemian łzami prosi,
By za biskupem z nim jechać raczyli,
I do powrotu łzami nakłonili.

Ruszono konno. Już świtać zaczęło,
Gdy przed biskupem rycerstwo stanęło,
Prosząc o powrót. Jan z rzewnemi łzami
Całując stopy:
„Zmiłuj się nad nami
I poświęć kościół — woła zapłakany —
Wybacz mi winy pasterzu kochany,
Na klęczkach żebrzę".
„Bóg miły!... nie mogę...
Już i tak wczoraj splamiłem swą nogę,
Idąc w twe progi. Chcę kościół na chwałę
Bogu wiecznemu poświęcić słowami...
A, ty chcesz kościół obarczon grzechami
Święcić Wszechstwórcy!.., Co do mej obrazy
To tę wybaczam z serca tysiąc razy.
Tej ci nie pomnę. Idź w chatę spokojnie,
Lecz prowadź życie, jako mąż dostojnie,
Jako ziemianin. Pomnij na swe dzieci
I na ich matkę, a Bóg ci zaświeci
Gwiazdą miłości".

„Ojcze miłościwy,
Dla sługi swego racz być pobłażliwy,
I poświęć kościół, ulżyj mojej męce
I ślubem świętym połącz moje ręce
Z matką mych dzieci. Błagam cię ze łzami,
Błagam, o ojcze, o!... nie gardź prośbami,
Lecz pobłogosław nowożeńców życie.

Wybacz urazy. Włósienicę włożę,
Pokutą zmyję grzech pełniony skrycie,
Boga przebłagam".
„Wiekuisty Boże!
Dzięki ci składam pełnemi piersiami!"

Zawołał Stanko, i wraz z ziemianami
Do wioski rusza, aby kościół święcić,
I słowem wiary lud ku Bogu chęcić.

XIV.

POŚWIĘCENIE KOŚCIOŁA.

Biskup powrócił. Lud mrowiem się roi
Obok kościółka, przed którym tuż stoi
Namiot drewniany, ubogi, pielgrzymi
Płótnem pokryty, lecz możny swoimi
Prochami Swiętych, które w sobie mieści,
A których dusze Stwórca świata pieści,
Wieńcząc je chwałą.
One święte kości
W progi świątyni, wśród ludu radości
Wniesione będą, gdy już namaszczony
Kościół zostanie, gdy Ukrzyżowany
Już w nim zamieszka.
Dzisiaj śpią w namiocie
Na znak, że święci, żyjąc w Bożej cnocie,

Stałej siedziby nie mieli na ziemi,
Lecz głosząc wiarę, rękami własnemi
Nędzne schronienie w potrzebie stawiali,
W nim tajemnice Boże odprawiali,
Ucząc narody.

Biskup prosto z drogi
W namiot się zwrócił, przeszedł jego progi,
I w nim sam został jedyny żyjący
Z prochy świętemi.

Lichtarz jaśniejący
Jeden i drugi płomień gorejący
Rzuca w szałasie.

Duchowni dokoła
Klęczą namiotu. Ukląkł i lud z sioła
Modląc się z księżmi.

Tak przebyli dobę
Poszcząc o wodzie.

Biskup wdział żałobę
Z białą infułą, podjął święte kości...
Złożył w pergamin, i one świętości
Z trzema ziarnkami kadzidła zawija,
Lecz nim swój podpis kładzie, znaczy czyja
Kosteczka która.

Żegna się, a potem
Wychodzi wolno, staje przed namiotem,
I siedem psalmów pokutnych odprawia,
Sam się grzesznikiem wobec ludu stawia.

Ucichły psalmy... Biskup postępuje
Wprost ku kościołu... Proch ziemi całuje,

I świętym krzyżem upada przed drzwiami
Wołając:
„Panie! zmiłuj się nad nami".

W chwili tej naród litanię śpiewa
Do wszystkich Świętych, rzewne łzy wylewa
Korząc się Bogu.
Biskup się podnosi,
I sól i wodę święcąc Boga prosi,
By go wysłuchał, i raczył wesoło
Spojrzeć na ziemię... A wraz naokoło
Kościół potrzykroć obchodząc lud, siebie,
I mury kropi, prosząc:
„Ojcze w niebie
Niechaj te mury przenigdy obrazą
Niebios nie będą".
A za każdą razą
Ku drzwiom zamkniętym doszedłszy kościoła
Berłem w nie stuka, z całej piersi woła:

„Podnieście bramy, a wnijdzie Król chwały!"

Z wnętrza pyta się dyakon zdumiały
Ogromnym głosem:
„Któż jest ten Król chwały?!"

Za trzecią razą biskup odpowiada:
„Pan mocny, możny, Ten co światem włada,
On! Pan Zastępów. Tenci jest Król chwały!"

A gdy uczynił krzyż na wnijścia progu,
Drzwi się rozwarły.

„Chwała! Chwała Bogu —
Woła w głos biskup — niech w tym domu płynie,
Niech imię Trójcy po wiek wieków słynie".

I już na środku uklęka kościoła,
„Veni Creator" z rzewnemi łzy woła,
Podczas, gdy księża sypią krzyż z popiołu
Na którym biskup od góry do dołu
Pisze alfabet łaciński i grecki
Na znak, że kapłan, że wszech człowiek świecki
Wszelkich języków ma wstęp do kościoła,
Że kościół wszystkich w swe ramiona woła.
Pisząc, modli się wzniósłszy w niebo oko,
Korzy się duszą w nicestwie głęboko:

„Tysiące ludów, tysiąc językami
Na tym dokoła niezmierzonym świecie
Woła: O, Panie! burza żarem miecie,
Litość miej z nami!

Tysiące zwierza w tysiąckrotnej kości
Po lasach, borach, chwaląc promień słońca,
Cześć Ci zanosi bez końca, bez końca...
Stwórco miłości!

W obłokach nieba ptactwa miliony,
W przekrasnych piórach z owad gromadami
Śpiewa Ci Panie, błyszcząc skrzydełkami:
Nieogarniony!

To lasy, bory... a gdzież bezdne morze?
Gdzie jego twory? gdzie ich serca bicie?

Które Ci woła, dziękując za życie:
Chwała Ci Boże!

W kropelce wody cały świat zamknięty,
Tysiącem tworów niedosięgłych oku
Wielbi Cię Panie od świtu do zmroku:
O! Niepojęty!

Krople złączone w niezgłębione morze,
Nieskończonymi światy w swoim łonie
Od wieku wieków czcią dla Ciebie tonie:
Wszechmocny Boże!

Z każdą sekundą biliony ginie
Tworów, co dzięki złożyło za życie,
Ginie podnosząc serca swego bicie:
Cześć Twa niech płynie!

Z każdą sekundą nowe biliony
W życie zbudzone serce w niebo wznoszą,
I Twoją miłość nieskończoną głoszą:
Boże Wcielony!

Tak Cię ta ziemia, ta kropla kropelki,
Ten pyłek z światów wysławia o Panie!
Lecz czemże głos jej przed Twym tronem stanie?
O, Boże Wielki!

Szelestem listka, lub drżeniem powieki,
Brzękiem komara, muszką w pajęczynie,
Podźwiękiem lutni, co bez wieści ginie...
Kona na wieki".

Skończył modlitwę, i już przed obrazem
W wielkim ołtarzu klęka z księżmi razem...
I już mu wodę, popiół, sól i wino
Święcić przynoszą.

„Słowa Twe nie zginą
Jezu, mój Panie! — prawi lejąc w wodę
Wino przeczyste — Tyś Bogiem-Człowiekiem
Zstąpił na ziemię, by uczynić zgodę
Pomiędzy ludem... Człowiek śmie się wiekiem
Szczycić pamięci... To popiół! o Panie —
Wsypawszy popiół, woła — Zmartwychwstanie
Radością naszą — i wrzuca garść soli
Do wody z winem.

Zwraca się powoli,
I ku drzwiom głównym stępuje kościoła,
Na nich czyniąc znak krzyża z serca woła:

„Błogosławiony! kto wnijdzie w te progi
Z kruszonem sercem, bo temu dzień błogi
Sam Bóg zgotuje".

Przed ołtarz powraca
Krzyżem go święci, a mówiąc:

„Ta praca
Nędznych rąk ludzkich niech Ci Panie będzie
Chwałą po wieki, niech Majestat siędzie
Tu łaski Twojej". — I ołtarz obchodzi
Siedm razy w koło, a poczem kler wodzi
W krzyż po kościele kropiąc nieustannie...
I kościół zdaje Przenajświętszej Pannie
W świętą opiekę.

Wreszcie wodę wlewa
W wapno gaszone i wzruszony śpiewa:

„Dozwól mi Boże zażyć tej radości,
Że wapna prochem zamuruję kości
Świętych Wyznawców, tu w Twojej świątyni".

To odśpiewawszy nad wapnem krzyż czyni,
I resztę wody u stopni ołtarza
W ziemię wylewa.
Teraz idąc zważa
Na procesyą, kornie, cicho kroczy,
Chociaż był w namiot utkwił pilnie oczy.

I już w namiocie, i już święte kości
Niesie w świątynię... Naród drży z radości...
Przybył przed ołtarz, grób krzyżem naznacza,
Składa weń prochy, muruje, a zwłaszcza
Kryje kamieniem.
Murarze w pokorze
Kamień mocują, podczas gdy on:
„Boże —
Woła wzruszony — Tyś kamień węgielny!
Tyś w Sakramencie Ołtarza udzielny,
Tyś Królem królów!«
I Krzyżmem pięć krzyży:
Po dwa na boku, jeden w środku wyżej
Maści na płycie Ołtarza Bożego
Żebrząc:
„O Boże, niech Ducha Świętego
Łaska w nas wstąpi".
A teraz kościoła
Ściany namaszcza, którym gdyby z czoła
Dwanaście źrenic, dwanaście gorących,
Serc Apostołów, wiarą jaśniejących,

Z łona wytrysło, tak z nich świec dwanaście
W niebiosy gorze.
„Nigdy serc nie gaście —
Woła z łzą biskup — gdy płoną miłością!
Patrzcie... okadzam te światła z radością
Bukietem miry, by światło wieczyste
Za łaską Bożą znaszło serce czyste.“

Co gdy już spełnił przed ołtarz powraca,
I po pięć ziarnek kadzidła osadza
Na owych krzyżach, które wprzód namaścił,
Przyczepia stoczki, zapala takowe
I mówi:
„Aby człek niezaprzepaścił
Duszy, to niechaj jako te woskowe,
Mizerne świeczki jasnem światłem płoną,
I on zapłonął przed niebios koroną,
Korząc się sercem Tobie, o mój Panie,
Zanim ogłosić raczysz zmartwychwstanie“.

Rzekłszy, nakrywa ołtarz obrusami,
Boga na krzyżu drżącemi dłoniami,
Klęcząc ustawia, poczem Mszę poczyna,
I poraz pierwszy z Boga Ojca Syna
O litość błaga w tej nowej świątyni,
I od ołtarza po pierwszy raz czyni
Krzyż w strony świata.
Co gdy, pan Brzeźnicy,
On Jan zuchwały, kroczy w włosienicy,
I na twarz pada i prośbę zanosi,
I o ślub kornie poraz wtóry prosi.
Biskup jednakże, nim jego prawicę
Z prawicą onej, raczej, nim grzesznicę

Z nim stółą wiąże, nim ślub błogosławi
W te pierwej słowa pouczając prawi:

„A co niewiasty żądają Szymonie?“ —
Pyta się Chrystus ocierając skronie
Znużone pracą usiadłszy w drzew cieniu,
Na starym, siwym jak gołąb kamieniu.

— Lud to natrętny, Panie miłościwy,
Nie zważa nawet, żeś ledwie już żywy,
Że także spocząć i wytchnąć Ci trzeba,
Prze się i ciśnie, choć mu nie potrzeba.

— Lecz czego, pytam, niewiasty żądają?

— Dzieci przywodzą, uparcie nastają,
Byś włożył ręce na ich jasne skronie,
Byś błogosławił.
— O, przepuść Szymonie,
Przywiedź te małe, niewinne anioły...
Ich bowiem niebo. Ich uśmiech wesoły
Weselem moim.
To mówiąc włos dzieci
Ręką Bóg głaszcze, odgarnia i pieśni.
Tulą się małe, On je błogosławi,
I w one słowa pouczając prawi:

— Kto do się przyjął, przytulił sierotę,
Ten spełnił wielką, najszczytniejszą cnotę,
On przyjął bowiem w swoje nędzne progi
Boga w gościnę.
Lecz! ktoby je z drogi
Cnoty sprowadzał, gorszył złym przykładem,

A, gdyby... biada! dziecię jego śladem
Brnęło w grzech ciężki... o, stokroćby temu
Lepiejby było, gdyby ludzkość jemu
Kamień u szyi uwiązawszy w morza
Otchłań bezdenną, lub w przepaść rzuciła,
Nim złe nastąpi, nim go ręka Boża
Pomstą dosięże. Lepiej... by go była
Matka na ten świat nigdy nie rodziła".

Przestał na chwilę... jednak już drżącemi
Szepta ustami:
„Na tej marnej ziemi
Największe szczęście w życiu mię spotkało...
Szczęście! o jakiem i marzyć nie śmiało
Me biedne serce.
To szczęście się zowie:
Przybytek Pański święcić w Bożem słowie!...
Dzięki Ci Panie, żeś mnie robakowi,
Żeś mnie nędznemu świata grzesznikowi
Zezwolił dom ten nazwać progiem nieba,
I w nim dziś błagać, byś użyczył chleba
Wiernym Ci sługom.
Dzięki nieskończone
Składam Ci Boże! Z całej duszy płonę
Żarem wdzięczności.
A teraz, o Panie,
O, racz wysłuchać me korne wołanie:
Zezwól mi związek Jana błogosławić,
Zezwól Janowi pokutę odprawić".

I wraz się pyta:
„Janie na Brzeźnicy!?
Masz wolną wolę równej ci grzesznicy

Prawicę podać, ślubować w pokorze
Miłość do zgonu?“
„Mam“
„Chwała Ci Boże...
Chwała wieczysta!... Więc was błogosławię:
Żyjcie w miłości... Do Boga się wstawię
Z prośbą o łaskę dla was i dla dzieci.
Niechaj wam jasno gwiazda niebios świeci!
A teraz kościół w opiekę wam zdaję:
Baczcie na niego, póki życia staje“.

Rzekł i przeżegnał. Jan kornie dziękuje,
I rąbek szaty biskupiej całuje.

I radość wielka! Kościół poświęcony...
A w chacie Jana obiad zastawiony
Dla ziemian, braci, dla chłopków, czeladzi.
Wszyscy pospołu, wszyscy sobie radzi.
Tu niema pana. Wesołość dokoła.
Każdy jak umie chwałę Bogu woła.

Usiedli wszyscy zarówno przy stole,
Biskup Stanisław siadł w górze na czole.
Radość, wesołość. Tu chłopek szczęśliwy
Cieszy się panu. Tam kapłan żarliwy
Raz jeszcze słowa pasterza powtarza,
A wszech i wszelki na biskupa zważa.

Biskup potrawy krzyżem błogosławi,
A widno szczęśliw, bo z uśmiechem prawi:

„Po pracy, służbie posilić się trzeba...
Stwórca, Pan niebios, dał żyzny kęs chleba,

A więc dar Jego, by pokrzepić siły
Sporzyjmy razem.
Chryste, Panie miły,
Błogosław dary, które ziemia rodzi,
Z łaski niebiosów. A, gdy się nam godzi
Żebrać Cię Panie, to rzuć na nas oko,
Bowiem Cię wielbim ze serca głęboko".

Obiad był skromny. Trochę ryb, jarzyny,
Biskup albowiem niejadał zwierzyny,
Ślubując posty.
Cicho spożywali,
Jednak z radością, na mgnienie zważali
Księcia kościoła, który mniej niż mało
Brał w swoje usta, by posilić ciało.
Myślał był bowiem o dalszej czynności
Popołudniowej: o grobów świętości,
O poświęceniu cmentarza Bożego,
Na którym spoczną prochy wszech zbożnego.
Więc obiad kończy, kornie stół całuje,
I w owe słowa Wszechstwórcy dziękuję
Złożywszy ręce:
„W Imię Ojca, Syna,
Ducha Świętego. Niech nam wszelka wina
Zabytą będzie. O, odpuść nam winy
Ojcze niebiosów. O, racz nasze czyny
Pobłogosławić.
Niech Cię robak wszelki
Chwali i wielbi, jak on wszechświat wielki".

XV.

POWITANIE.

Już od tygodnia Mścisław w gronie gości,
Na samym krańcu swej rodzinnej włości,
Rozpromieniony, Króla oczekuje,
Który to właśnie słowa dotrzymuje
I w jego chatę jedzie w odwiedziny.
Sąsiad Mścisława swoje wnuki, syny
Wzdłuż granic swoich rozstawił szeroko
Dając im rozkaz, by ich bystre oko
Bacząc na drogę zobaczywszy Króla,
Szybciej z tą wieścią wracali, niż kula
Z góry rzucona bieży ku dolinie.
Z niecierpliwości Mścisław cały ginie.
Onby już pragnął Króla Jegomości
Witać i płakać z serdecznej radości.
W tem pierwszy tuman podniósł się na drodze...
To syn sąsiada rozpuściwszy wodze
W lot wierzchowcowi, pędzi co koń skoczy,
Bo on to pierwszy, jego bystre oczy
Ujrzały Króla. Pędząc głośno woła:
Jedzie już! jedzie! Już w granicę sioła
Wkroczył naszego.

Mścisław drżał z radości
I — wspierajcie mię — błagał swoich gości,
Którzy podtenczas pasy zdejmowali,
I niemi drogę Panu wyścielali;
Co gdy skończyli w półkole stanęli
Długie, szerokie i z głów hełmy zdjęli.

Mścisław stał przodem trzymając w swych dłoniach
Chleb z ziemi ojców.
Już orszak na błoniach,
Już tuż! już przy nich... i... już Król w półkolu,
Które ziemianie na szerokiem polu
Kołem ścieśniają... i już Król Pan Mości
W środku zamknięty.
„To Mścisław tak gości —
Prawi Król żartem — że mnie więźniem bierze?!
Ja w puch rozbiję twe turmy i wieże".

„Lecz serca mego nie rozbijesz Panie,
Które cię kocha, które za cię wstanie
Jest skoczyć w ogień. Wielbię Stwórcę nieba,
Żeś ty mym gościem. Ten czarny kęs chleba,
Który u stóp twych składam ci ze łzami,
Racz przyjąć Panie z naszemi sercami...
A bądź nam łaskaw. To chleb z ojców roli".

Rzekłszy to Mścisław przyklęknął powoli.
Król wziął dar Boży. Ziemianie krzyknęli:
Niech żyje Król Pan!... i kolana zgięli.

U wrót zagrody nadobna Krystyna
W gronie ziemianek kornie czoło zgina
Przed Królem Panem, i w chatę zaprasza
Miłemi słowy:
„Wam się, Miłość Wasza,
Do kolan ścielę, prosząc w niskie progi
Ubogiej chaty, lecz racz Panie drogi
Z góry wybaczyć wszelką niewygodę
W zgrzybiałej strzesze. Racz naszą zagrodę
Zaszczycić sobą miłościwy Panie,

I racz i przyjąć szczere me staranie,
By ci tu u nas dnie słodko płynęły,
I niespodzianie po sobie ginęły".

„Witam was Krysto. Nader się raduję
Zdrową was widzieć. Gościnę przyjmuję,
Jednakże proszę nie uszczerbiać siebie...
Przy waszem sercu będzie mi jak w niebie.
A teraz raczcie dać mi kątek w chacie,
Bym się ogarnął, bom w podróżnej szacie.
Proszę was, Krysto".

„Miłościwy Panie —
Odparła Krysta — nim twa noga stanie
Za progiem chaty racz przyjąć łaskawie
Kwiat z naszej roli, co po łące, stawie
Bogu rozkwita, kojąc nasze smutki
Swemi wdziękami... To kwiat Niezabudki...
A to, Stokrótka... na niej łza przeczysta...
Przyjmij je Panie".

„Niezabudka?... Krysta?...
Stokroć mię pomni? — rzekł cichemi słowy
Król Pan do Krysty, zdjąwszy kołpak z głowy —
Krysto... ty piękna".

Krysta się spłoniła,
Lecz w tejże chwili Króla zaprosiła
W progi domostwa.

Ziemiánek rój cały.
Ziemian bez liku! Zda się, że dwór mały
Już ich nie zmieści, jednakże przeciwnie,
Albowiem wszyscy mieszczą się przedziwnie
W starem domostwie z największą wygodą,
Oraz ze szczerą staropolską zgodą.

Jedni na strychach, a drudzy w stodole
Na sianie, słomie, inni zaś na dole
Ubitych boisk nocleg swój znajdują,
I nim szczęśliwi nader się radują.
Nikt się nie żali, lecz owszem sąsiada
Wiedzie w swe miejsce, a prosząc powiada:
Tu w tym kąciku będzie ci dogodniej,
Przyjm go więc bracie... tu wiele wygodniej
Wypoczniesz sobie... ba!... lepiej niż w domu.
Tobie go daję, a więcej nikomu!
Sąsiad go ściska, za łaskę dziękuje,
I prawi, że się swym kątkiem raduje,
Bo on tu przybył popierać Mścisława,
Gdy tenże gości króla Bolesława.
A, gdzie spać będzie? czy tu? czy w stodole?
To mu to fraszką... byle w braci kole.

Król zajął izby w mieszkaniu Mścisława,
Któremu służy za posłanie ława
Tuż u drzwi Króla. On bowiem w dzień, w nocy
Chce być Królowi ku wszelkiej pomocy.
Krysta z macierzą, oraz z ziemiankami
Mieści się w trzeciej części ze sługami,
Bowiem część średnia, ku wspólnej zabawie
W przepych zmieniona, zda się równać prawie
Swietności grodu. W niej ma być goszczony
Król Pan, miłością ziemian otoczony.

Popłoch z radością mięsza się nawzajem,
Dwór w Bużeninie płynie szczęścia rajem,
Bolesław, Król Pan, wkroczył w jego progi.
Otworem stoją izby, spichrze, brogi
Dla dworu Króla, dla jego drużyny.

Łaska to wielka pańskie nawiedziny.
Mścisław kolana ściska Panu swemu,
Rad mu nad miarę, rad Miłościwemu.

Weselem kipi ziemia w Bużeninie!
Szlachta kotłuje, jako pytel w młynie.
Wszelki się spieszy służyć sąsiadowi,
Aby tem oddać cześć winną Królowi.

XVI.

WESELE.

I ludek Boży pokornie się ciśnie,
Wiedzie dziewczęta krasne, gdyby wiśnie,
I Króla Pana na wesele prosi...
I już Majestat na swem ręku nosi.
Król rad nad miarę cichemu ludowi,
I rad nad miarę panu Mścisławowi.
Króla lud wita:

Niechaj będzie pochwalony
Jezus Chrystus i Maryja!
Witaj Panie nasz rodzony,
Niech ci wszelka chata sprzyja.

Prosimy cię na wesele,
Racz więc wstąpić w niskie progi,

Zasiąść w chacie nam na czele,
Jako Król Pan, Ojciec drogi!

Król słuchał piosnki prawiąc do Mścisława
Z szczerą radością:

„O, to twoja sprawa,
Że lud ten cichy czci Piasta koronę.
Dzięki ci za to!... Ja za ludem tonę...
Szczęścia dlań pragnę, bo on cnotę chowa
I wielbi Boga".

Wyrzekłszy te słowa
Wszedł wraz z Mścisławem pod strzechę do chaty,
Wiedzion przez druchny. Na świetlicy progu
Matka domostwa w najskromniejsze szaty
Odziana, prawi:

„Chwała Panu Bogu!
Witaj Jego Mość, witaj Królu miły
W tej biednej chacie... Błogosław ci Boże!
Oto chleb żytni, druchny go kisiły;
O, racz go przyjąć, błagam cię w pokorze".

Król wziął chleb Boży z ręki gospodyni
I rzekł wzruszony:

„Dziękuję serdecznie...
Lecz, gdzież jest młoda?"

„W komorze na skrzyni
Siedzi i płacze, bowiem pragnie wiecznie
Przy ojcach zostać. Lecz już się szykują
Druchny do śpiewu... już wyjdzie z komory
Moja Zosieńka... Już różdżkę gotują...
Już konie ciągną do wozu z obory".

I śpiew się rozległ rzewny, lecz ochoczy,
Król na dziewczęta podniósł czarne oczy.

A wstawajże jagódeczko
Póki jeszcze śpi słoneczko,
Bo gdyby cię w śnie zastało
Mocnoby się sfrasowało.

Jaśby stracił swe nadzieje
Widząc, że śpisz, gdy kur pieje,
Bo on pragnie gospodyni,
Co ze świtem już chleb czyni.

Bo choć Jasiu jak mirt świeży,
Bo choć rado do cię bieży,
To się zbliżyć nie ośmieli,
Gdy zobaczy, żeś w pościeli.

A więc Zosiu rzuć łóżeczko,
Bo już wita cię słoneczko,
Bo przez łąkę Jasiu bieży
Wprost gdzie wianek z mirtu leży.

Wianeczek się kołem toczy
Jasiu w niego utkwił oczy...
I już chwyta wianek drogi
Już całuje ojcom nogi.

Nie płacz zatem Zosiu, złoto,
Lecz z komory wyjdź z ochotą,
Bo starosta na cię czeka,
Janek płacze i narzeka.

Lecą z wianka twe gwoździczki,
Wychodź Zosiu już za drzwiczki,
Wychodź Zosiu już za progi
Ucałować ojcom nogi.

Pokłonić się starej chatce,
Podziękować ojcu, matce
Na kolanach za staranie,
Za naukę, za karanie.

Bo, gdy ojciec, matka bije,
To i ciało i duch tyje,
Krzepko rośnie, chwali Boga,
Bo mu świeci cnoty droga.

W tej chwili wyszła Zosia zapłakana
Z komory za próg w stążeczce na głowie,
I ojca, matkę, padłszy na kolana,
W stopy całuje, podczas gdy w tem słowie
Prastare dzieje tak drużba wywodzi:

„Że z grzechu Ewy człek się na świat rodzi,
To wszyscy wiemy; lecz jako to było,
Że Adam zgrzeszył, i że się zrodziło
Nieposłuszeństwo względem Bożej woli,
To chcę przypomnieć, by o naszej doli
Młodzi słyszeli.
Był sad, a w tym sadzie
Osadził Pan Bóg Adama w paradzie,
Oddał mu wszystko: zwierzęta i drzewa,
Więc konie, krowy, dęby, sosny, krzewa.
Szczęśliw był Adam, lecz mu się przykrzyło,
Bo wszelkie zwierzę, które w raju żyło

Z nim się rozmówić nie mogło rozumnie.
Więc wołał smutny: Wejrzej Boże na mnie,
Żem jest samotny, daj mi towarzyszkę,
Bym mógł z nią dzielić hojną strawy łyżkę,
Którą mi dajesz. Bóg wysłuchał mile
Prośbę Adama; uśpił go na chwilę
I z boku jego wyjął żebro jedno,
I z niego stworzył naszą Ewę biedną,
Którą oddając ojcu Adamowi
Za towarzyszkę, wiódł go ku sadowi,
W którym mu wskazał rozłożyste drzewo,
I rzekł surowo:
Adamie i Ewo...
Wszystko jest wasze, jak okiem sięgniecie,
Wszystko jest wasze, co żyje na świecie
Oprócz owocu z tego oto drzewa,
Bo on jest grzechem! Mój wyrok opiewa:
Że skoro tylko owoc grzechu zjecie
Raj wam przepadnie, wy śmiercią pomrzecie!

Ciekawa Ewa drzewu się przygląda,
A tu z pod liści wąż szelma wygląda,
Jedno jabłko zrywa
I na Ewę kiwa.
Ewa doń podchodzi,
A wąż tak wywodzi:

Jabłko rozum Boży,
Kto więc umysł hoży
Pragnie mieć po wieki
Bez Bożej opieki,
Ten niech go smakuje,
I niech się raduje,

Bowiem w nim się skupią
Wszech Boże mądrości.
Nie bądź Ewo głupią....
Jedz owoc miłości!

Tak kusił sobaka.
Ewa spiekła raka,
A patrząc na męża
Jabłko z paszczy węża,
Chociaż jak śmierć zbladła,
Do rąk wziąwszy jadła;
Lecz gdy go dość miała,
Ogryzek podała
Swemu kochankowi,
Ojcu Adamowi.
Adam go spożywa,
A Pan Bóg się gniewa...
I pyta Adama,
Czyli Ewa sama?
Adam zrazu kłamie...
Bóg mówi: Adamie!?
A fora
Ze dwora
Rajskiego
Mojego!

Więc dziś Ewa płacze
I piecze kołacze.
Adam ziemię orze
I wzdycha: O Boże!

Lecz, kiedy się stało,
Że zgrzeszyło ciało
Przez jabłko i węża,

To gdy dziewka męża
Ślubami pojmuje,
To, niech mu daruje
Wraz z swemi oczkami
Różdżeczkę z jabłkami.“

Najbliższa druchna Zosię za dziewuchy
W tył usunęła i różdżkę wyniosła.
Stanęła przodem, a czyniąc nią ruchy
Przyjemne oku, taką piosnkę wzniosła:

Jabłoneczkem posadziła...
Ona mi się dziś rozwiła
W same jabłka, w same kwiecie,
Bo jak słonko grzeje w lecie,
Tak ją Zosi matuś miła
Swą opieką, łzą karmiła.
Zosia rosła pod jej cieniem,
Była matce całem mieniem.

Jabłuszeczka są czerwone,
Jej listeczki są zielone,
A wstążeczki wiejąc wkoło
Szumią sohie tak wesoło,
Że Jasiowi serce skacze,
A Zosieńka rzewnie płacze,
W głos zawodzi: Krom matuli
Któż mię sercem dziś utuli?!

Hej starosto możny panie,
Kupże różdżkę, boś jest wstanie,
Jaś ci za nią podziękuje,
Kolana ci ucałuje.

Daj łan pola, daj grosiwo,
Konia z pługiem, krówkę siwą...
Zosia biedna... daj na wiano
Sześć kóp żyta, w brogu siano.“

To odśpiewawszy raźno postąpiła
Wprost ku staroście, fartuch nadstawiła,
A dając różdżkę oczętami prosi,
Jakby mówiła: Daj na wiano Zosi.
Starosta sypie grosze do fartucha,
Ona udaje, że niby nie słucha,
Bo wtył się patrzy, gdzie jest panna młoda,
A on jej prawi:
„Zosia, jak jagoda..
Bóg jej pomoże“.
„O, panie starosto,
Racz mi wybaczyć, że ci rzeknę prosto.
Różdżka jest piękną, a małoście dali...
O, Bóg pomoże... a wybyście brali
Darmo różdżeczkę?... O, Bóg dopomoże,
Lecz ludzie muszą... Miły Panie Boże...
Wstydź się starosto!“
„Wszak brzęczy w fartuchu“.
Rzecze starosta.
„Czy nie macie słuchu,
Że to obrączki?“
„A niechże cię licho
Porwie dziewucho, zdasz się mówić cicho,
Aleś uparta“.
„Bo nim Zosia wić usiadła,
Beczkę miodu z chlebem zjadła,
Siedm przełazków w noc przelazła,
Zanim różdżkę tę znalazła.

Bośmy różdżkę z Zosią razem,
Klęcząc ze łzą przed obrazem,
Ubierały w tę niedzielę...
Dajcie chociaż z krówką cielę".

„E, taką różdżkę?... bredzisz dziewko marno —
Rzecze starosta — ja ci dam zadarmo
Jeszcze piękniejszą".

Tobym chciała widzieć rada,
Że starosta prawdę gada.
Dajcież zatem różdżkę swoją,
A ja oddam darmo moją".

Na takie słowo wraz starosta sięgnie
Ręką za siebie i powoli ciągnie
Miotłę brzozową, do góry ją wznosi,
Srogo nią grozi i mówi do Zosi:

„To różdżka, różdżeczka...
Pilnujże łóżeczka,
Aby czyste było,
Cnotę tylko kryło!
A teraz dziewki — wpół zgniewany woła —
Dać wianek Zosi, czas już do kościoła!"
„A, cóż z różdżeczką?" Król się nagle pyta.
A druchna prawi:
„Króla pana wita
Prosząc w starostwo."
I Zosia przypada,
A chociaż z płaczu, jako płótno blada
Kłania się prosząc:

Chociem dziewką prostą,
Racz mi, o Panie, usłużyć starostą. —
A padłszy plackiem do nóg Bolesława
Prawi ze łzami:
„Padłaby niesława
Pod strzechę moją, gdyby od ołtarza
Nie wiódł mię dziedzic... Lecz, gdy on obdarza
Dzisiaj gościną Was, Mość Królu Panie,
To i on ze mną wraz z mą prośbą stanie,
O, bo pan dobry... Bądźcie mi starostą,
A szczęsna pójdę do ołtarza prosto.
Jakób nasz stary... to drugi starosta...
Wy go już znacie".
A ten:
„Człek nie sprosta
Dzisiaj zbytkowi, Panie nasz rodzony,
Gdyby i więcej sypały zagony.
Za dawnych czasów to i świat był inny,
Lecz rzeknę Panie, że być był rodzinny!
I ja, jakoby dziś, pomnę me wesele...
A było w trzecią po świątkach niedzielę,
Roku Pańskiego... nie pomnę którego.
Trojaka grała naprzemian muzyka:
Raz flet ze smykiem wydudniał skocznego,
Drugi raz basy nie żałując smyka
Hukały galop, trzeci raz kobzica
Dęła krętego tak, że aż spódnica
Furgała dziewkom koło głowy w koło,
A pot parobkom zlewał zgrzane czoło.
Trojakie szaty, jako obleczenie
Miał człek na sobie, bo pełne kieszenie
Mamony było. Była więc sukmana
Pióro u czapki, buty po kolana

Na zgrzypkach były. Był i pas skórzany,
Koszula biała, a guzik kościany
Błyszczał u szyi. Były i wilczury,..
A teraz o to... ot łaty i dziury!
Tak miły Panie... wszystko na tym świecie
Jako ta para. A, jak dziś?... to wiecie".

„Nakryjże łaty mój miły starosto —
Dając Król kiesę — i chodź ze mną prosto
Przed ołtarz Pana, jako nam kazała
Mołojca nasza. Chodź, by się nie śmiała,
Że tylko gderać i łajać umiemy,
Lecz niechaj i wie, że służyć umiemy.

„Miłość, nasz Panie, jeszcze nie jedziemy,
Zosia bez wianka... a przed Bogiem gniemy
Kolana nasze. Wszak błogosławieństwa
Ojcowie Zosi, zanim ją z panieństwa
Janko wywiedzie, jeszcze jej nie dali.
Musimy zaczkać. Jeszcze nie zagrali
Piosnki o wianku. Jednak już druchneczki,
Jako widzicie znoszą gałązeczki,
I biedną Zosię w kąciku sadzają,
Wedle skromności... Oho!... już śpiewają".

„O wianeczku lewandowy!
Nie spadaj mi z mojej głowy,
Bom cię z tęskną piosnką wiła,
Z wolą Bożą się godziła.

O wianeczku z rozmaryna!
Niech pamięta wszech dziewczyna,
Że twa jedna gałązeczka
Raz zerwana... nic z wianeczka.

O wianeczku cyprysowy!
Niech o tobie prawią mowy,
Że cię złoto już bez znaku
Nie zapłaci w korcu maku.

O wianeczku mój zielony!
Złotą nicią przepleciony...
Złoto marność, cnota mienie,
Bo w niej Boże tli zbawienie.

O wianeczku lilijowy!
Wij się skromnie koło głowy,
Bowiem Józef i Maryja
Niewinności sercem sprzyja".

Gdy druchny wieniec Zosi upinają,
Ona w głos płacze... drużbowie śpiewają:

„Nie płacz Zosiu, nie płacz! o nie psuj początek,
Bo to temu płaczu dopiero początek.

Nie będziesz ty Zosiu od dziś wody nosić,
Ale za to będziesz oczka łzami rosić.

Janek tęgi chłopak w pracy nie żartuje,
Jak się będziesz lenić kijem wysmaruje.

Nie płacz Zosiu, nie płacz, bo jeszcze nie bije,
Bo jeszcze i tatuś i matusia żyje".

Król śmiał się szczerze, Jakób jednak stary
Brwi zmarszczył, i rzekł:

„Już nie macie miary
Chłopcy w rozpuście. Tego już za wiele,
By złemi żarty psuć Zosi wesele.
Stół dać na środek. Zosia już w wianeczku...
Skoczyć po Janka, czeka w ogródeczku".

Jedni stół ciągną, a drudzy po Jana
W ogród pobiegli, a Jakób do Pana
Zwrócił się szepcąc.
„Błogosławić będzie
Najpierw matula, jako zwyczaj wszędzie,
Wiążąc im ręce, potem ojciec siwy,
Potem ja, a wy, Panie miłościwy,
Po słowach moich.
Już stół ustawiony,
Na nim bochenek. Jan rozpromieniony
Wchodzi z drużbami, a Zosieńkę drużki
Wiodą do stołu. Zosia ojcom nóżki
Ręką objęła. Matka ją dźwignęła
Całując w czoło... poczem chleb ujęła
I na nim ręce młodych położyła,
Wiążąc je chustą, krzyż Pański czyniła:

„Błogosławże was Jezus i Maryja,
Błogosławże was kto domowi sprzyja".

Rzekłszy te słowa na męża spojrzała —
Teraz ty, ojcze — z płaczem wyszeptała.
Starzec się zbliżył, krzyż Pański położył
Na głowach dzieci, i ręce rozłożył:

„Błogosławże was Jezus i Maryja,
Błogosławże was kto dworowi sprzyja".

Zosia w głos jękła, Janek zakrył oczy,
By łzy utaić, które cicho toczy.
Jakób się zbliżył, krzyż Pański położył
Na nowożeńcach, i ręce rozłożył:

„Błogosławże was Jezus i Maryja,
Błogosławże was kto Królowi sprzyja“,

Teraz już w izbie wszystkie dziewki płaczą,
Parobcy tylko pilnie na się baczą,
By mężnie zostać, by łzy nie uronić,
By bicie serca hardością zasłonić.
Lecz Król się zbliża i rękę podnosi
Krzyż Pański czyniąc, błogosławi Zosi:

„Błogosławże was Jezus i Marya,
Błogosławże was kto Ojczyźnie sprzyja“.

Teraz jęk głośny zatrząsł ścianą chatki...
Płakały druchny, drużbowie i matki,
Płakali starzy, młodzi i zgrzybiali,
Jednak się przez łzy młodym uśmiechali,
A czyniąc naraz krzyż Pański w pokorze
Razem wyrzekli:
Miluteńki Boże!
Błogosławże ich, Jezus i Maryja,
Błogosławże ich, kto ludzkości sprzyja“.

Płacz nie miał końca, Jakób nawet oczy
Otarł sukmaną, lecz zaraz się boczy,
Brwi groźnie marszczy i na drużbów woła:
„Wstyd chłopcom beczeć... czas już do kościoła.
Podawać konie. — A mówiąc: Nasz Panie —

Do Króla Pana — Zosia z Jankiem stanie
Na ślub przed Bogiem za maleńką chwilę —
Prosił go — raczcie, przodować jej mile".

Wsiedli na wozy z biczysków trzaśnięto...
I z chaty w kościół, jak w największe święto,
Raźno ruszono. Zostały kucharki
I ustawiały i miski i garnki,
Miód sposobiły, a chłodne nalewki
Z serem i z chlebem rozlewały dziewki,
A tako hożo, a z taką miłością,
Że patrząc na nie łza biła radością;
A co z nich która miskę ustawiła,
To przez okienko głowę wychyliła
Czyli już jadą? czyli już wracają,
Czyli już skrzypki wesołego grają?
I śpiew się rozległ:

„Kółeczka się obracają,
Z kościółeczka powracają
Wiozą w chatę gospodynię,
Jaś z radości cały ginie.

Guziczki się Zosi świecą,
Raźno konie w chatkę lecą,
Bowiem służą gospodyni,
Co chleb kwasi i żur czyni".

Z dziarską piosenką wjechali wesoło
W podwórko chaty, i trzykroć go w koło
Szybko obiegli, a poczem przed chatką
Pierwszy wóz stanął z Królem, z ojcem, z matką.
Po nich wysiedli raźno państwo młodzi,

A przed nich z chlebem już matka wychodzi,
I po raz wtóry z progu błogosławi:

„Niech Bóg najwyższy swoją łaską sprawi,
By u was w chacie nie zabrakło chleba,
By na was spadła wszelka łaska z nieba“.

Tymczasem druchny Zosię okalają,
Rade, że jeszcze w gronie swem ją mają.
Skrzypek od ucha, a bas posuwisto
Tną im skocznego. Wzdłuż stołu rzęsisto
Misa przy misie. Młodym cześć oddają,
Bowiem ich w środku stołu usadzają.
Wprost Król, rodzice, przy nich starostowie,
Tuż druchny, goście. Usługę drużbowie
Pełnią ochoczo.
Na dania są kury,
Ciele pieczone, piróg prosto z rury,
Kasza z śliwkami, z kiełbasą kapusta,
Jest wieprzowina według woli tłusta,
Albo też chuda. Są wszelkie jarzyny,
Nie braknie nawet kuropatw, dziczyzny.
Bo te już dziedzic sam przysłał do chaty,
Ażeby obiad był suty, bogaty,
Bo Król starostą. Drużbowie próbują
Każdej potrawy, próbując żartują:

„O, twarde jak kość... ocho! przysmędzone,
Kwaśne aż krzywi... ciele przypalone,
Nie tknijcie nawet, niechaj zje kucharka,
Kiedy nie umie dopilnować garnka“.
Lecz goście na złość jedzą aż się uszy
Trzęsą z prędkości i śmieją się w duszy,
Bo im smakuje.

Naraz Król powstaje,
Kubek podnosi i znak ręką daje,
Że mówić pragnie. Więc się uciszono,
A on przemawia:
„Ozdoby koroną
Jest lud cnotliwy. Zdrowie ludu piję,
A Boga błagam: Boże! niech lud żyje
Zgodnie z Twą wolą i zgodnie z koroną,
Niech będzie Wiary, Ojczyzny obroną!
To me pragnienie. Życzenie dla Zosi:
Niech kocha Boga, miłość w sercu nosi
Dla męża swego. Żyjcie państwo młodzi
Ku Bożej chwale... niech was miłość godzi!“

Zosia upadła do kolan Królowi.
Król kubek spełnił i podał Janowi.
Jan go napełnił.
„Na kolanach piję! —
Krzyknął radośnie — Król Pan niech nam żyje!“

Z kolei pito zdrowie przyjacieli,
Słowem każdego, który dzisiaj dzieli
Radość weselną. Gdy tak już skończono
Wszech, wszystkich zdrowie, stoły odstawiono,
Więc pierwsza druchna biorąc w taniec Zosię
Tuż przed muzyką stanęła ochoczo,
I pieśń wesoło, gdyby na pokosie
W głos zaśpiewała. W duch parobcy skoczą
Po swoje druchny, jednak w miejscu stoją,
Choć nogi drgają, albowiem się boją
Zwykł dziadów ruszyć, bo o to się gniewa
Nawet Bóg w niebie.

Podczas ten tak śpiewa
Najbliższa druchna:

„Niechaj będzie pochwalony
Z Panieneczki narodzony
Jezus, a z Nim i Maryja,
I kto naszej chacie sprzyja.

Niechaj będzie powitany
Król, Jego Mość, ukochany,
A z nim Mścisław, pan nasz miły,
A ty skrzypku graj co siły".

Tak ośpiewawszy z Zosią się puściła
Wirowym tańcem; raźniutko się wiła
Wkoło świetlicy. Drużbowie w oddali
Z swemi druchnami, cierpliwie czekali
Na oną chwilę, w której wszyscy w koło
Sunąć się będą z piosenką wesoło.
Druchna nareszcie z Zosią przystanęła,
I kuchareczkę w pół pasa ujęła,
I z nią raźniutko, jak sarneczka chybka
Z piosnką na ustach podbiegła do skrzypka.

„Niechaj będzie ukochana
Kuchareczka zmordowana,
Że nam gody wyprawiła,
Smaczny obiad przystroiła.

Trzy dni z rzędu nic nie jadła,
Trzy dni nawet nie usiadła,
Tylko piekła i smażyła,
Swą nas pracą uraczyła.

Więc też za to wszyscy wkoło
Puśćmy się w taniec wesoło,
Ona ze mną niech przewodzi,
Bo pierwszeństwo jej się godzi".

I ledwie tylko krok pierwszy ruszyła,
Już się parami izba zapełniła.
A, gdy tak taniec trzykroć obiegł w koło
Izbę weselną, Zosia chyląc czoło
Przed Królem Panem, rączęta podniosła...
Pary stanęły, ona piosnkę wzniosła:

„Jedzie rycerz w złotej zbroi,
Co nikogo się nie boi,
Wraca wesół z krwawej wojny,
Kto to?... Bolko!... Król nasz hojny.

Wraca, wraca z ziemianami,
Wraca, wraca z rycerzami!
Wraca chwałą otoczony,
Wiezie berła i korony!

Pobił Rusy, Węgry śmiałe
I Pomorzan wojska całe,
Rozprawił się i z Czechami,
I rozrządza ich tronami.

O, Król Bolko mężny, śmiały,
Szczodry, hojny i wspaniały,
Ojciec ludu i obrońca,
Jego męstwo, to blask słońca!"

Po każdej zwrotce grzmiał taniec ochoczy,

A każda para pełne szczęścia oczy
Na króla Pana zwracała z radością,
Bowiem się jego cieszyła miłością.
On śledził ruchy prawie każdej pary,
Bo ten śpiew, taniec... o, to cenne dary
Miłego ludu... one serce pieszczą,
I miłość Panu i Ojczyźnie wieszczą.

Królowi gody sercem się rozśmiały,
Bo w pośród ludu pozostał dzień cały.
I gdy już właśnie chciał wracać do dworu
Hukło coś raptem, a tuż z poza boru.

„Czepiny będą Panie miłościwy —
Szepnął doń Mścisław. — Młody niecierpliwy.
Patrzcie już baby młodą posadziły,
I nim młódź wpadnie będą ją czepiły.
Zostańcie chwilkę... Patrzcie młoda siedzi
Już w środku izby... o! patrzajcie Panie
W koło niej tańczą... wraz poczną śpiewanie.
O!... biedna młoda, już bez mirtu głowa,
Czepek jej kładą... ona drąc go chowa
W krasny fartuszek. O!... już kosy spadły...
Leżą na ziemi. Młodej lica zbladły.
Cieszy ją macierz. Druga starościna
Niby jej włosy poprawia i spina,
A tuż jej czepiec bez litości wdziewa,
A łzą zawodząc... jakoż! rzewnie śpiewa:

„Oj! chmielu, chmielu, oj pijane ziele
Nie będzie bez cię, oj, żadne wesele.

Oj! chmielu, chmielu, byś na tyczki nie lazł

Nie robiłbyś ty z krasnych dziewcząt niewiast,
Ale ty chmielu w duch na tyczki leziesz
A kiedy chmielisz?,.. oj! nie wiesz... oj! nie wiesz.

Oj! chmielu, chmielu, oj pijane ziele
Nie będzie bez cię, oj, żadne wesele.

Oj! chmielu, chmielu dziewoja zawodzi,
Żeś ją podchmielił, że za chłopcem chodzi,
Że chodząc śpiewa: podchmielże mię lepiej,
By mi przy mężu było w chacie cieplej.

Oj! chmielu, chmielu, oj pijane ziele
Nie będzie bez cię, oj, żadne wesele.

Idź Zosiu w ogród i podziękuj zielu,
Podziękuj druchnom, całemu weselu,
Podziękuj kwiatkom, że cię ustroiły,
Podziękuj matkom, że cię oczepiły.

Oj! chmielu, chmielu, oj pijane ziele
Nie będzie bez cię, oj, żadne wesele.

Idźże już Zosiu pokłoń się mężowi,
A od dziś nie wierz żadnemu gachowi,
Bo gdy cię mąż twój sercem kochać będzie,
Bożą Opiekę znajdziesz Zosiu wszędzie".

Młoda słuchając główkę pochyliła,
I zapłonione oblicze zakryła
Drobniutką rączką. Płacze w głos nieboga,
Lecz pilnie zważa, która mość tak sroga,
Że jej znów czepiec pokryjomu wkłada,

Bo choć spłakana, bo choć od łez blada,
Już czepiec zdziera i pod fartuch chowa.
Dziś jej o czepcu, ani mówić słowa.

Królowi Panu, to czepca zdzieranie,
I pod fartuszek szybkie go chowanie
Drobniutką rączką młodziuteńkiej Zosi,
Tak się podoba, że sekretnie prosi
Jednę z starościn kołpak swój jej dając,
By ta nibyto pomyłkę udając,
Zosi go na skroń za czepiec wcisnęła.
Mość starościna raźno kołpak wzięła,
A wraz z innymi okrążając w koło
Siedzącą Zosię spiewała wesoło:
Oj! chmielu, chmielu, oj pijane ziele
Nie będzie bez cię, oj żadne wesele.
Gdy tak już doszła poza plecy Zosi
Wcisła jej kołpak na głowę po uszy,
A w głos się śmiejąc grzecznie Zosię prosi:
No, moje serce, zdzieraj z całej duszy
Czepiec kosmaty.
Śmiech powstał dokoła:
O, tego czepca, to zedrzeć nie zdoła.
Lecz Zosia rączką raz tylko ruszyła,
I pod fartuchem kołpak w czepcach skryła,
Śmiejąc się szczerze.
„To czepiec nielada!
Jakaż to będzie w niedzielę parada,
Gdy do kościoła pojadę w kołpaku?
Oho! o Jasiu! mój drogi chłopaku
Kłaniać się będziesz, ile tylko siła!“
Rzekłszy to, kołpak na głowę włożyła.

A rado patrząc dokoła wesela
Wołała szczęsna:
„Toć będzie Niedziela!...
Spinka przy czapce, jako woda świeci
A lśni słoneczkiem, i gwiazdeczki nieci".

Król był wesoły patrząc na dziewoję
Szczęściem promienną.
„Wzięła czapkę moją —
Prawił ze śmiechem do Mości Mścisława —
Jakże w dom wrócę?... Jejmość twa łaskawa,
Gdy mię zobaczy głośno się rozśmieje,
Żem stracił głowę".
„Miłościwy Panie —
Odpiera Mścisław — to małe staranie.
Ja rzeknę Zosi: Zosiu, drogie złoto,
Oddaj mi kołpak, to ona z ochotą"...

„Ależ Mścisławie!... Co raz serce dało
Już nie odbiera, chociażby konało".

W tej chwili właśnie ponownie huknęło,
Tam!... z poza boru, i w izbę runęło:
„Raptem do ni, raptem do ni,
Nic nie zważaj, choć się broni;
Choć się broni, to nie szczerze,
Bo cię duchem za kark bierze".

Zosia w lot z izby, choć jej stare bronią.
Już drzwi zaparła, już je ciśnie dłonią.

„A to ma nogi!" Rozśmiał się Król szczerze,
A goście krzykli: Nikt ci jej nie bierze!
Dalejże za nią!

Młody aż pot z czoła
Sciera prąc drzwiami, i: pomóżcie! — woła.

Tak Król wśród ludu cieszy się i bawi,
Tak wpośród ludu dnie rozkosznie trawi.

XVII.

POLOWANIE.

I jeszcze gody w chacie nie minęły,
A już się łowy po borach poczęły.
Cały lud z królem na niedźwiedzia rusza,
W wiosce ni jedna nie zostaje dusza.

Król tak na łowy, jako dziewka w tany,
Nie zważa bowiem nawet i na rany
Jakie to nieraz, szarpnięty zębami
Starego dzika, albo pazurami
Z walki z niedźwiedziem wynosi obficie.
Łowy dla niego: to jedyne życie,
Gdy wojny nie ma.
Nadzór polowania
Sam Mścisław objął, i Króla osłania
Opieką ludzi, którzy z niedźwiedzicą
Żartu nie znają, lecz zaraz jej świecą
Obuchem w oczy.

Król tropu nie zdradza.
Sam w bory wnika, oszczepem ugadza
Tak, że w obawie rozstawieni stróże
Nieraz już sądzą, że chyba już w skórze
Kości królewskie z obławy przyniosą...
Zatem Mścisława na kolanach proszą:

„Panie nasz! panie. Panie drogi, miły,
Króla opuszczą naraz w walce siły...
Nieszczęście będzie! Proście go, o panie,
Niech już porzuci straszne polowanie".

Lecz za nic prośby, bo na nic się nie zdało
Słowo Mścisława. Serce Króla drżało
Do krwawej walki z dzikimi zwierzami,
Bo zaznał się był od kołyski z kłami
Wilka i rysia, odyńca starego
Szydząc z niedźwiedzia:
„Tego ospałego
Z snu trzeba budzić, by raczył maruszka
Stanąć do tańca. O! nieraz obuszka
Potrzeba użyć... Ale, gdy w skok stanie
Do zjadłej walki... O! to... Boże Panie!...
Wraz męstwo rośnie. Człek w onczas zna siły...
Twardną mu, grubną, żelaźnieją żyły...
O! to mi rozkosz".
Mścisława twarz blada
Po onych słowach, jednak tak łów składa,
Że rozstawieni łowcy w gąszczach lasu
Mogą Królowi biedz każdego czasu
Z pewną pomocą.
Król zawsze ochoczy
Nie dba o życie, w kniejach topi oczy,

I słucha pilnie z której lasu strony
Wiatr mu przyniesie miłe uchu tony:
Niedźwiedź tuż!... niedźwiedź!

Był w kniejach Mścisława
Jeleń stuletni. Stusetna obława
Żartem mu była, bo gdy trącił rogiem,
To już i śmiałek był za ziemskim progiem.
O tym jeleniu w chatach powiadano,
Że szedł i w łąki, gdy z kośbą postano
W chwili śniadania, że znał i kosiarzy,
Że i ich myśli czytał nawet z twarzy,
Że nigdy krzywdą nie napastnął człeka,
Że owszem nawet trwożnie w las ucieka.
Inni twierdzili, że się go lękali,
A inni nawet, że w strachu klękali
Widząc go naraz.

Lecz to baśnią było,
I tylko baśnią między ludem żyło;
Jeleń albowiem przebywał wśród lasu,
Do rzeki chodził od czasu do czasu
Pić świeżą wodę i to o zaraniu,
O samym brzasku, o samem świtaniu.
Król zasłyszawszy o onym jeleniu
Pyta Mścisława:

„Słyszę w waszem mieniu
Stuletni jeleń ma mieć legowisko,
A, to i nawet obok dworu blisko...
Prawdęż mi mówią?“

„Jeleń, Panie żyje —
Potwierdza Mścisław — z rzeki wodę pije.
Nieraz my na się wzajemnie patrzeli,
A patrząc na się w źrenicy łzę mieli“.

„Muszę go widzieć“...
„Królu, Panie miły,
Życiem przypłacisz! To zwierz dziki, srogi!...
Śmiertelnym ciosem rażą jego rogi“.

„A, i jam srogi... to się spróbujemy...
Jutro na niego o świcie pójdziemy.
Zwołaj obławę“.
Trudno się sprzeciwić
Było Królowi, nie chcąc dla się żywić
Gniewu pańskiego.
Ruszono o świcie.
Mścisław w łzach błagał:
„O królewskie życie
Miejcie w opiece!... Gdy się zwierz ukaże,
To kto go płatnie, tego hojnie darzę...
Baczcie na Pana!“
Wzdłuż więc całej drogi,
Którą do rzeki chodził jeleń wrogi,
Strach okolicy, obławcy zajęli
Tak, że na przemian od siebie stanęli
Co dwieście kroków. Król u samej rzeki,
Naprzeciw Mścisław, który drżąc opieki
Wzywał Wszechstwórcy.
Chwilę tak czekali...
Naraz łom chyży konarów z oddali
Dobiegł ich uszów.
Podnieśli oszczepy!...
Jeleń pędzi ku rzece, gdyby ślepy,
Znaną mu drogą, a więc łatwa sprawa,
Tylko... nie chybić! I cała obława
W drużynę patrzy.
Cicho, gdyby w grobie...

Każdy wytężył swe źrenice obie
Mierząc oszczepem.
Wtem świst z głuchym hukiem
Rozdarł powietrze... Oszczep mignął łukiem,
Lecz chybił zwierzę i przebił wskroś smreka.
Smrek się kołysze, a jeleń ucieka...
Położył rogi het wtył, aż na plecy,
Źrenice rozwarł, by żar jasnej świecy
I pędzi naprzód.
Oszczepy błyskają....
Jednakże wszystkie jelenia mijają.
I Mścisław chybił.
Jeleń podniósł rogi,
I już na Króla zwraca się wśród drogi...
Żelazo błysło!... Jeleń skoczył w górę
I padł na ziemię... Krew oblała skórę
Rzęsistą strugą.
Oszczep w środku czoła,
Tuż nad oczami tkwiąc, bluzga dokoła
Krwią granitową.
Jeleń martwy leży...
Z myśliwców Mścisław pierwszy ocknął, bieży
Do Króla Pana.
„Panie!... jak się stało?...
Ja byłem chybił!... serce moje drżało...
To jedna chwila!... Panie Miłościwy...
Bogu dziękuję, żeście Panie żywy,
Bo śmierć niechybna!“
Przybyli i drudzy.
Stanęli obok, jak posłuszni słudzy
Dech zapierając.
Mścisław podniósł rogi
Jelenia w górę, inni zaś za nogi

Pociągli zwierzę.
Król oszczep powoli
Ujął w dłoń silnie.
„Już cię nic nie boli,
Skończyłeś życie — rzekłszy targnął naraz,
I już lśni oszczep... co gdy, klęknął zaraz
Tuż obok głowy jelenia, i oko
Własnymi palcy rozwarł mu szeroko.
I pilnie szuka...
Patrzeli zdumieni...
Znalazł... wydobył...
Perełka się mieni
Łzą w ręku Króla, lekka i maleńka,
A jako słońce, taka złociuteńka,
Drobne a czarne żyłki ma po sobie.
Król ją wskazując:
„Ta łza nawet w grobie —
Mówi — ma siłę. Ona goi blizny...
Wypita w winie broni od trucizny.
Ta łza jelenia karci nawet wroga,
Wstydząc złość jego. O! to perła droga,
Którą sam tylko jeleń w oku nosi..,
Jeleń stuletni. Król waszmościom głosi:
Szukaj jej każdy!... bo nieprzyjacieli
Ma wszech człek prawy, których i anieli
Z drogi nie spędzą".
Rzekłszy, łzę jelenią
Schował starannie.
Wtem radości pienią
Rogi zagrzmiały. Bolko dosiadł konia,
I już w dwór spieszy przez rozległe błonia.
Jelenia na wóz ciągną pachołkowie,
Prawiąc do siebie:

Oszczep w samej głowie
Utkwił jelenia... Wszyscy go chybili,
Nawet ci, nawet, co na przodzie byli.
Król go położył. O, królewska ręka,
Gdy oszczep rzuci, to już nie zastęka...
Wszech padnie cicho, jako padł teń rogacz,
By był i panem, by był świata bogacz.

Tak dnie mijają. Miód strumieniem płynie,
Dzień za dniem słodko, niespodzianie ginie.

XVIII.

PORWANIE.

Wieczory Bolko równo z ziemianami
Przy jednym stole wraz z białogłowami,
Na których czele domu gospodyni,
Krasna jak róża, sama w kubek czyni
Napój królowi, przepędza wesoło.
W tych to wieczorach spojrzał raz Król w koło,
I rzekł łaskawie:
„Opowiedźże która
Baśń, ale taką, że aż cierpnie skóra
Od grozy, strachu. Lubię te powieści,
I lubię słyszeć drżący głos niewieści,
Gdy strachy prawi duchy wywołuje
Lub ojców dzieje przed oczami snuje“.

„Ja wam opowiem — rzekła macierz stara —
Jak za złe zawsze spada niebios kara“.

Zanim jednakże mówić rozpoczęła
Głębiej się jeszcze w kąt izby wcisnęła,
Tak, że z ogniska na jej twarz zgrzybiałą
Bladawe światło drżeniem migotało.

Król przy ognisku siadł tuż przy Krystynie,
I za jej ruchem, za jej okiem ginie.
Wszyscy umilkli. Stara mać westchnęła,
I drżącym głosem baśń mówić poczęła:

„Razu jednego żył ziemianin możny,
A jak dziadowie, tak i on pobożny.
Ludzki, cnotliwy, a nader gościnny.
I w całym kraju z uczciwości słynny,
Kochany, czczony!
A miał on żonę prześlicznej urody,
Z drobnemi usty, z krasnemi jagody,
Z oczy czarnemi, do kostek z włosami,
A, jak śnieg biały z bielszymi ząbkami...
Anioł wcielony!
Szczęśliwie żyli, wzajem się kochali,
Duszę za siebie byliby oddali.
On ją miłował, ona i nie śmiała
O nic się pytać, bo czytać wolała:
Chęć męża w oku.

Wtem kniaź przyjechał do chaty w gościnę.
Przemówił słodko: Ja za tobą ginę!...
Jedź dziewcze ze mną — a, to była żona! —

A na twej głowie zabłyszczy korona!
Czort słuchał z boku.

I uwodziciel żonę ziemianina
Porwał i uwiózł... I kolana zgina
Przed grzeszną wiedźmą. Koronę jej kładzie
Na srome czoło... a ku jej paradzie
Wszem wielbić każe!

Jęknął ziemianin: Wiekuisty Boże!
Gdy znaszedł puste, zimne żony łoże,
I padł nieżywy. Mać drżąca przybiegła,
Lecz zanim trupem obok syna legła
Krzykła: Bóg skarze!

Kniaź z wiarołomną bawi się raz w nocy...
Wtem piorun spada o samej północy...
Kniaź się we węża ognistego zmienia,
I z wiarołomnej zsuwa się ramienia,
I pierś jej ściska.
Drżąc wiarołomna: Ratujcie! bój Boga!
Ratujcie! — woła — Ratuj matuś droga!
Mężu kochany! Wąż mi łamie kości...
Ratuj mą duszę!... Litości!... Litości!...
Wąż ślepiem błyska!
Gdzie mój, gdzie mój mąż?
Niechaj mię ratuje,
Bo już opasuje
Ciało grzechu wąż!
Zedrzyjcie go z ciała,
Bo już ustmi biała
Bije piana wciąż!

W węża objęciach wiarołomna żona

Jęczy i kona. Książęca korona
W kocioł piekielny zmienia się i smołę
Rzuca ognistą, i książęcą połę
Garnie płomieniem!
Wąż trupa ciągnie i wrzuca do kotła...
Ziemia zapada... Lucypera miotła
Zamek zgarnuje... Szatan szydząc woła
Straszliwym głosem, jako ino zdoła:
Drżyj przed sumieniem!“

Skończyła stara... a jeszcze słuchano...
Baśń drżała strachem... Już świtało rano...
Nikt się nie ruszył, nikt nie drgnął powieką,
Lecz w duszy wołał: Bóg moją opieką,
Bóg mą obroną.
Wszystkim serce drżało
Nieznaną trwogą. Wszystkim się zdawało,
Że wąż się plezie, że za piersi chwyta,
Że już i szatan w piekło prosząc, wita.
Skulił się każdy, zda widzieć koronę
I płaszcz książęcy. i niewierną żonę
W ognistej smole... Słyszy głos szatana:
Drżyj przed sumienieniem! chodź na sąd do Pana,
Boga zywego!
Stara mać siedziała
Z iskrą w źrenicy... Strach, w duszy budziła
Przebrzmiałym głosem... Światło migotało
Rzucając cienie na rysy zgrzybiałe
Pomstą grożące! Usta zaciśnięte
Zdały się jeszcze na czyny przeklęte
Piekielne słowa wyrzucać ze siebie,
Zdały się gromić: Bóg Sędzią na niebie!

Król pierwszy ocknął i rzekł był łaskawie:

„Rad byłem słuchał... zdało się mi prawie,
Jakobym widział“.
A Krysta odparła:

„Nie wierzcie Mości. Wiedźma nie umarła,
To tylko matuś takie baśnie prawi
Myśląc, że baśnią złe w świecie naprawi.

I tak na łowach, na godach wokoło,
Na wieczorynkach lśni królewskie czoło
Coraz weselej, i w Krysty źrenice
Tchnie żarem ognia, żar pędzi na lice...
Płonie miłością Krysty czarne oko,
I w sercu Króla topi się głęboko.

Już Król odjeżdża. Dziś więc już ostatni
Dzień jego łaski. Uścisk serca bratni
Dzisiaj ziemianie od niego odbiorą.
Cisną się zatem, bo jutro, gdy skoro
Słonko zaświeci już i Jego Mości
Nie będzie w dworze, bo wyjedzie z włości.
Wszech więc chce jeszcze z nim przeżyć godzinę.

„Że noc przebędę, to przecież nie zginę —
Tak mówi każdy — wszak wieczór niedługi,
A konie stoją na moje usługi“.

Wszyscy zostali, bawią się ochoczo...
Ziemianki raźno na wrzecionach toczą
Len bieluteńki, i pieśń o miłości
Rózi ku Mieczku głoszą Jego Mości.

Mieczku! serce ukochane,
Rózi życie opłakane:
Ty hen... w świecie, hen! w oddali,
A jej dusze smutek pali.
Czemu płaczesz? — matuś łaje —
Matuś! matuś łez nie staje,
Choć łza cięży pod powieką...
Matuś, on hen... hen! daleko.

O, bym skrzydła jak ptak miała,
Gołąbkiembym poleciała,
Tam hen, tam hen... tam daleko
Do gołąbka kochanego,
By mu gruchać o miłości,
O serc drżeniu, wzajemności,
Gruchać: Ciebie me kochanie
Rózia zabyć nie jest wstanie.

A, bym gwiazdką jasną była
Jemu tylkobym świeciła...
A, hen! tam... hen... w okieneczko
Patrząc strzegła w śnie łóżeczko.
Promykiembym się mu śmiała.
Jasnem drżeniem wskazywała:
Gdzie Bóg mieszka, gdzie cnót żyzna
Leży nasza cna ojczyzna.

Gołąbeczkiem się nie stanę,
Blasku gwiazdki nie dostanę...
Hen! więc gruchać nie polecę,
Ni nad główką mu zaświecę.
Lecz go widzieć pragnę okiem,
Jak mą gwiazdkę nad potokiem,

Więc do Boga rączki wznoszę,
A, i gwiazdki za nim proszę.

Gwiazdkę ręką sięgnąć pragnę,
Lecz daremnie... jej nie nagnę
Do mej woli... hen! wysoko...
Darmo ściga ją me oko.
Lecz jakżebym się cieszyła,
Bym choć tak go zobaczyła,
Jak mą gwiazdkę, hen!... daleko...
Hen! na niebie... hen! wysoko!

Wiem co zrobię. Pieśń zanucę
Pieśń poleci w rannej rosie...
Pieśnią smutki serca skrócę,
A on pozna mię po głosie.
Płynie woda, a z nią rosa
Spadła z kwiatu niezabudki...
Płynie do cię Rózi rosa,
By ochłodzić twoje smutki.

O, płyń roso, o płyń z wodą
Hen tam!... hen tam!... hen do niego...
Płyń mu gwiazdką, świeć pogodą...
Strzeż mi serce kochanego.
Strumyk na dół z góry leci,
Lecz i w chmurach rosą świeci...
Spadnij roso wraz z chmurami,
I tęsknoty zawiedź łzami."

Król słucha piosnki śmiejąc się wesoło.
Gospodarz gości obsługuje w koło,
Każe miód nosić, lać węgierskie wina,

Stare nalewki i kolana zgina,
I ze łzą prosi:
„Pijcie!... Król Mość czeka!...
Na was się patrzy, więc i kielich zwleka.
Pijcie waszmoście, sąsiad Mścisław prosi,
I na cześć Króla ten kielich podnosi:
„Król Mość... niech żyje!“
„Zdrowie Króla Pana!“
Huknęła szlachta, a Mścisław kolana
Uścisnął Panu:
„Panie, miłościwy!
Na sługę swego racz być pobłażliwy...
Wybacz mą biedę“.
I puhar by kula
Toczy się w koło wznosząc zdrowie Króla.
Każdy z pijących kielich dnem wywraca
Na swój paznokieć, tym obrotem zwraca
Na się uwagę, że kroplę wysącza
Ostatnią miodu, którą pałająca
Warga miłością z okiem jaśniejącem
Spija powoli z życzeniem gorącem.
W około Krysty dziewoje ochoczo
Pieśni zawodzą i wrzeciono toczą:

„A moja matusia, że rosnę nie wierzy,
Bo codzień włókienkiem kolanko mi mierzy.

A moja matusiu, a ja was oszukam,
To włókno potargam, dłuższego poszukam“.

Śmiał się Król głośno, śmiali się ziemianie:
„To nasza radość, Miłościwy Panie!“

Naraz Bolesław spojrzał na Krystynę
I szepnął cicho:
„Ja za tobą ginę...
Przed tobą Krysto, Król kolana zgina!“

„Moim ty!... moim.“ Błysnęła Krystyna
Ogniem źrenicy.
„Ty moją na wieki“.

„Twoją!“ odparła, spuszczając powieki.

Śpiew, miód i krzyki ziemianów odurza,
Jako po skwarze parna latem burza.
Wspierają łokcie, a na łokciach głowy...
Powieki ciężą do źrenic połowy...
Drzemią budząc się, budząc się kiwają,
I tak powoli drzemiąc usypiają...
Wreszcie im głowa na pierś kłodą spada,
Język bełkocze, duch myślą nie włada...
Śpią, by zarżnięci. Pan tylko Bużenia
Czuwa i gości. Wtem Bolko z siedzenia
Zerwał się, klasnął, służba z hukiem wpadła.
„Na koń! ruszamy!“
Krystyna pobladła...
Skoczył gospodarz,
„Królu! Panie drogi“...

„Ustąp, bo wyrżnąć rozkażę do nogi!
Krysto... ty ze mną!“
I silnem ramieniem
Objął jej kibić, a drżąc upojeniem
Całuje w usta.

„Ty moją jedziemy!“
Mścisław osłupiał, z grozy stoi niemy.

„Na koń ruszamy!“
„Krysto! Krysto... żono!...
Panie! tu uderz, uderz w serca łono“...
A dzikim jękiem, wołając w rozpaczy
Przypadł do kolan.
„Pójdź precz! bo inaczej“...
Wrzasnął Bolesław. pchnął Mścisława nogą,
A z Krystą na koń, skoczywszy ostrogą
Spiął go wołając:
„Związać powrozami
I w turmę rzucić... osmagać... kijami!“

Przypadła matka.
„Precz ty, wiedźmo stara!“
Ryknął Bolesław.
„Niebios ciężka kara...
Spadnie na ciebie!... pomstę w niebo wołam!
Ja cię przeklinam!... Zemsty!... Zemsty wołam!!“

Budzi się szlachta, lecz myśleć nie zdoła,
I: „Niech nam żyje!“ wpół pijana woła,
Woła i pada na ziemię jak kłoda,
Bełkocząc przez sen, jak przy ogniu woda.

XIX.

SKARGA.

W chwili, gdy Stanko Bogu się pokorzył
Spiewając psalmy Dawida pokutne,
Skrzywdzony Mścisław cicho drzwi otworzył,
I pasterzowi przyniósł wieści smutne
O domu swoim.
„Pasterzu nasz drogi —
Mówiąc drżał cały — Król Pan, a nasz władca
Zhańbił me imię! Ach, on szatan wrogi
Pchnął go do grzechu... on chytry doradca
Rzucił go w piekło. Bolesław mą żonę
Uwiózł ze sobą, i na swoim grodzie
Zamknął bezczeszcząc, a ja w hańbie płonę!“

„O, biedny! biedny... biedny mój narodzie!...
Jestże to prawdą Mścisławie z Bużenia —
Zawołał biskup — co mi tu prawicie?
Ja uszom moim, jak pragnę zbawienia,
Wierzyć nie mogę“.
„W niedzielę o świcie
Zdeptał gościnne progi domu mego...
A jam go całem sercem podejmował!
Wydarł Krystynę, szydząc z cnotliwego
Życia małżonków. Mnie przez swoją zgrają
Rozkazał związać i wrzucić do lochu.
Dzisiaj przed wami pokrzywdzony staję,
I waszej pieczy, tarzając się w prochu
Wzywam, o Ojcze!“

Biskup zatrwożony
Onemi słowy, tym grzechem rozpusty
Króla Śmiałego, ukląkł przerażony,
Ręce wzniósł w niebo i drżącemi usty
Z płaczem zawołał:
„O, Stwórco! o, Panie!
O, miłosierny!... żebrzę Cię w pokorze:
Spuść promień łaski z nim upamiętanie,
Spraw, by Król zoczył w grzechu czarne morze!“

Głowę pochylił, ręce na krzyż złożył,
I klęczał niemy... zdało się, że wieki.
Mścisław nań patrząc w duszy się zatrwożył,
A drżąc na ciele zasunął powieki,
Z pod których gorzkie, krwawe łzy spadały.

Stanisław klęczał z pochyloną skronią,
Mścisław stał w progu, palce mu skostniały
Złożon w modlitwę.
Biskup drżącą dłonią
Sparł się o ziemię, i powstał powoli,
Postąpił cicho ku panu z Bużenia,
Ujął dłoń jego.
„O, serce mię boli —
Tłumiąc łzy szepnął — Król Pan bez sumienia,
Tę ciężką karę sam Bóg Stwórca zsyła,
By nas doświadczać. Święta Twoja wola
Niechaj się pełni, a zabłyśnie siła
W wierze Twej Panie, i wszech jako zdoła
Wielbić Cię będzie“.
Mścisław stał by niemy,
Nie śmiał rzec słowa.

„Mścisławie, mój synu,
Że kochasz Boga o tem zdawna wiemy...
Nie sądź więc zatem Króla z jego czynu,
Lecz pierwej pytaj własnego sumienia. —
Po chwili dodał. — Mścisławie z Bużenia
Ja sam się udam w tej bolesnej sprawie
Do Króla Pana... ty wracaj do mienia,
Do ludu swego. Bóg z tobą Mścisławie".

XX.

NAPOMNIENIE.

Cnotliwy biskup i chwili nie zwleka,
Idzie na zamek, posłuchania prosi.
W sali tronowej Bolesława czeka,
I o poparcie modły w niebo wznosi.

Dano znać Panu o zacnym biskupie,
W chwili, gdy tenże w komnatach Krystyny
Śmiechem się bawi.
„Chce mówić o trupie...
Niech sobie idzie. Dla niego godziny
Mej nie poświęcę".
Rzekł zniecierpliwiony
Bolko do sługi, a ująwszy ręce
Żony Mścisława szeptał zaślepiony:

„Nigdy dla niego uciech nie poświęcę.
Niech sobie idzie... ty moją na wieki...
On niech pilnuje starce i kaleki“.

Krysta mu rękę na szyję rzuciła,
I pocałunkiem tuląc się, pieściła.

Tą odpowiedzią biskup nie zrażony
Wieśdź się kazuje w komnaty Krystyny,
Aby tam duchem i wiarą natchniony
W oczy wyrzucił straszne Króla winy.
Wzdrygnął się jednak, gdy otwarł podwoje,
I zoczył Króla z wiarołomną żoną
Sam na sam obok siedzących... we dwoje...
Gdy zoczył Krystę grzechem upodloną,
Jak pieszczotliwie całowała skronie
Króla a Pana, jako go na łonie
Tuliła swoim. Dłonią zakrył oczy...
„Wesprzyj mię Boże“ — jęknął przygnębiony.
Wtem go Król zajrzał... dziko oko toczy,
Zrywa się z miejsca, a drżąc tupie nogą:

„Co tu chcesz klecho! — krzyknął zapieniony —
Kto ci pozwolił próg ten przestępować?!“

„Bóg obrażony twoją winą srogą
Tu mi iść kazał, aby cię ratować
Z grzechu sromoty. Ustąp się Krystyno,
Nędzna kobieto... Tyś się poważyła
Zdeptać cześć męża najsprośniejszą winą,
I tyś koronę grzechem splugawiła.
Ustąp z mych oczów, niechaj cię nie widzę,
Bo się twym grzechem jak szatanem brzydzę.
Ustąp Krystyno!“

„Wraz za drzwi zuchwały,
Bo cię do turmy posadzić rozkażę —
Krzyknął Bolesław — uchodź pókiś cały,
Zanim zuchwalstwo przykładnie ukarzę“.

„Królu, a Panie władze me biskupie
Nad tobą prawo w ręce mi oddają,
Ja karać mogę“.
„Słowa szałem głupie
Rozum ci zdrowy dzisiaj odbierają.
Uchodź co żywo, nie kłóć mi uciechy,
Bo cię wyrzucić, psami wyszczuć każę!“

Mowie tej Króla obelżywe śmiechy
Upadłej Krysty słowem wtórowały:

„Niech sobie mówi, ja się nie obrażę,
Niech sobie mówi, gdy pragnie dzień cały“.

„Z rozkazu Boga przybywam tu Panie,
I wpierw nie wyjdę, póki nie dopełnię
Mej powinności. Niebios cię karanie
Srogie dosięże, jeżeli zupełnie
Nie zmyjesz grzechu. Wróć żonę Mścisława,
Zmyj brud z korony, zgnieć obrzydłe chuci,
Ukorz się Bogu zanim twoja sława
Królu nasz Wielki, w popiół się obróci.
Usłuchaj głosu błagam cię ze łzami,
Litości Królu nad sobą i ludem.“

Bolesław z gniewu zazgrzytał zębami:
„Bóg cię ratuje, chyba tylko cudem
Od złości mojej... lecz uchodź zuchwały,
Zanim się miarka mojej cierpliwości“...

„Imienia Boga człecze zatwardziały,
Nie wzywaj, żyjąc w obrzydłej sprosności!“

„Hejno dworzanie!!... przeprowadzić księdza
Za progi zamku z paradą z muzyką,
Bo go tu może spotkać w turmie nędza“.

Na głos ten zgraja z złośliwością dziką
Wpadła do sali, a szydząc z biskupa
Gwizda i syka, w oczy mu się śmieje,
Język wystawia i nogami tupa.

„Tu! i Królowi?... opowiada dzieje,
By na ambonie?... tu! śmie karcić słowy,
By jaki święty!... On Królowi prawi!...
Uchylmy wszyscy przed biskupem głowy,
A niezawodnie do Boga się wstawi
Za nas grzeszników“.
Jastrzębiec na czele,
Stojąc tej zgrai szyderskiemi słowy:
„Dalej go! hejże! a nuże, a śmiele!“
Zuchwalstwu jeszcze dodawał ochoty.
Zgraja też Stanka z grodu sprowadzała
Z kwikiem i sykiem.
Podczas ten z cnót cnoty
Szydząc Krystyna, niebu urągała.

XXI.

ZMOWA.

W drużynie Króla ów Jastrzębiec Zbilut,
Słusznie przezwany przez cały dwór filut,
Bywał Królowi do czynu wszelkiego
Najniższym sługą, był podnietą złego,
Był powiernikiem.
On to był Krystynę
Wskazał Królowi.
On więc miał dziś winę
Dowieść w biskupie, któraby cześć jego
Z błotem zmięszała, shańbiła zacnego
Wstydem okrywszy.
Jastrzębiec, lis rudy,
Z chęcią ponosił nawet ciężkie trudy,
Aby coś odkryć, coby pokrzywdziło
Przed światem Stanka, lub coby zbudziło
Niechęć ku niemu. Pytał zatem sługi
O czyny Stanka, chodził, by cień drugi
Tuż krok w krok za nim. W domu jego siadał,
Za jego stołem wraz z dziadami jadał
Słuchając pilnie, ciągnął do rozmowy
Kaleki, starce podupadłe wdowy,
Co chleb łaskawy z ręki litościwej
Biskupa brały. W duszy swej złośliwej
Ważył rozmowy. Lecz nigdy nic złego
Uchwycić nie mógł na męża zacnego.
Zwątpił już całkiem, czuł, że nic nie znajdzie,
Zrzymał się zatem, że do Króla zajdzie

Z próżnemi dłońmi. Tak myśląc podparty
W izbie jadalnej, w której stał otwarty
Stół dla ubogich, zły był sam na siebie,
Mrucząc pod nosem:
„Trza skłamać w potrzebie...
Król mi uwierzy. Powiem... lecz... cóż powiem?
Nic nie słyszałem, a zanim się dowiem
Co na biskupa, to łaskę utracę,
Zmarnię lat tylu całą moją pracę.
Król niecierpliwy... inny się podkradnie
I łaskę Króla jednem słowem snadnie
Naraz uzyska, mnie nawet wyszydzi,
Że nic nie zdołam, że Król się mną brzydzi,
Żem niedołęgą".
Myśląc szarpał szaty
Własne na sobie. W tem go głos z komnaty
Przyległej doszedł, słyszy:
„Jakóbowa
Była z żalami, powiada, że chowa
Mąż złoto w ziemię, które wziął w podziale
Za wieś Piotrowin, że tarza się w kale
Chytrego skąpstwa, że pójdzie z torbami
Po jego śmierci. Więc przyszła ze łzami
Prosić biskupa, by wpłynął na męża,
I z jego serca wydarł sknerstwa węża.
Żona Jakóba niema żadnych dzieci,
Rado też codzień do kościoła leci,
Gdzie słucha nieraz, jako biskup woła:
Wielbłąd, mówię wam, prędzej przeleść zdoła
Przez ucho igły, niż skąpiec do nieba
Ze złotem wnijdzie. O! lepiejby chleba
Kupił dla nędzy za to marne złoto,
Który niebaczny chowa w ziemi błoto,

Albowiem umrze, a Bóg sądzić będzie,
Gdy już na duszy szatan szydząc siędzie:
To sknera, skąpiec... już go, już sądź Boże,
Bo już dla niego, z jego złota, łoże
Stoi w mem państwie".

Ucichło w komnacie.
Zbilut dech zaparł. Po chwili ktoś:
„Bracie —
Rzekł cichym głosem — mury mają uszy;
Nie praw zbyt głośno myśli serca, duszy...
Ktoś słyszeć może".
„Wszak to nic nowego? —
Odpiera pierwszy — że z dochodu swego
Stanko był kupił dla chwały kościoła
Od Piotra łąki, bory, lasy, sioła".

„Nie to, że kupił... lecz chodzi mi o to,
Że Jakób chowa w ziemi marne złoto
Za on Piotrowin".
„A, to słusznie macie...
Tak i ja myślę... Złoto?... a bies w chacie!
Temu też biskup, by szatan nie wzniecał
Więcej gorszego, słyszę, że obiecał
Mówić z Jakóbem".
Zbilut się przybliżył,
Pytanie drżące prawie w prośbę zniżył:

„Darujcie mości... Piotrowin?... który to?...
Słyszałem był coś"...
„Pytacie, jakby to
Rzecz była skrytą. Ten, co dla kościoła
Biskup był kupił od Piotra rycerza,

I całe kupno przekazać zamierza
Na chwałę Bogu".

„Biskup kupił sioła?
Pierwsze to słyszę".

„Tak, od nieboszczyka,
Jakóbowego najstarszego stryka,
Piotra imieniem".

„To biskup bogaty!"

„Gdzie tam bogaty? Kupił to na raty".

„I spłaca jeszcze?"

„Ależ dawno spłacił
Nieboszczykowi. Kupił był na słowo,
Jako człek prawy. Jakób się zbogacił,
Piotr go albowiem obdarzył połową
Z wziętego grosza".

„Proszę, co to znaczy:
Kupił na słowo?"

„Bez skryptu żadnego.
Źle zrobił wprawdzie, bo człek co nie baczy
Na zapis kupna może paść na złego
Człeka przypadkiem, co odbiór zaprzeczy
Powziętej spłaty. Tak i tu te rzeczy
Stoją obecnie. Piotr w grobie już leży,
A skryptu nie ma. Któż na wiatr uwierzy,
Że biskup spłacił, gdy go Jakób pozwie?
Kto się za prawdą? za biskupem ozwie?
Gdy niema świadków?"

„A, to wątła sprawa —
Odparł Jastrzębiec. — Straci według prawa —

Mruknął pod nosem — mam cię już biskupie,
Poczekaj klecho".
I powstał powoli
Z siedzenia kończąc:
„Prawie własnej woli
Człowiek dziś nie ma — a żegnając gości
Dodał — Iść muszę do mej powinności,
Wybaczcie zatem... Tak to, tak, gdy w Pana
Służbę się zdajem".
„Dobra noc waćpanu".
Odparto grzecznie panu Zbilutowi.

„Dobra noc panom".

Rzekłszy ku zamkowi
Pędził, by gnany. W głowie mu szumiało,
A serce zbrodnią, jak osika drżało:
„Skłonię Jakóba. Sknera póki żywy
Zawsze na złoto, jako sroka chciwy,
A więc co tylko od niego zapragnę
Niechybnie zrobi. Obiecanką nagnę
Sknerę, jak zechcę".
I konia dosiada,
I nocą pędzi i w chatę się skrada
Chciwca Jakóba, z nim tajemne rady,
A wreszcie w grzeszne zachodzi układy.
Jakób się wzdryga, jednak duszą słucha,
A Zbilut pilniej szepta mu do ucha:

„Co się masz liczyć z jakiemś tam sumieniem,
I wieś mieć będziesz, a i złota mieniem
Cieszyć się będziesz. Będziesz ziemian możny...

Jednak ci radzę... abyś był ostrożny!
Bo... może pismo...“
„Nie, nie ma żadnego“.

„Pozwij więc Stanka do grodu ziemskiego...
Król sądzić będzie. Przyzna ci w całości,
Bowiem do Stanka żywi w sercu złości...
A, gdy ci zwłaszcza bracia świadkiem staną,
To włość niechybnie będzie ci oddaną.
Piotr dawno umarł, a któż wskrzesi trupa,
By świadczył prawdzie? Więc pozwiesz biskupa
O wieś Piotrowin?“
Jakób chwilę chodził
Po izbie, zda się, że się nie był godził
Z myślą Jastrzębca. Chodził chwiejnym krokiem
Zwolna, lękliwie. Zbilut śledził okiem
Każdy ruch jego nie mówiąc i słowa,
Podczas ten sknerze spadła na pierś głowa
Ciężka ołowiem. Jakób myśląc stawał.
Jastrzębiec wzrokiem pokusy dodawał
Chytrze ku złemu, a zmrużywszy oczy
Wyrzekł z zachętą:
„Czemu waść się toczy
Głupcem po izbie?... Brać skoro się darzy,
To, o czem nawet mędrcom się nie marzy“.

Słuchając Jakób:
„A, co mi tam o to...
Mruknął pod nosem — będzie w skrzyni złoto —
Głośno zaś dodał: Pozwę, zmówię braci..
Przy tem i waszmość także się zbogaci“.

XXII.

POD GROZĄ KLĄTWY.

Strapiony biskup zwołał w Bogu braci,
I z nimi modły gorące odprawia,
Jednej godziny żywota nie traci,
Za Królem Panem do niebios się wstawia.
Trzech dniowe posty w kościele zamknięty
O samej wodzie, i chlebie zczerniałym,
Leżąc na ziemi, jako on krzyż święty,
Z płaczem przebywa z duchowieństwem całem.
Po tak odbytych modlitwach gorących
Radzi się braci co czynić potrzeba,
By Króla odwieźć od grzechów gorszących,
By jego duszę wrócić Stwórcy nieba.
I uchwalono.

Więc biskup na skronie
Infułę wkłada i pastorał bierze,
I z duchowieństwem oraz w szlachty gronie,
Na zamek spieszy prosto w onę wieżę,
W której przyjmował Król ziemian i gości,
Gdzie była izba Piastowskiej świetności.

Wielka ta izba z południowej strony
Sześć okien miała. Tron w niej ustawiony
Był wprost takowych na stopniach wysoko,
Które w świetlice wchodziły daleko
Swemi schodami. Tak po stronie prawej
Tejże świetlicy, jako i po lewej
W górze na ścianie, jednak po nad drzwiami

Chór się wysuwał złotemi piersiami,
I tworzył miejsce dla rzeszy ciekawej.
Pod każdym chórem rozwarszy podwoje,
Drzwi złotem kute, królewskie pokoje,
Pełne przepychu, oku wskazywały
I w swoje progi widza zapraszały.
Ściany obite białą mataryją,
W której się kwiatki drobniuteńkie kryją,
Drżąc rubinami. Stopnie gradusowe
Na tron wiodące, w sukno purpurowe
Skryły swe plecy, na których to grzbiecie
Siadłszy tron Piastów do ziemi ich gniecie
Złota ciężarem. Nad tronem korona
Wznosi się dumnie, z jej wnętrza opona
Spada błękitna zasiana gwiazdami,
Których promienie zdobne brylantami
Rażą światłością tak wielką, szeroką,
Że w nie się patrząc łzą zachodzi oko.
W kątach świetlicy chorągwie, kołpaki,
Pancerze, hełmy, miecze, dzidy, haki
Przeróżnych kształtów, bogactwem wspaniałe,
Jednakże zda się, że jakoś nieśmiałe
Są tu w swym kątku, bowiem nie tutejsze...
W wojnach zabrane, więc miejsce dzisiejsze
Hańbą ich kryje.

Prawie w środku sali,
Jednakże w małej od tronu oddali
Stoi stół wielki purpurą nakryty,
Na nim krzyż Pański cały złotolity.
W około krzyża berła i korony
W wojnach zdobyte, wskazują, że trony
Nie jedne padły Króla ręką tchnięte,

Że się Królowi książąt plecy zgięte
Nieraz korzyły.

Dwa karła wysokie
Na czołach stołu swem wnętrzem głębokie
Stojąc, by stróże tych troef zwycięstwa,
Wskazują wrogów i ich niedołęstwa
W sprawach wojennych.

W karłach tych zasiada,
Gdy Król od tronu sam rozprawy bada,
Na jednem kanclerz, a na drugiem grodu
Wielki kasztelan.

Drzwi główne z zachodu
W salę wiodące są wszerz roztworzone,
Jednak przez służbę starannie strzeżone,
By nie wszedł obcy.

Na tronie korona,
Jabłko i berło, a z pod nich opona
Gronostajowa spadając ku ziemi
Tuli ich do się pieszczotami swemi.

Belki powały z drzewa cedrowego
W podłuż i w poprzek, biegnąc z miejsca swego
Kwadraty wiążą, a w każdym kwadracie
Kwiecista gwiazda błyszczy w złotej szacie.
Przecięcie belek, to jest róg kwadratu
Wiąże się węzłem tulipana kwiatu,
Z którego środka dyament wykwita,
I słońce Boże swym uśmiechem wita
Tysiąc iskrami.

Z prawej, z lewej strony
Złotego tronu cudowne korony
Przepysznych kwiatów wdzięk izby podnoszą,

I swym bukietem wszelkie oko proszą,
By je chwaliło.
Dziwnem jednak było
Prawie każdemu, że tuż po za tronem,
A o czem by się nikomu nie śniło,
Leżał pies wielki i machał ogonem
Według swej woli.
To stróż Króla Pana,
Jego powiernik, przyjaciel prawdziwy,
Który go strzeże od nocy do rana.
Biada, onemu!... onby padł nieżywy!...
Ani stęknąwszy.
W tej izbie udzielał
Król posłuchania. I teraz Pan Śmiały
Zasiadł na tronie, lecz jak śmierć pobielał,
Gdy okrom księży, ziemian zastęp cały
Zoczył przy Stanku. Zasiadł... oko srogie
Utopił w ciche oblicze biskupa
I w tron uderzył:
„Kto z was myśli wrogie
Przeciw mnie knuje, tego wraz do słupa
Przywiązać każę i grzbiet mu ochłostać.
Kto was przysyła!... i czego żądacie?!“

Na te się słowa Stanka zacna postać
Podniosła w górę w cnoty majestacie...
Spojrzał na Króla okiem błyskawicy,
Lecz rzekł pogodnie jak poranne zorze:

„Bóg, którego my, złośliwi grzesznicy,
Codzień krzyżujem, Bóg, którego morze
Słucha i wielbi, jak gwiazdy na niebie
Przysłał mię, bym cię wezwał do pokuty,

Bym cię ratował i wspierał w potrzebie,
Byś łzami skruchy zmazał grzech zatruty,
Którym się gubisz bezczeszcząc sam siebie.
Wołam raz wtóry: Przebłagaj Mścisława,
Zmyj brud z korony, zgnęb obrzydłe chuci,
Ukorz się Bogu, bo inaczej sława,
Twoja o Królu, w popiół się obróci".

„Dla siebie schowaj te przestrogi głupie.
Co czynię, to ja! ... a do mnie ci wara!
Ołtarza pilnuj, nie Króla biskupie...
Ampułek z winem"...
„Straszna niebios kara!"...

„Nie gróź Królowi, boś sam oskarżony
O wieś Piotrowin, którą dzierżysz chytrze,
Krzywdząc sieroty. Pozew wyłożony
Już na sąd ziemski. On ci oczy wytrze.
A teraz ruszaj! bo ci insygnije
Zedrę biskupie, i w lochu osadzę!"

„Ja się oczyszczę, z oszczerstwa obmyję
Przed sądem ziemskim. Tobie jednak radzę,
Byś mię usłuchał, ukorzył się Bogu,
Bo cię wykluczę z prawowiernych koła,
Bo klątwę rzucę, zastąpię na progu,
Gdy się poważysz wstąpić do kościoła".

Zerwał się z tronu Bolko zapieniony
Z podniesionemi do góry pięściami,
I do biskupa, jak niedźwiedź raniony
Skacze i gwałtem chce zelżyć rękami,
Beszczeszcząc słowy furyi godnemi.

Lecz wierni księża własnemi piersiami
Pasterza swego w koło otoczyli,
Ziemianie twarzą upadłszy ku ziemi
Przystęp Królowi, leżąc utrudnili.

Kopał Bolesław cnotliwych rycerzy,
Raził pięściami, rycząc przeraźliwie:
„Ja cię nauczę... ty motłochu księży!“

Obelgi, razy ziemianie cierpliwie
Znoszą, błagając:
„Królu nasz i Panie!
Nie lżyj biskupa, miej poszanowanie
Dla stanu jego... to głowa kościoła“.

„Milczcie!.., ja Pan wasz!... Milczcie, bo zatłukę!
Na bok mi z drogi — przeklinając woła —
Bo łby ściąć każę!... Dajcie mi tę włókę...
Pruską przybłędę, a skroń mu rozpłatam!“

„Hamuj się Królu w zapamiętałości
Powróć do Boga... do nóg twoich padam
I łkając wołam: Miej iskrę litości
Nad samym sobą, nad Ojczyzną drogą,
Którą swym grzechem wleczesz do przepaści,
Zapalczywością gubisz cześć jej drogą,
A z piekłem stawiasz wierze srome paści“.

I biskup upadł drżący na kolana...
Ręce wyciągnął i jak dziecię płakał:

„Królu, litości... nawróć się do Pana!“

Bolesław z gniewu, jak szalony skakał

Nie mogąc ująć w ręce swe biskupa.
Pianą się zalał, a drąc włos na głowie
Krzyczał pięść wzniósłszy.
„Dokąd twego trupa
Nogą nie kopnę!“...
Głos mu zamarł w mowie.
Wypadł jak wściekły ze sali tronowej
I drzwi zatrzasnął, by piekłem rażony.

Stanko jednakże gniewem niestrwożony
Idzie w komnaty grzesznej Mścisławowej;
Pragnie ją skłonić, by Króla rzuciła
I do swej chaty, do męża wróciła,
Pragnie, by siebie oraz Króla złości
Pokutą świętą i łzami obmyła.

Daremnie jednak, bo grzech bezbożności
Tak już Krystynę oślepił, że szydzi:

„Do mnie przybywa?... mamże wierzyć temu
Stanko Stanisław! co się Krystą brzydzi?
Księże ubliżasz stanu duchownemu...
A, może mówić chcesz z moim kochankiem?
To przybądź proszę, tuż nad samym rankiem“.

„Żono Mścisława, do ciebie przybywam
Z rozkazu Boga, a jak ojciec radzę:
Porzuć grzech ciężki, a jak kapłan wzywam:
Ukórz się, nawróć, ja cię wyprowadzę
Z toni bezdennej. Opuść Króla dziecię,
Powróć pod strzechę, błagam cię gorąco,
Błagam na Boga! Żyj cnotą na świecie,

Bo w tej rozpuście zmysły ci się zmącą,
Bo oszalejesz!“

„Patrzajcie?! jakie mi
Rady podaje. Szkoda twych pieniędzy,
Któreś w Francyi zmarnił z uczonemi!
Króla porzucić!?... i wrócić pomiędzy
Chłopskie stodoły, to na to biskupie
Nauk głębokich, ani też Paryża
Wcale nie trzeba. by poznać, że głupie“.

„Dziecię me drogie, chwyć się mocno krzyża,
Wzywaj litości, boś nisko upadło!
Błoto sromoty serce ci wykradło!“

„Ha, ha! mnie serce? Wszak Króla miłuję...
Nawet ci powiem, że się matką czuję“.

„Dziecię zbłąkane!... Ja ci ze łzą głoszę,
Że płód zbudzony, co ciała rozkosze
Grzechem obarcza, sam już karze siebie.
Dziecię co zrodzisz wraz szalonem będzie,
I ono, grzeszna... przeklnie kiedyś ciebie...
A, i ty życie zakończysz w obłędzie!
Ukorz się Panu!“...

„Bywaj zdrów biskupie“.

„Całego ducha w mej modlitwie skupię,
I będę błagał Stworzyciela nieba
Za tobą dziecię“.

„Wcale nie potrzeba.
Nie trudź się księże... Krysta ci się kłania“...
To rzekłszy wyszła do drugiej komnaty.

Biskup łzę gorzką otarł ze wzruszenia
I próg przestąpił. Zdjął z siebie ornaty
I z wielkim żalem rozlanym po twarzy
Wraz z duchowieństwem wolnym, cichym krokiem
Wszedł do kościoła, i u stóp ołtarzy
Zanosił modły ze smutkiem głębokim.

XXIII.

ODPOWIEDŹ.

Ponownie Mścisław przed biskupem staje,
Bo pragnie słyszeć o drogiej Krystynie.
Strapiony biskup pocieszenie daje:

„Zapomnij o niej... ona w grzechu ginie...
Upadła Krysta na duszy i ciele...
Z wiary i z Boga urąga i szydzi.
Wszystko czyniłem... więcej niźli wiele...
Sam Bóg na niebie serce moje widzi.
Czyniłem com mógł. Sam byłem u Króla...
Sam u Krystyny. Król mowy nie słucha,
Krysta ramiona pogardliwie stula,
Bo już zgubiła i serce i ducha“.

Jęknął boleścią Mścisław rozżalony,
I rękę Stanka ze łzami całuje:

„Dzięki wam ojcze za trud poniesiony“.

„Bóg z tobą bracie. Bóg ją uratuje...
Bóg tylko jeden. My już nie zdołamy.
Powróć do chaty, błagaj Boga łzami,
Aby Krystynę wyrwał z piekieł jamy,
By ją oczyścił... nie smagał karami.

XXIV.

CICHA BOLEŚĆ.

Płacze Wszesława. Smuci się Maryja,
Bo syn jej, Król Pan, jakiejś Kryście sprzyja,
Zabył swą żonę, zabył swoje dziecię,
Skarb jej największy dzisiaj na tym świecie.

„Tak być nie może! Ja pójdę do niego!“
Woła Maryja.

„Matko! grzechu jego
Nie tykaj... nie rusz! Święta Boża wola
Niechaj się spełni“.

„Opłakana dola
Twoja Wszesławo, serce moje rani...
To pójdę do niej, do tej pięknej pani,
Grzech jej wyrzucę“.

„O, matko jedyna!
Błagam cię, żebrzę na Bożego Syna:
O, nie chodź do niej! — i słowem i okiem
Prosi Wszesława — bo tym świętym krokiem
Uwłaszczysz sobie i pogorszysz dolę,
Zamiast polepszyć. Stokroć cierpieć wolę,
Niż się poniżyć".

„To do Stanisława,
Do Stanka pójdę. On z Bożego prawa
Niech gromi króla.

„Stanisław, słyszałam,
Był już u niego, co słysząc, truchlałam.
Król rozgniewany miał tupać nogami,
A w końcu Stanka z grodu wyszczuć psami.
Był i u Krysty. Krysta go wyśmiała,
A nawet, mówią, drzwi mu pokazała".

„Matko Najświętsza! ta grzeszna niewiasta
Zbeszcześci berło i koronę Piasta!"

„Bóg nie zezwoli. Mam w Bogu nadzieję,
Że nam dzień błogi jeszcze zajaśnieje,
Że jeszcze ujrzę Pana mi drogiego
Na własnych rękach syna pieszczącego.
Tylko nam trzeba znosić krzyż cierpliwie,
Który Bóg zesłał".

„Dziwię się prawdziwie
Pobłażliwości..."

„O, złota matulu,
Ja codzień myślę o mym Panu Królu,
Codzień za niego proszę Boga w niebie,
By był mu Radą, mnie Ojcem w potrzebie
Dziś mi tak ciężkiej. O, matulu złota

I ty się nie trap, złe zwycięży cnota
Miłości Boga, miłości Ojczyzny,
Za którą poniósł Król rozliczne blizny.
Ten szał, ten moment jego zaślepienia
Zwycięża naszych czystych serc westchnienia
Do Pana Panów. Klęknijmy więc razem,
O, tu, matulu, przed Matki obrazem,
Razem ją prośmy gorącemi łzami,
By się wstawiła do Boga za nami.

XXV.

PODŁOŚĆ.

Powrócił Mścisław w Zbiluta świetlice,
Gdzie był zamieszkał.

„Łzy lać, krzywić lice
Babom przystoi. Cóż tu biskup może?
Trza ci jej szukać samemu na dworze.—
Tak radził Zbilut w trosce Mścisławowi,
Udając chytrze, że sprzyja głosowi
Ciężkiego żalu. — Na dwór iść ci trzeba.
Pomoc nie spadnie, jako manna z nieba.
Dam ci pachołka, on cię tam wprowadzi;
A szukaj pilnie, może ci kto zdradzi
Izbę Krystyny. Idź w służebnej szacie,
By nie poznano“.

„Dzięki ci mój bracie.
Dzięki za radę“.
„Lecz miej się na oku,
By cię nie zoczył jaki zdrajca z boku.
Bolko, człek srogi! nie wyniósłbyś życia
We dnie nie wychodź i krokiem z ukrycia.
W nocy jej szukaj“.
Taką dawszy radę,
Wyszedł Jastrzębiec knuć ohydną zdradę.
„Niechaj go płatnie, na miejscu ubije...
Natenczas serce Krystyny zabije
Dla mnie miłością“.
I szepta Królowi:
„Dzisiaj widziałem tuż ku wieczorowi
Mścisława w grodzie. Zda się Krysty szuka...
W wszystkie komnaty zagląda i puka...
Wykraść zamierza“.
Zerwał się z leżyska
Piorunem Bolko, i już sztylet błyska
W żelaznej pięści, i już rozwścieczony
Pędzi na oślep zazdrością raniony
W dziedziniec zamku na Krysty pokoje,
Rzuca za sobą z łoskotem podwoje.

XXVI.

OKRUCIEŃSTWO.

Miłość, niepokój o żonę kochaną,
Za radą wiedzie Mścisława do Króla.
Myśl więc wypełnia nigdy niesłychaną,
Z której już nawet piekło śmiechem hula.
Przyjmuje biedak służbę za niezdarę...
I nosi wodę, choć zgryzota toczy,
Albowiem w sercu żywi błogą wiarę,
Że Krystę znajdzie, i że ją otoczy
Opieką swoją.
Zgląda po komnatach,
Pyta służebnych, śledzi bystrem okiem,
Chodzi wzdłuż świetlic w wyniszczałych szatach,
Lęka się cienia i przed własnym krokiem
Śmiercią truchleje, po kątach się chowa.
Nareszcie Krysty znajduje podwoje.
Zmierzchem podchodzi, a niezdolny słowa
Nawet i rzeknąć, jęknął:
„Dziecię moje!“

Krysta głos słysząc, jak trup zbladła z trwogi
I krzykła grozą:
„Bój się Pana Boga!...
A, gdy ci życie, gdy ci żywot drogi,
To uchodź z duszą... mnie pochłania trwoga!
Skroń ci rozpłata Bolesław z wściekłości!...
Ino go widno!“

„O Krysto, o dziecię!
Umieram nędzny za tobą z miłości.
Uchodź wraz ze mną, gdy ci moje życie
Drogiem jest, luba... Ujdziemy wśród nocy
Do naszej chaty przy Bożej pomocy.
Tam matka biedna z bólu posiwiała,
Płacze dniem, nocą. ręce załamuje...
Jam już posiwiał — objął ją wpół ciała —
Dusza rozpaczą poi się i truje...
Uchodźmy luba!“
Krysta się wyrwała.

„Bolesław idzie! słyszę jego kroki!
Miej litość ze mną“.
Trzasnęły podwoje.
Wpadł wściekły Bolko, i jak grom obłoki,
Tak on piorunem rozdarł ich na dwoje.

„Kto tu!?... i co jest!“
I wraz ręka prawa
Błyska żelazem.
„To ja... z Bużenina...
Mścisław, mąż Krysty... i z Bożego prawa
Staję przed tobą“.
Krew się w żyłach ścina
Z dzikiej wściekłości srogiemu Bolkowi,
Iskrzącem okiem cel i przestrzeń łowi...
Ciska żelazem.
Ostrze w lot błysnęło,
I po nad głową Mścisława świsnęło,
Tonąc swem żądłem, aż na drugą stronę
We drzwiach dębowych.
Chybił drżąc z wściekłości.

„Krwi żądam — ryknął — cały drżę i płonę!
Kołem połamać każę ci psie kości!“
I skoczył z pięścmi.
Lecz Mścisław w podwoje...
Ucieczką życie nieszczęsne ratuje.
Król za nim z rykiem. Służby pełne roje
Gna w zbiega ślady... chwyta go, tratuje,
Popycha pięścią i kopie nogami.

„Zatłuc bestyą, jako psa kijami —
Ryknął Król, dysząc. — Nie!... wydrzeć mu oczy!
Niech ciemność piekła zuchwalca otoczy!“

I już Mścisława na wznak powalono,
I kolanami piersi przyciśniono.
Przypadł Jastrzębiec.
„Co ci to, co!... bracie? —
Pytał szydersko — Myślisz? żeś w swej chacie,
Tam w starem próchnie?... O nie!... tu gród pański,
Zaraz go poznasz, gdy ci wzrok pogański
Światłem rozszerzę.
„Zbilucie na Boga —
Jęknął zgnębiony — tam ma Krysta droga“...

„Dajcie pochodnię, pójdziem szukać Krysty —
Huknął Jastrzębiec — zanim go wieczysty
Ogień ogarnie“.
„Chodź“. — Błagał łagodnie
Mścisław Zbiluta.
Lecz ten już pochodnię
W twarz jego zwrócił, i krwawym płomieniem
Wzrok jego pali i silnem ramieniem
Prze go do ziemi.

Jęk... i cichość głucha
Jedną sekundą... Wszech obecny słucha
Skwerk ognia z ciałem, swąd obrzydły czuje,
Blednąc, wzdryga się.
„Niechaj nie żartuje
Z Królem, swym Panem. Wyrzucić za wrota!
Niechaj tam zdycha“.
I grzeszna hołota
Targła Mścisława. Ten leżał omdlały,
Z bólu nieżywy. Zgraje się zaśmiały:
„Wielkie ma oczy, źrenice szerokie!
Niemi już trafi w podwoje wysokie
Nadobnej Krysty“.
Tak mówiąc pięściami
Pierś jego tłukła, a kopiąc nogami
Pchała za bramę. Wreszcie zaszydziła,
Gdy już Mścisława z grodu wyrzuciła.

XXVII.

ODPUŚĆ WINY.

Mścisław nieszczęsny wzroku pozbawiony,
A przez hołotę z grodu wyrzucony
Leżał bez zmysłów. Krew z oczów płynęła
I w zakostniałe usta się cisnęła
Kroplą po kropli. Żywej krwi ciepłota
Życie w nim zbudza.

Wstał, macał, wzdłuż płota
Chcąc stąpić naprzód, lecz upadł... znów powstał...
Szukał oparcia, lecz zanim kół dostał
Z płota ogrodu upadł, jęknął z bólu:

„O Krysto moja!... Zbilucie!... o, Królu!“

Oprzytomniawszy wlókł się brzegiem Wisły
Powolnym krokiem. Krew i łzy się cisły
Z przeżartych źrenic. Wlókł się do biskupa,
Będąc podobnym do strasznego trupa
Z rozwartem okiem.
Ludzie go z litością
Na Skałkę wiedli, gdzie biskup przed złością
Króla się chroni, żyjąc w nędznej celi,
Gdzie wraz z mnichami ich ubóstwo dzieli.

Cela biskupa u księży Paulinów,
Prawdziwych w Bogu i ludzkości synów,
Była na dole w głównym kurytarzu
Po prawej ręce, a tuż przy ołtarzu
Świątyni Pana, do której drzwi z celi
Wprost prowadziły.
Mur zatem nie dzieli
Przybytku Boga od celi zacnego
Biskupa Stanka, który dnia każdego,
O każdej porze tak we dnie, jak w nocy
Spieszy w świątynię i wzywa pomocy
Pana nad Pany, aby jego siły
Podniósł i wzmocnił, aby w nim ożyły
Cnoty niebiańskie, któremiby zdolny
Sam pełen łaski, a od grzechu wolny
Mógł Króla Pana sprowadzić na drogę

Miłości Boga, a grzechów złowrogę
Rzucić w dół piekła.
Świetlica bielona
A na jej ścianie krzyż rozpiął ramiona,
Na którym wisi Bóg, Zbawiciel świata,
Bóg, który kazał czcić wszechrodu brata,
Czcić jako siebie. Pod krzyżem stół długi
Płótnem nakryty. Na stole dwie świece
W srebrnych lichtarzach wszechmocnej Opiece
Serce narodu swoim drżeniem zdają,
A modłom Stanka jasno przyświecają.
Na onym stole leżą księgi wielkie
W srebro okute, w nich nauki wszelkie
Na pargaminie starannie spisane,
Oraz modlitwy niebiosom wylane.
Księgi te grube, to skarb taki wielki,
Żeby za każdą z nich kupił dwór wszelki
Z całym dobytkiem.
Przywiózł je mąż Boży
Z światłej Francyi, on albowiem łoży
Wszelki grosz ziemski na cześć, chwałę Boga,
Bowiem był poznał, że modlitwy droga
Wiedzie w niebiosy.
W jednym kątku celi
Łoże dębowe bez żadnej pościeli,
Twarde jak kamień. Na nim to spoczywa
Chwilowo Stanko, lecz i na nim wzywa
Łaski niebiosów zanim ziemskie oczy
Sen ukołysze, spokojem otoczy.
Przy drzwiach świetlicy dzban prosty, gliniany,
A przy nim kubek. Dzban wodą nalany
Służy Stankowi, gdy już modłów gody
Przesłał w niebiosy, do ziemskiej ochłody.

W środku świetlicy stół bogactwo mnoży,
Albowiem na nim spoczywa chleb Boży
Dla gości w Bogu.
Świetlica ta jego
Drzwi ma otwarte dla brata każdego,
Który doń spieszy.
Martwią się Paulini,
Że drzwi otworem, że biskup źle czyni
Drzwi roztwierając, bo go każdy może
Napaść z nienacka, gdy go twarde łoże
W sen ukołysze.
Stanko skarg ich słucha,
Mówiąc łagodnie: „Nie zabije ducha...
A czemże ciało?... Prochem, pyłem ziemi...
Mówię wam zatem, że jak drży powieka
Pod grozą zbrodni, tak z głowy człowieka
Włos nie wypadnie bez najświętszej woli.
Cóż za tem więcej na tej łez padoli
Chcecie od Boga?“
Mścisław nieszczęśliwy
Wiedzion przez ludzi w pół martwy, w pół żywy,
Przybył na Skałkę i padł na kamienie
U samej bramy. Z ust mu prośby drżenie
Boleścią jękło:
„Straszna... straszna męka...
Pukajcie, proszę“.
Litościwa ręka
Klamką u bramy lękliwie ruszyła.

„Głośniej przez litość“.
Ręka uderzyła
Silniej, i nagle.

„Kto i z czem po nocy?“
Spytał głos z wewnątrz.
„Proszący pomocy...
Człek mi nieznany“.
„A wy, ktoście panie?“

„Ziemianin Gietko. Znają mię ziemianie,
Zna mię i biskup“.
Drzwi cicho skrzypnęły
I jednem skrzydłem otworem stanęły.
Wyszedł staruszek, jak gołąbek siwy
Z strachu wybladły, prawie na wpół żywy...
A Mścisław jęknął:
„Przyjmijcie kalekę,
Ojcowie święci, pod swoją opiekę“.

„Ktoś ty nieszczęsny?! To są żywe rany
Kto ci człowiecze żywot opłakany
Powiększył ową szatańską srogością?
Kto ci wzrok wydarł, oną piekła złością?!“
Pyta staruszek.
„Przez litość i Boga!
O, nie pytajcie, nie ruszajcie wroga,
Dzika w jaskini. Wiedźcie mnie z litości
Do jego łaski, biskupiej Miłości“.

Biskup stał w progu był się modlił jeszcze
Modlitwą właśnie przeczucia złowieszcze
Zagłuszyć pragnął, gdy w bramę stukano...
Podniósł więc z ziemi lękliwe kolano
I wyszedł z izby, i ostatnie słowa
Słyszał Mścisława. Na pierś spadła głowa

Męża zacnego. Postąpił powoli...
Ujął Mścisława, i rzekł:
„W ciężkiej doli
Przybywasz do mnie... Chodź do mej świetlicy,
Pożal się, wypłacz“.
„Ja niemam źrenicy...
Oczy już moje zapłakać nie mogą.
Źrenicem stracił... stracił żonę drogą...
Zbilut... i Król Pan!“
„Ciężką, ciężką męką
Bóg cię nawiedził“. — To mówiąc dał ręką
Znak Stanko mnichom, by go zostawili,
Sam na sam z chorym.
Cichutko wstąpili
Mnichy w swe cele.
Stanko wziął Mścisława
I wiódł do siebie ostrożnie, powoli...
Przywiódszy wyrzekł:
„Praw mi o swej doli“.

I słucha Stanko z grozy skamieniały,
Wieści straszliwej. Słucha co Król Śmiały
Ważył uczynić. Słucha... słucha jeszcze,
Chociaż już Mścisław dawno skończył żale.
Słucha i tłumi przeczucia złowieszcze,
Głuszy je łzami.
„W srogim, w sprośnym kale
Tarza się Król Pan. O, Boże litości —
Jęknął boleśnie. — Na twych ojców kości
Klnę cię Mścisławie... na Chrystusa rany...
Wybacz swe krzywdy... Bóg ukrzyżowany
Zbrodni wybaczył... Nie mścij się na wrogu.
Król namaszczony! Krysta cię zdradziła,

Ona i Króla grzechem zaślepiła.
Zapomnij o niej... Zostaw karę Bogu...
Kara nie minie u wieczności progu
Nigdy grzesznika".
„Ojcze, ojcze drogi!
Ja im wybaczam ścieląc się pod nogi
Twoje, o święty".
„Mścisławie, mój synu,
Ja się raduję z twojej cnoty czynu,
Chlubię się tobą. Chodź w moje ramiona...
Na twoim czole jaśnieje korona
Chwały męczeńskiej. Powróć do twej włości,
Lecz nie żyw w sercu zapamiętałości.
Niebo się cieszy dziś z twej duszy czynu...
Z Bogiem Mścisławie... pokój ci mój synu".

XXVIII.

OCKNIENIE.

Krzyki, Mścisława goniących co siły,
Krystynę trwogą, rozpaczą raziły.
Zgiełk, świst, przekleństwa tłoczące się w uszy
Wszelką jej władzę odebrały w duszy.
Stała, by z głazu, lub by błyskawicą
Dziką rażona stała w słup z źrenicą,
Z ustmi szeroko w grozie rozwartemi,
Z dłonią przed siebie, z palcy skostniałemi.

Stąpić nie mogła, choć postąpić chciała.
Krzyk skonał w piersi, bo szczęka skostniała,
Język skamieniał, krwią nabiegły żyły,
Zsiniałe wargi wpół zęby odkryły,
Tchnąc przerażeniem.
Przez drzwi uchylone
Wleciał Jastrzębiec.
„Ślepia wypalone —
Krzyknął szatańskiej bestyi uciechą —
Na wskróś pochodnią! Już cię starą strzechą
Straszyć nie będzie“.
Z ust Krysty krzyk jęku
Wydarł się głuchy i padła zemdlona.
Zbilut podskoczył i już ją na ręku
Trzyma namiętnie, a cisnąc do łona
Całuje w usta.
„Mojąś ty, królową!
Mojąś ty! moją!... bym nałożył głową!
Mojąś ty! moją!... bym i stracił duszę...
Oczy, jak Mścisław!... Ja cię!... ja cię... muszę!“...

Wtem, głuchym jękiem mdlejącej Krystyny,
Zwabione w izbę służebne dziewczyny,
Widzą Zbiluta, a na ręku jego
Krystę wpół żywą.
„Was z życia gnuśnego
Trąbą trza budzić!“ Wołał Zbilut gniewnie.
Służba tłumaczy:
„Przelękła się pewnie...
Połóżcie biedną.“
„Ze strachu zemdlała. —
Odparł Jastrzębiec. — Weźcie ją, bo cała
Drży moja ręka. Ocućcie powoli...

Przyjdzie do siebie, przyjdzie, gdy przeboli.
A wam powiadam, abyście czuwały,
A nie po sieniach gnuśnie wystawały,
Bo smagać każę aż do krwi rózgami!...
Pani zemdlała!... a, te chichotami
W sieniach się bawią. O szelmy! o włóki!
Raz jeszcze zoczę, to każę dać buki,
Aż grzbiet zczernieje, aż popłyną strugi
Z krwi waszej, szelmy!“

Rzekł był, bo na sługi
Zły był i wściekły, że wpadły w świetlice,
I śmiały zajrzeć w jego sprosne lice,
A i to właśnie w onej grzesznej chwili,
Gdy on omdlałej bezkarnie się mili.

Zbudzona Krysta pamięć przywołuje,
I co się stało wspomnieć usiłuje.
Zbłąkanem okiem toczy po komnacie...
Widzi się na wpół w poszarpanej szacie
Z włosem rozwianym, na łożu w nieładzie.
Trwożnie na czoło drżącą rękę kładzie,
Zimny pot ściera... wtem! sztylet błyszczący,
Aż po rękojeść w drzwiach ostrzem tonący...
Widzi przelękła.

Sztylet pamięć budzi.
Słyszy zgiełk, hałas i przekleństwa ludzi...
Widzi Zbiluta z uśmiechem bestyi,
Czuje dłoń jego na piersiach, na szyi,
I słyszy słowa:

Oczy wyparzono!
I ślepcem z grodu na łeb wyrzucono
Twego Mścisława!

Zrywa się, nie wierzy...
Sen, czyli mara?... Zrywa się i bieży
Do drzwi dębowych z zimną jak śmierć skronią,
I tkwiący sztylet chwyta... targa dłonią.
Żelazo jednak, by ogniem raziło,
Tak ją swem zimnem na wskróś przeraziło.

„Tak jest — jęknęła — och... okropność!... Boże...
Prawda!... o, prawda".
I zwolna na łoże,
Nie mogąc ustać, bezwiednie wróciła,
I drżące lica w zimne dłonie skryła.

Komnatę cisza zaległa grobowa...
Ta straszna cisza, jaką wieczność chowa
W cnotliwem łonie, owa cichość głucha,
Którą jedynie pokuta lub skrucha
Budzi sumienie.
Krysty blade lice
Zdało się szklanne posiadać źrenice
W jeden punkt, w próżnię, w nicość utopione,
Bez myśli, wiedzy, czucia pozbawione,
Które w słup stojąc nie drgnąwszy powieką
Patrzyły w nicość.
Jednakże opieką
Niebios wiedzione wstrzymały się przecie
Jeszcze raz wtóry w utkwionym sztylecie.
Łzy wytrysnęły z zbolałej źrenicy
Tocząc się zwolna po licu grzesznicy.
Gorzko płakała.
Płacz przywołał stratę...
Ze stratą rozpacz!
Przywiódł starą chatę

Z siwą macierzą. Przywiódł ludek z sioła,
Przywiódł Mścisława.
„Ślepiec! ślepiec — woła —
Ślepiec mą zbrodnią!“
Dreszcz przebiegł jej kości.

„Król! Król... Jastrzębiec!... Boże mój litości...
Oko za oko!“...
I szalonym krokiem
Przypada do drzwi z roziskrzonem okiem,
I wbity sztylet wyrwać dłonią pragnie.
Daremnie jednak, żelaza nie nagnie...
Ni ruszy nawet.
„Rozpaczy! rozpaczy“...
Jękła złamana. Wtem:
„Czy aśćka raczy
Przyjąć me służby — szepnął Zbilut cicho
Chyłkiem się wkradłszy — już śpi wszelkie licho...
Nikt nas nie słyszy“.
„Służebne... powoli“...

„Niech o służebne głowa cię nie boli.
Tom mu doparzył!“
„Nie żartuj Jastrzębie!
Król dziki, srogi! Patrz jak utkwił w dębie
Sztylet rzucony ręką Bolesława...
Nie żartuj mówię... twarda z nim przeprawa...
A! gdyby zoczył! na miejscu ubije!
Tak rzucił ostrze, że ramię niczyje,
Nawet i twoje wyrwać go nie zdoła“.

‚Ha, ha! co? moje?“

Jastrzębiec zawoła
I sztylet chwyta, i ciągnie co siły.
Krwią mu nabiegły muszkuły i żyły.
Wstyd go ogarnął, żelazo nie drgnęło.

„Widzisz Zbilucie?!“
„Bodaj licho wzięło!“

Wsparł się kolanem, chwycił lewą dłonią
Skrzydło dębowe. Krzywił całą skronią,
Zdało się, że mu z łba wytryśnie oko,
Tak go rozstworzył powieką szeroko,
Ciągnąc żelazo.
„Złamiesz go Jastrzębie,
A nie drgnie w ręce.“
„Zażarło się w dębie“.

Zgrzytnął zębami, szarpnął z całej siły!
Wszystkie na skroni zsiniały mu żyły...
Trzasło...
„Złamałeś!“
„Na twoje usługi...
U nóg Twych Krysto, leży jako długi
Sztylet Bolkowy“.
I śmiał się z radości,
Rzucając sztylet pod nogi miłości,
Krysty kochanej. Śmiał się, mrużąc oczy,
Rozwartą szczęką.
Wtem Krystyna skoczy:

„Precz wyuzdany! — krzykła wzniósłszy w górę
Błyszczące ostrze — precz z oczów szatanie,
Albo trup zimny twój tu pozostanie!“

Śmiech zmarł mu w piersiach. Zimny pot na skórę
Śmiercią wystąpił. Z wykrzywionej gęby
Wytrzeszczył żółte wpół spróchniałe zęby.
Trząsł się, by w febrze. Omdlałe kolana
Naprzód się zgięły, tłukąc własne kości,
Drżąc goleniami. Z krwią zmięszana piana
Z ust mu spadała.
„Poczwaro podłości! —
Krzykła Krystyna. — Precz! precz rozpustniku!“

„Zemszczę się!“ Syknął.
„Precz! precz nikczemniku!
Bo żyw nie wyjdziesz.“
I z sztyletem w dłoni
Wprost na Jastrzębca, jak furyja goni.
Zerwał się Zbilut i wypadł z świetlicy.
Krystynie błysła drżąca łza w źrenicy.

XXIX.

ZDRADA.

„Ja cię nauczę zuchwała gadzino —
Wołał Jastrzębiec. — Ja ciebie Krystyno
Nauczę ktom ja!... O, ja ci kark nagnę
Tu! do mej nogi. Zemsty! zemsty pragnę.
Niech biskup wygra, spokój się zakłóci,
Bolko cię żmijo na łeb z grodu zrzuci“.

I uknął zdradę. I chyłkiem lis rudy
Idzie wywlekać przed biskupem brudy
Z mowy królewskiej o wieś Piotrowinę.

„Niech w ziemię wpadnę, niech na gnoju zginę,
Jeśli nieprawdę mówię Waszej Mości.
Król się wam zawziął. Podburzył Jakóba
O włość Piotrowin. Niezawodna zguba...
Przegracie sprawę, bowiem świadka nie ma,
Żeście spłacili, a Jakób aż z trzema
Stanie świadkami".

Słuchał biskup mowy,
Słuchał, nie wierząc,

„Co tobie do głowy
Wpadło człowiecze? ty chyba szalony...
Królby podmawiał?... hańbił cześć korony!?"

„Tak jest, powiadam. Ja sam, ja jeździłem
Tam do Jakóba. Złotem go kupiłem
Z rozkazu Króla. Niezawodna zguba...
Jedźcie, lecz zaraz duchem do Jakóba,
Kupcie go dla się, by świadczył za wami"..

„Człecze ohydny! precz! z twemi radami...
Ze zdrady zdradę knujesz obrzydliwą.
Ja się zaświadczę prawdą Boga żywą.

Precz! z mego progu ohydny potworze!
Pchnąłeś do fałszu. do krzywoprzysięstwa
Duszę Jakóba, a teraz... o Boże!
Zdradzasz bezczelnie blask korony, księstwa..
Precz! precz oszczerco".

I pogardy okiem
Zmierzył Jastrzębca i powolnym krokiem
Wyszedł z świetlicy, grozą oburzony.

Chwilę stał Zbilut mową odurzony...
Nie mógł zrozumieć, jak taką przysługą
Mógł gardzić Stanko. Stał przez chwilę długą.

Ha! dumny klecho!... ja cię dąć naucze —
Krzyknął pięść wznosząc — o! ja tu powrócę
Zgiąć ci kark hardy!“
I knuł nowe rady
Skrycie z Jakóbem. Stawiał sidła zdrady,
Burzył, podżegał, donosił Królowi
Fałszywe wieści przeciw biskupowi.

Rosła nienawiść. Zbilut ją podniecał,
Pochodnię gniewu, oszczerstwem rozniecał.

XXX.

W DZIEŃ BOŻEGO NARODZENIA.

Północ na niebie gwiazdy zwiastowały,
Sto milionów na ziemię wylały
Światła jasnego, widno, by w dzień Boży.

Każda gwiazdeczka coraz więcej mnoży
Światło niebiosów; jedna się nad drugą
Sadzi w jasności, wszelka chce być sługą
Małą, najmniejszą.
Bóg niebios się rodzi...
Na padoł płaczu Syn Boży przychodzi!

Zima. Śnieg leży biały, bieluteńki,
Sto iskier sypie mały, maluteńki
Promyczek jego, bo sam pragnie siebie
Rozgrzać, by sobą tak, jak gwiazdy w niebie
Mógł ogrzać Pana. Za pociskiem nogi
Skrzypi, nie, płacze:
O człowieku srogi
Nie deptaj, o nie, bo ja także żyję
I pragnę służyć choć mróz, zimno kryję,
Pragnę czcić Pana.
Bóg niebios się rodzi...
Na padoł płaczu Syn Boży przychodzi!

Gwiazdy ze śniegem igrają w zawody,
Dla gwiazd i mrozu dziś najwyższe gody,
Radość, wesele:
Bóg niebios się rodzi...
Na padoł płaczu Syn Boży przychodzi.

Bije w niebiosy na Skałce dzwon Boży...
Naród się kupi, setkami się mnoży,
Aby cud ten, że Panienka
Porodziła Synaleńka
Z Boga Ojca przedwiecznego,
Że go tuląc płaczącego

Na sianeczku w zimnym żłobie
Całowała w rączki obie,
Mógł zobaczyć, więc się tłoczy
Wesół, hoży do kościoła,
I śmiejące zwraca oczy,
I z radosnym płaczem woła:
Witaj Jezu Dzieciąteczko,
Witaj Jezu Paniąteczko.

Na ołtarzu żłóbek stoi,
Wkoło niego lud się roi
Bez różnicy stanu, wieku;
Młody, stary, czy bogaty
Wita w każdym dziś człowieku,
Choć go kryją nędzne szaty,
Swego brata kochanego
Przez Chrystusa mu danego,
I z nim razem łzy wylewa,
I z nim razem Bogu śpiewa:
Witaj Jezu Dzieciąteczko,
Witaj Jezu Paniąteczko.

I tak każdy Syna Boga
Chce kołysać, by mu droga
W niebo była otworzoną,
By dziecina narodzona
Spała cicho. Więc z kolei
Każdy śpiewa w tej nadziei,
Że dziecinę sam utuli
Starą piosnką: Luli, luli.
Lud z radości łzy wylewa,
I ochoczo Bogu śpiewa:
Luli Jezu Dzieciąteczko,
Luli Jezu Paniąteczko.

I nie poznasz w onej rzeszy,
Co się wspólnie Bogu cieszy,
Co dziś kornie przed nim klęczy,
Kto z niej w ciężkiej nędzy jęczy,
Bo dziś każdy się weseli,
Że w tym czasie, gdy anieli
Bogu chwałę wyśpiewując
I dzieciątku się radując,
Hoży taniec wkoło plączą
I z nim razem głos swój łączą:
Luli Jezu Dzieciąteczko,
Luli Jezu Paniąteczko.

Biskup Stanisław pokornie mszę czyta,
A duszą, sercem każde słowo chwyta
Ludu wiernego, który w onej zbożności,
Spiewając Panu łzy roni z radości,
Lecz, gdy usłyszy:
Luli Jezu Dzieciąteczko,
Luli Jezu Paniąteczko,

Cicho przystaje, rękami się chwyta
Stołu Pańskiego i dalej nie czyta,
Słucha i płacze, a płacząc dygocze
Serca radością. Lecz, gdy znów ochocze
Słowa usłyszy:
Witaj Jezu Dzieciąteczko
Witaj Jezu Paniąteczko
Budzi się z płaczu, do ludu się zwraca:
„Pokój wam — szepta — słodka moja praca
Na niwie Bożej". I znów cicho czyta
Mszę świętą dalej, i znów duszą chwyta
Pienia rozkoszne.

Zaledwie pacierze
Ostatnie zmówił, już do ręki bierze
Ewangelią, jej słowo tłómaczy,
I, by być jasnym w każdym zdaniu baczy.
W zapale gromi, to znów grom łagodzi
Słodkim wyrazem, to już w serce wchodzi
Zatwiardziałego na słowo grzesznika...
I znowu gromem wskróś duszę przenika!

Naraz drgnął cały, zdało się oniemniał...
Lud słuchający strętwiał i skamieniał.

„Oszczerstwo!... dzieci!“...
„Runął nawalnicą
Tak nagle, groźnie, jak grom błyskawicą.

„Oszczerstwo!... dzieci!... — O, Boże mój miły —
Szepnął, drżąc cały — o, udziel mi siły,
Bym w dniu radości, gdy na świat ten schodzisz
I sam niezgody między ludźmi godzisz,
Ja miał tę siłę największy grzech w świecie
Braciom przedstawić, jak zań piekło miecie
Ogniem wieczystym! O, dozwól mi Panie...
O wysłuchanie zanoszę błaganie“.

Ukląkł, modlił się... długo... zda się wieki...
Powstał powoli, otarł łzę z powieki
I jasnem okiem patrzy na lud Boży,
I mówi cicho, jednak nacisk łoży
Na każde słowo. Lud słucha skwapliwie,
On wiarę Bożą sieje w sercu niwie:

„Rzewnie słuchałem piosenki ochocze
Bogu śpiewane. Za pieśń wam przytoczę

Z Pisma świętego zbawienne nauki,
Jako żyć z światem, byście syny, wnuki
Pouczyć mogli, jako żyć cnotliwie,
A nigdy brata nie hydzić złośliwie".

Przestał na chwilę, przypomniał Zbiluta...
Lecz, już go zabył, w duszy drżała nuta:
Luli Jezu Dzieciąteczko,
Luli Jezu Paniąteczko.
Więc wzywa Boga, troski na bok łoży,
I już poucza jak apostoł Boży:

„Nad Galilejskiem jeziora zebrana
Rzesza wołała do Chrystusa Pana:
Nauczycielu nauki łakniemy,
My tylko Twoją nauką żyjemy.

Więc wstąpił Chrystus w łódź Piotra Szymona
I uczył z łodzi:
I ten w grzechu kona,
Co brata skrzywdził słowem złorzeczenia,
Co go rozmyślnie odarł z sławy mienia,
Co go przed bratem oczernił ohydnie,
Lub jego nędzę wyszydził bezwstydnie,
Albowiem stał się jego serca katem,
Zbójcą przed Bogiem i zbójcą przed światem!

Źle wam więc Pismo święte wykładano,
Mówiąc:
Że tylko ten, co krwawą raną
Zmazał swą rękę, lub ten, co na mary
Złożył bliźniego winien niebios kary,
Winien, by nie żył w wieczystej światłości.

Tak samo źle was uczono miłości,
Mówiąc:
Że tylko miłować należy
Tego, co z tobą w Boże słowo wierzy,
Że nieprzyjaciel winien jest pogardy,
Że mu i nagiąć należy kart hardy,
Że go i zabić jest nawet zasługą...
Bo ja ci mówię:
Bądź mu raczej sługą,
Bo cnotą nie jest miłość brata swego,
Miłość, cześć matki, ojca sędziwego,
Bo ta w krwi leży.
Że jednak miłować
Nieprzyjaciela, w nędzy go ratować,
Krzywdy mu przejrzeć jest rozkoszą błogą,
I niezawodną do zbawienia drogą...
Temu dziś uczę:
Boże, odpuść winy
Tak, jako i my odpuszczamy naszym
Winowajcom. O Boże, nasze czyny
Wiedź ku dobremu, kieruj sercem naszem
Ku chwale swojej.
Gdy tak lud pouczył
Rozkazał sieci, co z najgrubszej liny
W morze zapuścić. Piotrowi poruczył,
By rozkaz spełnił, mówiąc doń z miłością:

Nie trap się, nie martw uczciwą starością,
Bo duch twój młody, chociaż krew upada.
Ja się nie dziwię, że dłoń twa nie włada
Tak dzisiaj sakiem, jak niegdyś w młodości...
Starość jednakże ma światło mądrości!
Temu mi ufaj... zarzuć Piotrze sieci...

Bóg ci pomoże, bo On kocha dzieci...
W Imieniu Jego połów ci pomnożę.

„Panie mój — rzekł Piotr — ufność w Tobie łożę,
Lecz powiem, Panie... darmośmy łowili".

„Czyń, jako rzekłem".
I wraz sieć rzucili
Służebni Piotra... i ciągną do góry...
I cudo, cudo! pod ciężarem sznury
Rwą się, by nici. Połów tak obfity,
Że łódź nie mieści.
Piotr stanął, by wryty
I:
„Panie! Panie — wołał wynijdź z łodzi,
Wynijdź odemnie, bowiem się nie godzi
Być ci z grzesznikiem na jednym pokładzie".

Lecz Chrystus rękę na skroń Piotra kładzie
I mówi słodko:
Nie bój się mój Piotrze,
Wiara twa wielka łzę ci cierpień otrze...
Odtąd nie będziesz trudził się połowem,
Lecz będziesz koił łzy ludzkie mem słowem".

Tu biskup przestał... zda się chwytał słowa
Chrystusa Pana, bo mu na pierś głowa
Spadła w zadumie. Milczał chwilę długą,
Poczem rzekł kornie:
„I ja, i jam sługą,
I ja rybakiem!
Łowić pragnę dusze,

By je złowiwszy, piekielne katusze
Zmienić im w radość, we wieczne istnienie
Na nieskończone archaniołów pienie.

Temu też wołam:

„Gdy ziemskie istnienie
Śmierć nagle przerwie, oszczerstwo wraz stanie
U wrót zbawienia, i wszem i każdemu
Zaprze wzdłuż drogę, co w krew bratu swemu
Żądło zapuścił".

Chwilę, chwilę spoczął,
Naraz jednakże takoż mówić począł:

„Jestem rybakiem, jak Piotr łowię dusze,
Lecz łowiąc z trudem głośno wołać muszę:

Bóg się narodził, wiarę światu głosi,
Prawdę przedwieczną sam ucząc, roznosi.
Jako jej słuchasz? Jak się korzysz Bogu?...
Oszczerstwo wleczesz od progu do progu!
Bóg się zlitował, przyjął na się ciało,
By cię odkupić, byś mógł kiedyś śmiało
Stanąć przed tronem Stworzyciela Pana
I rzeknąć kornie:

Ma krew nieskalana,
Dusza ma czysta, przyjmij ją o Panie
Do chwały swojej, niechaj w kole stanie
Wybranych nieba.

Syn Bóg słowo głosi
Bratniej miłości... a łotr kłamstwo nosi
Na brata swego ze czci go odziera!
Brat pod oszczerstwem kona i umiera.

O zatwardziały, ohydny grzeszniku,
Ileż ty nędzy i rozpaczy krzyku
W szlachetnym domu grzechem wywołujesz,
Który choć prostasz, nigdy już nie zmyjesz!

A, jako to jest?... Na nędznym przykładzie
Wraz wytłumaczę:

Wiatr zerwał się w sadzie
I kwiat otrzepał... Pytam?... Owoc będzie?...
Na bujnym kwiecie gąsienica siędzie,
Pytam?... czy kwiatek nie zginie w boleściach,
I czy go kiedyś nie zdybiesz na śmieciach,
Jako chwast zwiędły?...

Skrzętna gospodyni,
Patrz tylko pilnie, jako w domu czyni:
Piórko z pióreczkiem do miecha gromadzi,
I jako zbierać córy ucząc, radzi.
Weźmijże ten miech z tem piórem skrzętności,
Wyjdź z nim na wieżę, rozprój go ze złości
I wysyp pierze... Wiatr pióra poniesie
Wszesz i daleko, jako głos po lesie
Wichry w dal niosą!

Lecz? czyli te pióra
Znów zebrać zdołasz, to niech ci to która
Z onych córa rzeknie, co skrzętnie zbierała
Piórko do piórka, co skrzętność poznała,
I jej hołduje.

Rozwiać cześć bliźniego,
Skrzywdzić dom, żonę, syny, córy jego
Na lat, lat setki... o! to wszech podoła,
Lecz cześć mu wrócić... nawet Król nie zdoła!

Patrz ot, na puhar szklanny, przejrzysty...
Patrz, jako jasny, jako na wskróś czysty...
Wszelką ci barwę jaką chcesz wskazuje,
Twoją się wolą, jako chcesz farbuje...
Lecz trąć go ręką... Szkło z brzękiem upadło.
Płyn w ziemię wsiąka... Szkło ze zgrozy zbladło
I u stóp twoich leży potłuczone,
A ostrem szkliwem ku tobie zwrócone
Grozi ci:
Nie rusz! bo cię zranić mogę...
Gdy nieostrożnie posuniesz swą nogę...

Lecz, zbierz to szkliwo!... próbuj puhar złożyć.
Czyli podołasz tak trzopy ułożyć,
By do się szczelnie bez skazy przyległy?
Nie wiem!... I nie wiem, czy mistrz w sztukach biegły
Zlepić je zdoła.
To szkło, martwe ciało...
A tobie sławę rozbić się zachciało
Brata bliźniego!... Leży potłuczona
Cześć ojców jego. Rodzina zhańbiona!
Boś ty meł językiem złości niestworzone,
A w głowie brata nawet nie marzone...
Boś ty oszczerstwem zatruł jego życie!
Hańba ci, hańba! po wieki wieczyste,
Bo piekło nawet zbrodniami rzęsiste,
Oszczercy nie zna, bo ono oszczerstwa
Nie znało nigdy. Głupotą rycerstwa,
Pychą zgrzeszyło.
Bóg jednak sternika
Tej butnej pychy, tę ćmę buntownika
Strącił z niebiosów.
Lucyper się zowie.

Lecz! że ten szatan waży podziś w głowie,
Susząc mózg hardy od nocy do rana,
Jako przebłagać Stwórce, niebios Pana?...
Przeto oszczerstwa nie zna w swem królestwie,
I z piekieł woła:
Niech w świata nicestwie
Wszelki klnie łotra... A, jak piekło słynie,
Tak niechaj w hańbie wszech oszczerca ginie!

Oszczerca gorszy, niż ten, co w noc skrycie
Na życie godzi. Gorszy niźli żmija,
Bo ta otwarcie kąsa i zabija.

I zbójeckiego ustrzeżesz się kija...
Oszczercy! nigdy. Ten z nienacka, chytrze
Dotąd napada, aż ci honor wydrze,
Aż cię w dół zepchnie, twą hańbą zbogaci
U małodusznych, twych niegdyś współbraci.

Znałem człowieka, który w obcym kraju
Poznał był owcę z wilczego rodzaju,
A pytan przez nią, rzekł prawdę o cnocie,
Za to go owca poszargała w błocie.
Taką wilk-owcę cudzoziemiec zowie
Wzgardliwie: Schebs est, a co w naszej mowie,
Gdy zwierz zwią: hydra, gdy człek: łotr, oszczerca!

By więc was ostrzedz, mówię z głębi serca:
Strzeżcie się owiec w wilczej skórze, gadów,
Jako też ropuch, wężów hyjen, płazów,
Tak, jak tych sromem wpół przeżartych głazów,
Co niegdyś piękność, a dziś wstręt wzbudzają,
Bo krom plugastwa nic w sobie nie mają.

Oszczercy język nawet i świętego
Kalać się waży... plwa na kości jego!

Prawdę zamilczeć na korzyść Ojczyzny,
By tem milczeniem odwrócić łzy, blizny
Od braci, kraju... cnotą się nazywa!
Lecz, kto jej prawdą wieniec cnoty zrywa,
Żal! że mu dana była ludzka mowa,
Żal! że niegodny i pogardy słowa.

A wiesz ty o tem, że w potrzebie kraju
Milczeć ci wolno? że się nawet w raju
Z takiego czynu archanieli cieszą?
Że i w potrzebie z wszech pomocą spieszą
Takiej niemowie?
Ja cię nie pouczę...
Ja cię Ojczyzny kochać nie nauczę,
Jednak ci rzeknę:
Bez Boga i wiary!
Niczem są wszelkie pełnione ofiary
Ku czci Ojczyzny!
Raz jeszcze rzec muszę,
Tak, jako pragnę zbawić własną duszę,
Że wydać prawdę na zgubę Ojczyzny:
Zbrodnią jest ciężką, że tej groźnej winy
Bóg nie wybaczy, bo ci milczeć wolno,
Jakoby rybie... lecz, zdradzić nie wolno!

A wiesz ty, co jest, jako zwiesz: Ojczyzna?
Czy to ta gleba urodzajna, żyzna?
A tak... i ona... lecz miłość sąsiada
Z miłością brata szczęściem kraju włada.
Sąsiad z sąsiadem Ojczyznę stanowi,
A w zgodzie żyjąc są berłem Królowi.

Ojciec i matka, syn, córka, ich dzieci
Na całej ziemi, gdzie Bóg słońcem świeci
Zwią się rodziną. Patrz, gdy się kochają
Żadnej miłości więcej nie żądają,
Jak tylko Bożej... lecz, gdy zawiść w domu
Wszyscy poginą od Bożego gromu!

A wiesz ty o tem? że i Chrystus milczał
Pytan o prawdę:
Tyś Król Izraela?
Tyś Król Żydowski?...
Czemuż nie wyliczał
Onych kapłanów, co pełni wesela
Cześć mu oddając Królem ogłosili?
Pytam, dlaczego sami Go sądzili
Oni rabini, co w proch przed Nim padli?...
Albowiem w srome oszczerstwo popadli.

Zabij człowieka w gniewie, w szale złości,
I psom, hyjenom rozrzuć jego kości...
Bóg może przejrzy, bo duch zabitego
Za tobą błagać będzie Przedwiecznego,
Bo się sierotom świat ten ulituje,
I łzą i sercem szczerze poratuje,
Do się przygarnie:
To biedne sieroty,
To dzieci ojca nieskażonej cnoty,
Którego zły człek zamordował w złości...
Przytulmy biedne, godne są litości.

Lecz, oczerń ojca!... Ojciec zginie z bólu,
Choćby miał nawet przyjaciela w Królu!
Król się odwróci, odstąpią sąsiedzi,

I brat się wyprze!... Sam więc smutny siedzi
W gronie swych dzieci, łzy tajemnie łyka,
Na każdym kroku wzgardy wzrok spotyka,
Choć czci jest pełen.

Dziećmi potyrają...
I dzieci ludzi, Boga unikają!
Tyś! ich zabójcą na duszy i ciele,
Ty, ty! oszczerco!!

O, byś się w popiele
Żałując talał, krzywdy nie powrócisz,
Ani boleści nieszczęsnym nie skrócisz.
Zabiłeś ojca, zabiłeś i matkę,
Odarłeś ze czci starych ojców chatkę,
Za dziećmi jeszcze jadliwym językiem
Gonisz w świat Boży z bestyjalskim sykiem!
Dzieci konają szlachetnego ojca,
Któregoś oplwał!

Pod promieniem słońca
Straszniejszej zbrodni niema na tej ziemi!
Zbrodnię tę Stwórca sądami strasznemi
Ścigać i chłostać wiecznym ogniem będzie.
Na tchu oszczercy całe piekło siędzie
Dusząc i trzeźwiąc, pilnując starannie,
Aby żyw cierpiał!

O, najświętszej Pannie
Polećmy serca. To w żłóbeczku dziecię
Błagajmy łzami, by oszczercy w świecie
Nigdy źrenica nasza nie widziała,
By mowa nasza nigdy nie skalała
Oszczerstwem duszy.

O Jezu, o Chryste,
Miej w swej opiece nasze serca czyste.

O Dzieciąteczko, Boże utajony,
Panie nad Pany w żłóbeczku złożony
Racz wejrzyć na nas, racz zażegnać ręką
Złe myśli nasze zanim ciężką męką,
Krwią swą odkupisz nasze serca, dusze,
Zanim oszczerstwo poda Ci katusze,
Zanim na krzyżu skonasz w ciężkim bólu...
Racz nas przeżegnać, ziemi, nieba Królu,
O, racz z nas wydrzeć oszczerstwa gadzinę.

O, Matko Boga! w ostatnią godzinę
Zmiłuj się nędznym... racz rządze człowieczą
W kiełku zadeptać... Racz być duszy pieczą.
Matko, Maryo! o Bogarodzico,
Królowo nieba, serc naszych kotwico,
Wysłuchaj prośby, bądź nam w chwili zgonu
Pocieszycielką, Matką u stóp tronu
Boga żywego. O Matko jedyna
Żebrzem Cię przez Krew, przez śmierć Twego Syna.
Nas tylko zbawi Twa święta przyczyna.

Drżałem wzruszony, drżałem przy Ofierze
Świętej mszy Pańskiej i wołałem:
Wierzę,
O, Panie miły, że lud mój jest zbożny,
Skoro Ci śpiewa tak nędzarz, jak możny:

Witaj Jezu Dzieciąteczko,
Witaj Jezu Paniąteczko.

Dlatego i ja, Boże mój prawdziwy,
Groźby porzucam i wołam szczęśliwy:

Kto kołysał dzisiaj Boga
Ze łzą w oku, z wiarą w duszy,
Ten nie zazna co to trwoga,
Bo nieszczęścia jego skruszy
Dzieciąteczko narodzone
Dziś przez niego pozdrowione,
Bo go Ono tak utuli,
Że nie będzie czuł swych bóli,
Bo mu z czoła troski zmaże,
Gdy aniołom śpiewać każe:
Luli dziecię, luli, luli,
Bóg w nieszczęściu cię utuli.

XXXI.

ROKI POD SOLCEM.

Pomiędzy Solcem a Piotrowin wioską,
Nad brzegiem Wisły, na kwiecistej łące
Zasiadł sąd ziemski z drżącą w sercu troską —
Jaką go zwady z dniem każdym rosnące
Pomiędzy Królem, a zacnym biskupem
Na cnym umyśle zdawna napawały —
Z trwogą, że sprawy pomiędzy Jakóbem,
A czcią biskupa wątpliwości miały.

Król sam na czele sądom prezyduje,
Spory rozstrzyga, wyroki wydaje,

A wkońcu przed sąd sprawę wywołuje
Kupna Piotrowin.
Jakób z ławy wstaje,
A biskup słucha:
„Powód, Szczepanowski
Stanisław, dziś nam po Żuli krakowski
Biskup; zrodzony w Szczepanowie, w włości
Tuż obok Bochni, z Wielisława kości
I żony jego Bogny ze Złoto- Go-
Leńczyków, który po matce: Z ostrogą
Złotą goleń, a po ojcu w czerwonem
Tle herb półtora krzyża białego ma,
Który się herb stąd Prusem zwie, iż w onym
Jeszcze czasie z Prus, gdzie wiara wszekoma
Trwała, ojcowie ztamtąd knam przybyli
I pierwsi go u nas za godło nosili,
Oskarżonym jest przezemnie i braci
Zmarłego Piotra rycerza, że ima
Chytrze Piotrowin, na nim się bogaci,
A spadkobiercom oddać się go zżyma.“
Król zapytuje:
Cóż więc Szczepanowski,
Z mej wielkiej łaski biskupie krakowski,
Rzekniesz na skargę?“
„Jam wioskę Piotrowin
Jeszcze za życia Piotra cnotliwego
Do grosza spłacił. Z mylnych chyba nowin,
A podburzeni pokrewni zmarłego
Skargę osnuli. Ja mogę jednakże
Świadków postawić, żem grosz ugodzony
Spłacił rzetelnie, bo podziśdzień wszakże
Żyje brat Piotra, brat jego rodzony,
Który to widział. Niechże więc on stanie

Przed sądem twoim miłościwy Panie,
I zezna prawdę.
Mnie o tę włość marną,
Którąm dla chwały kościoła świętego
Kupił, nie chodzi, lecz o potwarz czarną,
Którą mię w skardze pokrewni zmarłego
Kalą, jakobym chytrze i bezprawnie
Grabił ich mienie. Niechże więc brat stanie,
I przed twym sądem zezna prawdę jawnie.
O to cię proszę, miłościwy Panie".

„Wywołać brata!"
Król Pan rozkazuje.
Więc woźni wkoło jego imię głoszą,
Jednak daremnie. On się nie znajduje
Na sądach ziemskich. Krewni zatem proszą
O wyrok Króla, bowiem twierdzą śmiele,
Że wieś bezprawnie Szczepanowski trzyma,
Która po zmarłym im przypaść w podziele
Słusznie powinna.
I już pisarz ima
Pióro do ręki, by wyrok królewski
W księgi zapisać, gdy wtem Szczepanowski
Prosi o posłuch.
„Miłościwy Panie!
Widzę, że fałszem i brudną podłością
Krewni rycerza są i przysiadz wstanie,
By się rozdzielić moją prawną włością.
Błagam cię zatem, abyś wstrzymał sądy
Do dnia czwartego, w którym dam dowody
Stawiając brata Piotra, by zdarł trądy
Bratankom swoim, aby więcej szkody,

Niż włość ta marna, na duszę nie wzięli,
Składając krzywą przysięgę przed Bogiem".

„Daremna zwłoka — skarżący krzyknęli —
Brat Piotrowiny, będąc naszym wrogiem
Przeciw nam mówić, takoż w każdym względzie
Za Szczepanowskim gardłem świadczyć będzie".

Słuchał Stanisław, by z kamienia kuty
Martwy i zimny. Słuchał onej mowy
Tchnącej oszczerstwem. Słuchał, by przykuty
Język miał w gardle. Słuchał w jakie słowy
Stryja własnego, brata Piotrowiny,
Właśni bratancy grzesząc, spotwarzali...
Słuchał i szeptał:
O niegodne syny
Ojców imienia. Ptak gniazda nie kali,
A, wy?... wszak ludzie... Ciężkie wasze winy!

Poczem rzekł głośno:
„Królu miłościwy!...
A zatem Piotra z snu wiecznego zbudzę,
By był mi świadkiem jako mąż cnotliwy,
I bogobojny. Dozwól zatem słudze
Trzy dni przewłoki".
Na mowę tak śmiałą
Zbledli sędziowie. Król się rozśmiał sprośnie:

„Dobrze biskupie, niech Piotr z płachtą białą
Za świadka stanie, i zezna donośnie
O prawdzie spłaty. Obudź z grobu trupa,
Pragnę go widzieć. Cud... będzie nie mały!...
Sądy zawieszam na prośbę biskupa,

Rozejść się można.“ Wyrzekł Bolko Śmiały
I powstał z ławy.

Powstali sędziowie,
Drżąc całem sercem. Prośba Stanisława
Troską ich ciśnie.

Stanko w raźnem słowie
Za wiele wyrzekł. Z przedwiecznego prawa
Zmarły nie wstanie, więc świadczyć nie może,
Jakoże zatem obroni biskupa?
Śmiałem zbyt słowem, wiekuisty Boże,
Stanko wyrzeknął, że przywiedzie trupa,
A raczej Piotra przed laty zmarłego...
Możesz to spełnić?

Serce drży, truchleje!
Sprawę pogorszy, a Króla gniewnego
Więcej rozjątrzy, życzliwych zachwieje.

Tymczasem biskup Wisłą się przeprawia
Do wsi Piotrowin, i wprost do kościoła
Bożego spieszy, w nim modły odprawia,
Na które liczne duchowieństwo woła.

Trzechdniowe posty o chlebie zczerniałym
Ze łzą przebywa. Całe dnia godziny
Błaga w pokorze, żebrze duchem całym
Boga Wszechstwórcę o nadludzkie czyny.

Gorliwe modły nauką przerywa,
Prawiąc o Bogu. Bożej łaski wzywa,
By nią wzmocniony mógł prostemi słowy
Cud Boży głosić nędznem drżeniem mowy,
Aby tą mową skruszyć ludu ducha,

Aby w tym razie, gdy Stwórca wysłucha,
Naród z nim wspólnie Boga serca drżeniem
Wielbił i kochał, czcił duszy płomieniem.

„Cudu! wołamy, duch piekieł nas kusi.
I my wołamy, bośmy ślepi, głusi.
Ślepi z rozwartą źrenicą chodzimy
Między cudami i nic nie widzimy!
Głusi z cudownem uchem się błąkamy,
A, że słuch cudem... pojęcia nie mamy!

Cudu i cudu!
Cóż ty chcesz człowiecze?
Czyż cię nie dziwi, że od wieków wieku
Słońce ogrzewa nędzne ziemi sprawy?
Że duch się kształci z każdym dniem w człowieku?
Chcesz może, by Bóg dla twojej zabawy
Nadprzyrodzone działał widowiska,
Jak kuglarz jaki, który ci w twarz ciska
Twoją ślepotę?
Czyż cię to nie dziwi:
Że z łoża nocy powstajemy żywi?
Że trawa rośnie? Że zboże dojrzewa?
Że kiedy w rękę weźmiesz listek z drzewa,
To liść do listka, choć w formie podobny
Różni się przecież, bowiem ma osobny
Skład swego lica, że Boża opieka
Z rysu i głosu każdego człowieka
Innym wydała, chociaż z jednej kości?
Że i bliźnięta, choć wspólnie wnętrzności
Ssały swej matki... różnią się w swym składzie,
Bowiem już matka, gdy ich do snu kładzie

Niemowlętami, poznaje różnicę,
Bowiem z nich każde inną ma źrenicę.

Cudu i cudu!
Chcesz, by Bóg dla ciebie
Jaśniejsze słońce zapalił na niebie?
Lub może, aby Bóg, który wszechświatem
Rządząc, rozmawiał z tobą, jak brat z bratem?
By ci powiadał o Swojej wielkości,
Tak, jak ty głosisz o swojej mądrości
Równemu próchnu?
Cud niech nam pokaże,
A uwierzymy, i padniem na twarze!

O, ludu, ludu! tak wołasz zuchwale,
Nie pomnąc na to, i nie wiedząc wcale,
Że to już cudem jest Bożej miłości,
Że cię nie karze za bluźnierstwa złości.

I ja, o Panie, i ja zaślepiony,
Bo płacząc, wołam:
Boże utajony!
Racz cud uczynić!... O cud do Cię wołam!
Wołam o Panie, ile tylko zdołam,
Bowiem mój naród już nie władnie duszą,
Bo piekieł złości z dnia na dzień go kuszą
I w otchłań ciągną.
Ty wiesz wielki Boże
O co Cię żebrzę... Uczyń, gdy być może!
Uczyń, by świetność Twojego kościoła
Ludy olśniła. Uczyń choć Cię woła
Marny proch ziemi.“
Ni nauk, ni prośby

Biskupa Stanka, choć mówi bez groźby
Nikt nie rozumie. Wszelki pyta trwożnie:
O co on błaga Stwórcę tak pobożnie?

Aż dnia czwartego biskup z rzeszą całą
Na cmentarz idzie. Grób odkryć kazuje
Piotra rycerza i trumnę zczerniałą
Na wierzch wydobyć. Proch ziemi całuje
A klęcząc woła:
„Wiekuisty Boże!
Stwórco wszechmocny, błagam Cię w pokorze
Racz mię wysłuchać, i racz me wołanie
Przyjąwszy, rzeknąć:
Niech Piotr z grobu wstanie...

Boże wcielony, Ty, który raczyłeś
Przyjąć na siebie cierpienia ludzkości,
I oną łaską ludy wybawiłeś
Od grzechu świata i szatana złości,
Który zmarłego Łazarza wskrzesiłeś,
Kojąc łzy matki, łzy ciężkiej boleści,
A który rzekłeś, iż dasz więcej temu
Niż sam zdziałałeś, skoro w Imię Twoje
Błagać Cię będzie... O, spełń prośby moje,
I racz, o Panie, Piotrowi zmarłemu,
A już od lat trzech w grobie leżącemu
Powrócić życie, aby skoro ludzie
Prawdę zabyli, on ją im wyświecił;
Aby w tym wielkim, niezmierzonym cudzie
Ponownie kościół łaskami zaświecił,
Aby Twe święte Imię zajaśniało,
I słowo prawdy na ziemię rozlało.“

To rzekłszy, biskup dotknął się zmarłego
Wołając:
„Piotrze! z rozkazu Bożego
Wstań z prochu ziemi! Wstań z prochu rycerzu
I świadcz mej prawdzie, bowiem sąd w obłędzie,
A słowo twoje, słowem prawdy będzie.
Wstań! bo złość ludzka, jako w chytrym zwierzu,
Który swe szpony w żywe serce topi,
W twoich się krewnych żółcią objawiła,
I coraz głębsze nurty kłamstwa żłobi,
I już mą prawdę fałszem zbezcześciła,
A święty kościół błotem obrzuciła.
Wstań!... i świadcz prawdzie".
Piotr z trumny powstaje
I składa ręce i zgina kolana.
Biskup mu dłoń swą z miłością podaje,
I z nim w kościółek przed oblicze Pana
Spieszy, by złożyć Bogu dziękczynienia.

Naród padł na twarz. Cud ten niesłychany
Trwogę w nim nieci, okrzyk przerażenia
Z piersi dobywa... Stoi obłąkany
Jęczy, i woła:
„Umarli powstają!
Sąd ostateczny! Biskup zmarłych budzi!
Za jego słowem trupy z grobów wstają,
A on ich na sąd wiedzie między ludzi...
Piotr zmartwych powstał! Żywy na sąd staje,
By świadczyć prawdzie".
Wieść ta niesłychana
Przed sądem króla gromem nieba staje.
Drżą... drżą sędziowie... Król blednie jak ściana

I sprzeczne z sobą rozkazy wydaje,
A naród wzywa miłosierdzia Pana.

Biskup podtenczas z cmentarza wychodzi
Z pieśnią na ustach z mnogim, wiernym ludem,
Którego przestrach głosem swym łagodzi,
I z Piotrowiną nowym nieba cudem,
Tykając tylko wód Wisły źwierciadła
Na drugą stronę po wierzchu przebywa,
Bowiem takowa w łożysku osiadła,
I jako kryształ, tak leży nie żywa
Martwa i zimna... bieg nurtów wstrzymała,
Na rozkaz Boży do dna skamieniała.

Biskup przed sądem z Piotrowiną staje.
Sąd drży ze strachu. Naród lęku oczy
Wznosząc na Króla — Bóg świadectwo daje —
Woła straszliwie, i przed sąd się tłoczy.

„Piotr z grobu powstał! Wielkie sądy Boże!
Zmarły przed laty, żywy w własnem ciele
Na sądy spieszy... rzucił zimne łoże!“

Król pobladł z trwogi, drży na całem ciele,
A biskup mówi:

„Oto Piotrowinę,
Panie, a Królu, który włość mi sprzedał
Wiodę na świadka, aby ze mnie winę
Zarzutu zmazał, a zarazem nie dał
Krzywdzić kościoła.

Piotrze! z woli Boga
Rozkazuję ci zeznać prawdę śmiało,

Zgnieść nią oszczerstwo ohydnego wroga,
Bo na to dusza twa przywdziała ciało."

Piotr ogniem życia płonące źrenice
Utkwił był w Królu, słuchając biskupa.
Jego wychudłe, jak śnieg blade lice
Martwotą swoją piętnowało trupa
Dawno ze świata do ziemi zeszłego.
Słuchał uważnie, ważył każde słowo
Biskupiej mowy. Naraz usta jego
Groźnie zadrżały... jednak skłonił głową,
Gdy Stanko przestał.
Cisza, gdyby w grobie,
Nikt nie drgnął rzęsą. Piotr spróchniałym włosem
Wstrząsnął, jakoby chciał przypomnieć sobie...
Wspomniał... i począł mówić rzewnym głosem:

„Panie, a Królu! Z woli Boga staję
Tu przed twym sądem w własnej mojej kości,
I tu przed tobą prawdę wręcz wyznaję,
Że do Piotrowin, po ojcach mych włości
Bratańcy moi dziś prawa nie mają,
Oszczerstwem tylko Bogu urągają.
Jam włość mą sprzedał na wieczyste czasy
Szczepanowskiemu, i do groszam z kasy
Biskupiej pieniądz umówiony dostał
Jeszcze za życia. Skargą zatem ową
Biskup krakowski spotwarzony został.
A to dotego, rzeknąć lica płoną,
Namową twoją Królu tej tu ziemi.
Tyś ich podburzył, by cnego biskupa
Przed sąd pozwali. Bóg zgniewan twojemi
Czynami wskrzesił mnie zgniłego trupa,

Bym ci żyw w oczy wyrzucił twe zbrodnie,
Bym ci umarły zdarł z oka ślepotę,
Bym ci powiedział: Królu to niegodnie
Sprosnemi usty kalić świętą cnotę
Pasterza swego".
A po onych słowach
Zwrócił się do swych bratanków powoli,
Mówiąc żałośnie:
„Czyż się w waszych głowach
Rozum przewrócił Piotrze, Sulimanie..
I tobie Kubo!... iżeście dziś kwoli
Rzecz znając dobrze — o Boże, o Panie,
Stwórco niebiosów — duszę w onej sprawie
Swą utopili? Nie wiecie, że zbrodnie
Bóg ogniem ściga?... Rycerza niegodnie
Postąpiliście! Bożą surowością
Smagan będziecie! Duszę swą chytrością
Zagubiliście. Na tamecznym świecie
Za grzech ten ciężki w otchłaniach zginiecie,
Jeźli tu jeszcze, na tej marnej ziemi
Nie przebłagacie Boga łzy gorzkiemi".

Przestał na chwilę, na pierś skłonił głowę,
Poczem do Króla zwrócił swoją mowę.

„A teraz Panie na twój wyrok czekam.
Do was sędziowie z wiarą się uciekam,
Że me świadectwo, czyste jako woda,
Jasne jak w maju złocista pogoda,
Na serca wasze źródłem uderzyło,
I sprawiedliwość w duszy obudziło.
Czekam wyroku, by z nim wraz u progu
Stanąć wieczności, zdać go w ręce Bogu.

Sądźcie sumiennie, pomnąc jednak na to,
Że Bóg mię wskrzesił nie dla marnej włości,
Tej szczypty pyłu ziemskiego, lecz na to,
Aby okazać, że mąż on w miłości,
W łasce u Niego jest, co dziś modłami
Zgniliznę moją powrócił do życia,
Aby wam wspomnieć, że kiedyś z ciałami
Na sąd ostatni przed Bogiem staniemy
I sądzon będziem z grzechu od powicia.
Czekam wyroku, mój język już niemy".

I stanął z okiem w Króla utopionem.
Król milczał długo, milczał z przerażenia,
W końcu jednakże głosem zatrwożonym
Jąkliwie wyrzekł:
„Z prawa i sumienia,
Za głosem Piotra, polecam sądowi
Wieś Piotrowinę przekazać Stankowi".

Po tych przez Króla słowach wyrzeczonych
Piotr się odwrócił, i zwolna z biskupem
Za Wisłę wraca w tłumie nawróconych,
Pozostawiając Króla groźnym trupem
Z okiem zbłąkanem, z twarzą posiniałą,
Samego tylko na polu szerokiem;
Tąż samą drogą z oną rzeszą całą
W kościół Tomasza stąpa cichym krokiem
Przed wielki ołtarz.
Tu biskup cnotliwy
Spytuje Piotra:
„Piotrze sprawiedliwy
Chceszże lat kilka pozostać na ziemi?

Czyli też pragniesz, by ci inna dana
Łaska została od niebiosów Pana?
Rzeknij mi proszę, a ja prośby memi
Wybłagam, modląc".

„O, nie tego życia,
Nie tego, ojcze, cielesnego gnicia
Nad które raczej śmierć przenieść wypada,
Lecz tego pragnę, co wiecznością włada.
O to cię życie całem tchnieniem proszę,
To mi wyjednaj. Do dziś trzy lat znoszę
Męki czyścowe, które mi prośbami,
Twoim westchnieniem o wieki zmniejszone
Naraz zostaną. Błagam cię ze łzami
Proś Stwórcę Pana, by mi odpuszczone
Grzechy zostały".

„Cnotliwy rycerzu
Za duszę twoją w każdym mym pacierzu
Wstawiać się będę".

„Dzięki ci, mój ojcze.
A teraz zezwól niech żywot mój skończę,
Niech zasnę w Panu".
I już w trumnie leży,
Oczy przymyka i ducha oddaje.
Stanisław szepcąc:

„Niechaj w Boga wierzy
Wszech robak ziemi" — nad mogiłą staje,
Trumnę zamyka, ziemią przysypuje,
I krzyż na grobie ze łzami całuje.

XXXII.

ZWYCIĘSTWO.

W cichej komnacie modli się Wszesława,
Królowa Pani, żona Bolesława:

„Boże ratunku! Biskup zmarłych budzi...
Królowi Panu daj upamiętanie,
Niech się nawróci do Ciebie i ludzi.
Zmiłuj się, odwróć swe słuszne karanie.
O, błagać będę na klęczkach ze łzami
Biskupa Stanka, by mu wszelkie złości
Wybaczyć raczył. Twardemi postami
Umartwię ciało".

Te modły Maryja,
Królowa-matka drżąc słucha w skrytości.
Żal jej Wszesławy, bo jej z serca sprzyja.
Zarzuca chustę, i słaba niewiasta
Do króla spieszy... do dziecka własnego.

„Królu, mój synu, ty koronę Piasta
Na łup wydajesz... gubisz syna swego!
Wojnę z kościołem rozpoczęłeś hardo...
Synu upadniesz! Miej litość nad żoną,
Z którą się podziś obchodzisz zbyt twardo,
Litość nad Miećkiem i dziada koroną!
Klnę cię na pamięć ojca, na własnego syna,
Klnę cię na Boga! Porzuć wstrętne życie,

Bo na twą głowę spadnie wszelka wina,
Zgubisz, o synu, sam swe własne dziecię".

Zerwał się Bolko na tę matki mowę
Z posłania swego, na którem wraz z psami
Leżał w zadumie. Schylił kornie głowę,
Lecz słowa nie rzekł.

„Biskup modlitwami
Umarłych, synu, na świadka ci stawia...
Moc jego wielka, jednak serce złote,
Które się tylko tą myślą zakrwawia,
Że ty niebaczny kalasz ojców cnotę,
Depcząc koronę. O, oczyść się z winy...
O, powróć synu na łono rodziny.
Ryksa zbłądziła, za to ją ziemianie
Z kraju wygnali... zbłądziła niewiasta,
A syn jej musiał ponosić karanie:
Z kraju wygnano krew Chrobrego Piasta!...
A za twe zbrodnie, cóż cię czeka Panie?...
Co Miećka twego!... Śmierć!... gorzej... wygnanie!"

Trząsł się Bolesław z gniewu posiniały,
Słuchając matki, usta jego drżały,
Oko mu czarną krwią zemsty nabiegło
I niespokojnie po komnacie biegło.
Matka pobladła, wołając:

„Mój synu!"

„Cicho... o matko!... pamięć przywołałaś...
Ojca wygnanie!... Z haniebnego czynu
Złożą rachunek... Słusznie przypomniałaś,
By pomścić ojca!... O, nadejdzie chwila!...

Idźcie, o matko... duch mój się przesila...
Ja im przypomnę! Krew w obłoki nieba
Tryśnie strumieniem!“
„Nie o pomstę wołam“...

„Idźcie, o matko... uczynię co zdołam...
Uczynię dla was... Czołem wam, matulu!“

Wyszła Maryja westchnąwszy: Mój Królu...
I cicho wraca w Wszesławy świetlice.
Uśmiechem pragnie strapione swe lice
Owiać pogodą, choć cięży ból w duszy.

„Król się nie ugnie... o! on się nie skruszy,
Hardy, jak Chrobry... lecz Chrobry był zbożny,
Chociaż surowy... On! grozą bezbożny...
A przecież syn mój... Ratować potrzeba
Siłę mi dadzą wielkie łaski nieba“.

Tak w duszy myśląc weszła na pokoje,
I cicho zamkła za sobą podwoje.
Biedna Wszesława przed Bogarodzicą
Klęcząc płakała, a smętną źrenicą
Śledząc twarz Matki Ukrzyżowanego,
Swoje jej bóle i syna drogiego
W pieczę zdawała.
Maryja westchnęła,
Krok postąpiła, klęczącą ujęła
W drżące swe dłonie.
„Wszesławo, me życie...
Takaś mi droga, jak on... moje dziecię.
Powstań me serce... oszczędź matce bólu...
Pomyśleć trzeba, należy o Królu“.

Dźwigła się z kolan Wszesława strapiona.
Matka mówiła:
„Chrobrego korona
Czystą być musi. My słabe niewiasty
Cóż podołamy?... Kochać i czcić Piasty,
O, to umiemy... lecz tu rady trzeba...
Radę użyczy tylko łaska nieba.
Rady nam trzeba“.
Wszesława słuchała,
A patrząc w matkę rzęsy ocierała
Drobniutką rączką.
„Matko ma jedyna —
Jękła z boleścią — ratuj mego syna,
O! ratuj Mieczka!“
„Wszesławo kochana
Słuchaj, poprosić każę kapelana,
On nasz przyjaciel, on udzieli rady...
On nieraz ciszył, godził z Królem zwady“.

„O proś go matko!“
Kapelan wezwany,
Ksiądz Benedyktyn, spowiednik Wszesławy
Oraz Maryji, Ottonem wołany,
Spieszy bez zwłoki.
„Stwórca, Pan łaskawy,
Niech chwalon będzie — szepta już na progu,
Złożywszy ręce.
„Po wiek wieków, wieki“.
Odparły obie.
„Chwała, chwała Bogu“.
Westchnął ksiądz Otton.
„Niechaj robak wszelki
Chwali Cię Boże!“ Skończyła Wszesława.

Otton postąpił, a Matka Królowa
Mówić poczęła:
„Ojcze mój, zła sprawa...
Biskup markotny... Król Pan złości chowa,
Grozi Stankowi... Ratuj nas na Boga!
Pokaż nam ojcze, gdzie ratunku droga".

Ksiądz słuchał smutny. Wieścią zatrwożony
Drżał całą duszą.
Ksiądz Otton zgrzybiałym
Był już staruszkiem. Wiekiem przyciśniony
Rozkosz znachodził, chwaląc sercem całem
Boga żywego. Był on przyjacielem
Niegdyś Kaźmierza, jego spowiednikiem,
Teraz Wszesławie jest nauczycielem,
Radą, pomocą... A choć zakonnikiem
Biednym jest Otton wszyscy go szanują,
Bo wszystkich kocha braterską miłością.

Wysłuchał Otton. One oczekują
Słów jego rady z dziecinną ufnością.
Długo staruszek dumał pochylony,
Złożywszy ręce. Ważył rady słowa,
Wreszcie rzekł cicho:
„Stanko blask korony
Ma na swem oku, temu jego słowa
Zbyt ostre nieraz... lecz Panu życzliwy,
Gniewu nie żywi... Gdyby tak do niego
Król Pan się udał..."
„Ottonie cnotliwy —
Przerwała matka — nie uczyni tego,
Nigdy! przenigdy".

„Więc wy Miłościwa
Z Królową Panią“...
Maryja zadrżała.
„Księże, mój ojcze, to rada szczęśliwa...
Wiedź nas do Stanka“.
Wszesława powstała,
I już obydwie ze swym spowiednikiem
Na Skałkę spieszą, gdzie biskup przed złością
Króla się chroni.
Otton przewodnikiem
Idąc pacierze szepta z pobożnością,
A one za nim omijając miasto,
Już są w klasztorze.
Maryja upada
Do nóg biskupa.
„Co pragniesz niewiasto?“ —
Pyta Stanisław — a ta ręce składa:

„Błagam za synem... O! wybacz mu winy“.

„Królowa-matka?!... Wy tu! Miłościwa?...
I wy!... Królowo?“...
„Nie gub mej dzieciny —
Woła Wszesława — matka nieszczęśliwa
Błaga za Mieczkiem. Król się upamięta...
Wybacz mu winy!“
„Matko! Matko święta!
Jam mu wybaczył. Pasterz nigdy złości
W sercu nie żywi. W braterskiej miłości
On gwiazdą moją. O, idźcie w pokoju.
Jam mu wybaczył, oraz Boga proszę,
By mu nie pomniał, oczyścił go z roju
Robactwa grzechu. Ręce w niebo wznoszę,

Żebrząc za niego. Idźcie, idźcie dzieci...
Niechaj wam gwiazda Bożej łaski świeci.
Pokój wam, pokój!“
Przeszły próg powoli,
Drżąc całem sercem. Oj boli, oj boli!

Pod ten czas właśnie, po odejściu matki,
Latał Bolesław wzdłuż i wszerz świetlicy
Jak lew schwytany, który prętów klatki
Nie mogąc złamać, żar ciska z źrenicy,
I paszczą głuszy i zamki i chaty.
Latał szalony, wołał prawie z rykiem:
Klecha zwyciężył!... Darł na ciele szaty,
Tupiąc nogami.
W przedsionkach truchlała
Służba królewska. Nigdy go tak dzikim,
Szalonym w życiu jeszcze nie widziała,
Chociaż go dzieckiem, pacholęciem znała.
Naraz przystanął, targnął drzwi komnaty:

„Wyrzucić z zamku Krystę bezbożnicę!
Het! het! na pola, aby ani szmaty...“

Ryknął by piorun; Krwią mu zbiegło lice...
Drzwi zaciął nogą.
Służba w bok skoczyła,
I w najciemniejsze zakątki się skryła.

XXXIII.

OCALENIE.

Tak, jako była, boso, bez odzieży
Już za wrotami grodu Krysta leży.
Na wałach szydząc przystają dworzanie:

„Krysiu? lubuniu? czort wziął panowanie!“

Był z nimi Zbilut i wytrzyszczał zęby:

„Dziś pachołkowi dałabyś swej gęby,
Byle cię zechciał“.
Wzdrygła się, zerwała,
I po za miasto jak wicher pognała.

„Widzisz ją?... widzisz? — Rzekł Zbilut do ucha
Słudze Watowi. — Pędź z całego ducha,
Obacz, gdzie leci... miej mi ją na oku,
Patrz, gdzie się skryje“.
Było to o zmroku,
Już pod sam wieczór. Pędem wysilona
Upadła Krysta zmysłów pozbawiona
Na środku drogi.
Noc ciemna zaległa.
Na niebie burzą czarna chmura legła,
Świecąc dzikiemi wzdłuż błyskawicami.
Grzmot coraz częściej raził piorunami.
Deszcz lunął z cebra, a wicher tumany

Trąbą obracał, by piekłami gnany,
Chyżej, a chyżej.
Drogą do wsi zmierza
Mały wózeczek, na nim Jakób siedzi,
Bratanek Piotra, zmarłego rycerza,
Siedzi i konia pogania i biedzi
I pacierz szepta.
Za wózkiem skurczony
Przysiadł się, na wskróś nitki przemoczony
Sługa Jastrzębca i szuka źrenicą
Krystę w noc ciemną.
Naraz błyskawicą
Ognistej żmii, niebo wzrok raziło
I czarną drogę jasno oświeciło.
Koń parsknął z trwogi, tylne ściągnął nogi.
Jakób w tej chwili zoczył pośród drogi
Ciało leżące. Zsiadł, aby zobaczyć
Co to takiego.
„A to, co ma znaczyć?“
Mruknął pod nosem za wozem siedzący
Wacek skurczony i jak kot śledzący
Błysnął oczyma.
„Kobieta zemdlona —
Wyszeptał Jakób — ciężko pokrwawiona...
Zda się nieżywa. Piorunem zabita,
A, może tylko przez łotrów pobita.
Wezmę do chaty... opatrzy ją żona,
Przecież na wózku, gdy żyje, nie skona
„Krysta“. Mruknął służalec wysłany.

Jakób omdlałej chustą związał rany,
Na wózek włożył, a zaciąwszy konia
Krótszemi drogi skręcił wprost przez błonia

Do starej chaty, do pradziadów domu.
Wat w tyle wózka przysiadł pokryjomu.

Inny to człowiek zrobił się z Jakóba
Od czasu sądów o wieś Piotrowinę.
Owa na złoto rządza sercu luba,
Chciwość majątku uznana za winę,
Zgasła na wieki. Ciężkie duszy rany
Łzami obmywał. Dobył zakopany
Skarb nieboszczyka, i między sieroty
Hojnie rozdawał. Miłość świętej cnoty
W sercu zabłysła i pokój rozlała
W chacie zgrzybiałej. Dusza szczęściem drżała,
I że na łono Boga i ludzkości
Wróciwszy skarbi kwiat wiecznej miłości.

Jakób był jeździł właśnie do Krakowa,
By Stanka żebrać o pociechy słowa
W ciężkim swym grzechu, by go błagać łzami,
By mu wybaczył własnemi ustami
Krzywdzącą skargę — gdy właśnie Krystynę
Wracając, znaszedł.
„Przywiózłem dziewczynę,
A może panią — zsiadając powoli
Rzekł do swej żony — w ciężkiej biedna doli...
Zda się już martwa. Leży bez pamięci...
Nie znać w niej życia“.
„O, wy wszyscy Święci! —
Jęknęła żona. — Ratujmy, o Boże!“

I wraz Krystynę zniesiono na łoże.
Wat z poza węgła mruknął: Do widzenia...
I zniknął, szydząc pośród nocy cienia.

„Ładna to pani — rzecze Jakóbowa —
Patrzaj! rozbita, skaleczona głowa.
Krew ją ubiega. Co za cudne kosy?
Patrzno Jakóbie! co za krucze włosy?...
Perły na szyi!... O, wielce to można
Pani być musi. To ręka bezbożna,
Chciwa zapewnie na mienie i złoto,
Odarłszy odzież zamordować chciała.
O, człeku chciwy! na to marne błoto...
Patrz! nawet ciżmy ściągnęli jej z ciała!...
Patrz, jak biedaczce leci na pierś głowa".

Tak w głos zawodząc żona Jakóbowa,
Leciuchno ręką krew zmywała z czoła
Biednej niebodze. Poczem wonne zioła
Ledwie, że letnie w usta jej wpuszczała
Kroplę za kroplą.

Krysta wznak leżała
Bez znaku życia.
Lekarstwo powoli
Skutek przyniosło w opłakanej doli,
Bo chora oczy wpół błędne rozwarła,
I drżącą dłonią zimny pot otarła
Z czoła i z skroni.
Jakóba zajrzała
I żonę jego. Nigdy ich nie znała...
Zkąd oni?... i tu?... na królewskim grodzie?...
Myśląc szeptała: Król czeka w ogrodzie,
A ja, tu! jeszcze.. krzykła, powstać chciała,
Lecz w łoże padła i drżąc bełkotała
Zrazu powoli niewyraźne słowa,
Ledwie słyszalne, bo głosu połowa

W piersiach toneła. Potem urywkowo
Głośno wołała:
„Wyparzył!... królową...
Mścisław... żelazo! — Potem bez ładu —
Wszystko wyrzucić!... ani pyłu, śladu!...
Tak biskup kazał... Precz z oczów Jastrzębie!...
Dziki był, dziki!... zażarło się w dębie...
Nikt nas nie słyszy... Precz! precz wyuzdany!
Precz rozpustniku! bo na Boga rany"..,

I z łoża bólu nagle się zerwała,
Wzniosła dłoń w górę, zda się bronić chciała,
Bo ogniem żaru błysła jej źrenica.

„Wąż! ratujcie... wąż! ogień!... błyskawica"...
A potem krzykła:

Gdzie mój! gdzie mój mąż?
Niechaj mię ratuje,
Bo już opasuje

Ciało grzechu wąż!
Zedrzyjcie go z ciała,
Bo już ustmi biała
Bije piana wciąż!"

Jękła i ręce w niebo załamała
I wznak upadła, i znów bełkotała
Ledwie słyszalne, niewyraźne słowa:

„Macierz... Król... Biskup... Kochanka... Królowa".

Tak zeszła północ. Tak zabłysło rano.
Nic polepszenia. Już rady nie miano.

Chora w gorączce, to raz uciekała,
To znowu martwa bez czucia leżała.
Wstrzymywał Jakób, żona okrywała
I przy jej łożu całą noc czuwała.

Ciekawy Wacek już o samym świcie
Wszedł na podwórze i podglądał skrycie.
Słyszał Krystynę mówiącą, lecz chorą,
Wszelako mruknął: Przyjdę inną porą
Po cię ma rybko — i wraz do Krakowa
Z wieścią powrócił:
„Żona Jakóbowa
Przyjęła Krystę".
„Dobrze, dobrze Wacie —
Odparł mu Zbilut — lecz teraz mi w chacie
Pilnuj Krystyny... A, ten worek złota
Znaczy: że milczeć! nad cnotami, cnota!"

XXXIV.

UPROWADZENIE.

Zbilut Jastrzębiec niepochamowaną
Żądzą ku Kryście pałał już od chwili
Bycia w jej domu, w którym ubóstwioną
Widział przez męża.
Zazdrościł, że żyli
Szczęśni miłością.

Krysty czarne oko,
To oko duszą utkwione w Mścisława,
We dnie i w nocy rozwarte szeroko...
To oko czarne, ta jego oprawa
Kruczemi rzęsy w nocy go ścigała,
Budząc z łożyska.

Zrywał się, klął siebie...
Lecz i na jawie ta rzęsa mrugała
Tak tu w świetlicy, jako i po niebie,
W borach i lasach. Ta rzęsa się śmiała
Pełną rozkoszą.

Kusił Bolesława,
By Krystę wykradł:

„Rycerska zabawa —
Szeptał co chwilę — porwać białogłowę...
Uciecha będzie! Stanko straci głowę;
My się uśmiejem.

Dopiął swego celu.
Król uwiózł Krystę, a on wpośród wielu
Dworaków pańskich Krystę ściga okiem
Na każdym kroku. Miłość, by potokiem
Z ust jego płynie... lecz Krysta nie słucha.
A zatem Zbilut podburza biskupa...
Męża jej wiedzie, a z niego półtrupa,
Raczej kalekę uczyniwszy rzuca
Za bramy grodu i dalej zakłóca
Spokój oszczerstwem o wieś Piotrowinę.
Biskup zwycięża... Król uznaje winę...
Krystę wypędza.

Dopiął zatem swego!
Krysta nie wróci do męża ślepego.
On teraz panem.

„Ja posiadać muszę —
Szepta zwycięzko — bym miał stracić duszę!“

A więc jak kazał, tak też Wat pilnował
Krystę w zagrodzie, za węgieł się chował
Zważajac pilnie co się w chacie dzieje.
Tak podglądając, widzi, jak się śmieje
Zdrowie Krystynie, widzi i skąpego
Sknerę Jakóba... pokutującego.
Widzi z nim chorą klęczącą ze łzami,
Cichą, spokojną, jak usty drżącemi
Boga snać błaga:
„Nad mymi grzechami
Litość miej Panie“.
Widzi ją na ziemi
W prochu leżącą. Widzi... i z wieściami
Bieży do pana.
„Własnemi oczami
Widziałem zdrową. Klęczy z Jakóbami
I woła:
„Panie zmiłuj się nad nami!“

Słyszałem nawet, jak się modli Bogu,
Klęcząc w pokorze u drzwi chaty progu:

„Zbudź się ma duszo i modlitwą pilnie
Wznoś się do Boga. O, módl się usilnie,
By serce w piersiach Bożym tchem ożyło
I cną miłością Ojczyzny zabiło,
Nim słońce zapadnie,
Nadzieja przepadnie,

Żebrzące oczy z pokorą do góry
Podnieść ma duszo ponad gniewu chmury,

I łzą gorącą proś niebiosów Pana,
By się Ojczyźnie zabliźniła rana,
By gwiazda miłości
Świeciła w jasności.

Skrzydłem modlitwy ponad gwiazdy świata
Wzbij się o duszo, tą miłością brata,
Która tyranom broń z ręki wydziera,
A drzwi wolności na oścież otwiera
I zmusza korony
Bić hołdu pokłony!

Módl się ma duszo, jak Chrystus w ogrojcu,
Poleć się Bogu, Boga twego Ojcu,
Spełń aże do dna kielich ci zesłany
Słusznej niedoli, a naówczas rany
Bóg ci sam zagoi
Miłością napoi".

Przerwał i milczał... bowiem był zrozumiał
To, co sam przed tym ni pojął, ni umiał.
Poczem rzekł nagle:
„Już się zdrowo trzyma.
Zdrową, jest, mówię".
Zbilut oszczep ima...
Konia dosiada, i już razem z Watem
Kryjomo, skrycie przed ludźmi i światem
Pędzi w noc ciemną. Przypada do włości
I:
„Wacie, słuchaj! ciebie ostrożności
Uczyć nie trzeba. Ja stanę u słupa
I czekać będę... Jakóba chałupa
Stare już pruchno... niechaj mi przyświeci...

Podpal więc strzechę... Jakób nie ma dzieci,
To przeboleje".
I już łuna bije...
Z chaty ucieka kto w niej tylko żyje,
Ratując siebie. Z Jakóbem wypada
Krysta nadobna, jako chusta blada:

„Ratujcie macierz!... W płomieniach została!
Ratujcie macierz!"
Ręce załamała.
Jakób wskazuje... Wtem Zbilut przypada,
Porywa Krystę omdlałą na konia,
I jako wicher pędzi z nią przez błonia.

Chata gorzeje... Jakóbowa kona...
Jakób ją ciśnie jęczącą do łona.

„Bóg mię ukarał za krzywoprzysięstwo...
W skrusze odniosę nad piekłem zwycięstwo".

XXXV.

NAGRODA.

Powrócił Zbilut z Watem po północy,
Mając już Krystę, jak pragnął w swej mocy,
Lecz nie chciał w słudze posiadać wspólnika.

Przez łeb mu błysła myśl piekielnie dzika.
Rozśmiał się chytrze:

„Mógłby się wygadać,
Albo Stankowi kiedy wyspowiadać.
Lichoby było. Biskup nie żartuje,
A Szczodry Bolko za grzechy żałuje,
Łeb mógłby upaść“.

Skoro więc Krystynę,
Omdlałą jeszcze ułożył w świetlicy,
Posyła Wacka do lochu piwnicy
Po gąsior miodu, i za nim w cichości
Z okiem iskrzącem wśród nocnej ciemności,
Jak kot na palcach wsuwa się znienacka,
I jako tygrys rzuca się na Wacka,
Za gardło chwyta i o ziemię ciska,
Gniecie kolanem i żelazem błyska.
Broni się Wacek, po ziemi się tala...
Zwyciężon jednak wraz z ślepiem wywala
Język charkając... Zbilut go kleszczami
Tnie tuż u gardła.

„Nigdy z pachołkami
Żadnych tajemnic, jako żyw nie dzielę.
Ty mógłbyś zdradzić... Tyś widział za wiele,
Mógłbyś mię zgubić. Mógłby być za długi
Język w twem gardle, mógłbyś się wygadać,
Albo przed Stankiem kiedy wyspowiadać,
Lepiej więc... zatem!... A to, za usługi —
Rzekł Zbilut kiesę rzucając Watowi —
Złoto za język. Nie pójdziesz dziadami...
Nie rzekniesz słowa, — nie wydasz Stankowi...
Tak trzeba było. Nie pójdziesz z torbami“.

Nie wiele słyszał, krwią własną zalany,
Nieszczęsny Wacek, mniej jeszcze rozumiał
Z mowy Jastrzębca, bowiem świeże rany
Umysł tępiły. Nic pojąć nie umiał
Co się z nim działo. Jęczał w swej boleści,
Cicho stękając.

„I nie dasz i wieści,
Choć i żyw będziesz. Tak potrzeba było,
By się przed Stankiem i Królem ukryło.
Złoto za język. Nie pójdziesz z torbami.
A teraz ruszaj i każ się zielami
Babom kurować. Za złoto opiekę
Znajdziesz u ludzi.“

To rzekłszy kalekę
W lochu porzuca i pędzi z pośpiechem,
Z drżącemi wargi, z szatańskim uśmiechem
W świetlicę Krysty.

Wpada... drzwi otwiera...
Zacina klamkę... i... w próżnię spoziera!
Krystyny nie ma... nie ma po niej cienia,
Nawet strzępeczka z Krystyny odzienia.
Uciekła... lecz jak? Uciekła bez wieści...
Jastrzębiec stoi i zaciska pięści.

XXXVI.

RATUNEK.

Biegnąc za Watem Zbilut do piwnicy,
Omdlałą Krystę zostawił w świetlicy,
Lecz wybiegając, tak zatrzasnął drzwiami,
Że w całym domu zatrzęsło oknami.
Stara służąca zerwała się z ławy,
A zakasane spuściwszy rękawy
Biegła w świetlicę.
„Wielkie sądy Boże!
Jeździł w noc z Watem... Zbrodnia jakaś może.
Drzwi zaparł domu, zasunął podpory,
A teraz pędzi na łeb do obory...
Zobaczyć trzeba... ratować w potrzebie.
Wszystkiemu zdolny".
Tak mówiąc do siebie
Sługa Zbiluta, staruszka Maryna,
Drzwi otworzyła, gdzie biedna Krystyna
W omdleniu była. Podchodzi w cichości,
Patrzy, nie wierzy i drży ze żałości.

„Żona Mścisława!... Pani miłościwa...
Tak, tak... to ona... Boże mój, nieżywa".

Cuci, naciera, lica wodą kropi,
I z niespokojem oko w Kryście topi.

„Pani, pannusiu! taż to ja, Maryna!

Zbudźcie się przecie. W imię Ojca, Syna...
Co się wam stało?„ Może już umiera...
Może umarła".
I skronie naciera,
Głowę podnosi, obraca dokoła,
A pełna trwogi lamentując woła:
„Co wam się stało? pani z Bużenina...
Podnieście oczy!"
Zbudzona Krystyna
Wolno powieki cierpiące podnosi
I: „Boże, Boże" — słabym głosem prosi.

„Zbierajcie myśli... co wy tu robicie?"

„Jastrzębiec Zbilut godzi na me życie,
Na moją duszę. Mimo mojej woli
Uwiózł mię z sobą. Zlitujcie się doli,
Ratujcie biedną".
I padła ze łzami
Do stóp Maryny.
„Zmiłuj się nad nami
Święty Wojciechu! Pani ma, nie proście!
To ja, Maryna, ta która przed laty
Nogę złamała na spróchniałym moście...
Którąście pani przyjęli do chaty
Litością zdjęci. Jastrzęb was od matki?
Od męża pana? z cichej dziadów chatki
Porwał zbrodniczo... używszy oręża?"

„O nie, Maryno, nie on mię od męża...
Nie on... o, nie on! Mąż ślepiec, kaleka!
Ja nieszczęśliwa. Czarna noc powleka

Na wieki jego pogodne źrenice...
I moje, patrzcie, już zwiędniało lice
Skruchą za grzechy. Jastrzęb mi katusze
Nowe gotuje, chce zgubić mą duszę,
Gdym już przejrzała. Ratuj mię Maryno,
Nim resztki cnoty w plugastwie zaginą.
Ratuj na Boga!“

„O mój Jezu miły!
Uciec? lecz dokąd?... Was opadły siły.
Nie podołacie... a on nas dogoni.
Ratuj nas Panie, ratuj z ciężkiej toni!
Wiem już — krzyknęła — wiem, wiem już schronienie,
Uchodźmy żywo“.

Wypadły na sienie.
Czas był już wielki, bo właśnie w tej chwili
Zbilut powracał. Maryna się chyli,
Krysta przy ścianie oddech zatrzymuje...
Ciemność je kryje. Zbilut przelatuje
Tuż obok drżących, wpada do świetlicy...
One się chyłkiem kryją do piwnicy.

Tu jeszcze Wacek wił się bez pamięci,
Zgrzytał zębami i zaciskał pięści.
Siadły skurczone i jęku słuchały,
Tuląc się wzajem. Starej ręce drżały,
Szepnęła z grozą:

„To Wacek zawodzi...
Co się mu stało? We własnej krwi brodzi —
Wszystko przepadło, o Najświętszy Boże!
To sługa jego, on nas zdradzić może,
Co począć teraz?!“

Jękła, płacząc głucho.

Wacek wytężył mimo bólu ucho...
I poznał starą. Już się rozwidniało...
Podniósł się z jękiem, wyprostował ciało,
Spojrzał... wzrok jego zabłysnął z radości.

„Wacie! ty zdradzisz! O Boże litości...
Już przed Zbilutem nic nas nie zachowa".

Wstrząśnięciem głowy zaprzeczył niemowa.

„Co ci się stało?"
Wat wskazał palcami,
Że mu Jastrzębiec wytargał kleszczami
Język, by milczał. Stara zrozumiała.
Krysta ze strachu, jak osika drżała.

„Tuśmy bezpieczne. Ratuj! ratuj Wacie"...

Wtem zadudniało. Drzwi jęknęły w chacie.
Wypadł Jastrzębiec z wściekłością w źrenicy.
Wat wylazł z lochu przed bramę piwnicy.
„Uciekła Krysta!... w którą uszła stronę?
Tyś widział Wacie?... mów!... bo z gniewu płonę!"

Wat rozwarł usta, krew buchnęła z jamy...

„Pokaż więc ręką!"
Wat wskazał loch bramy.
Jastrzębiec zaklął, aż się wstrzęsły mury,
I wypadł wściekły. Wat wzniósł pięść do góry.

XXXVII.

NIEMOWA.

Jak długo Wacek w lochu z zemstą siedział,
Gojąc swą ranę, nikt nigdy nie wiedział.
Znalazł się wreszcie na gościnnym chlebie
U stołu Stanka, gdzie każdy w potrzebie
Znachodził zawsze okrom ziemskiej strawy
Posiłek duszy i wyraz łaskawy.
Każdą mu razą gorzkie łzy w źrenicy
Błyszczały z prośbą, zwłaszcza, gdy w świetlicy
U stołu biednych biskupa zajrzały,
Bo mimo woli usta się składały
Do jakiejś prośby, lecz tylko charkanie,
I niewyraźne z jękiem bełkotanie,
Zamiast tej prośby z piersi wychodziło,
I ucho sobą niemile raziło.

„Biedny niemowa. Kalectwo, nieszczęście".
Żałował biskup. Wat podnosił pięście,
Grożąc straszliwie.
„Co tobie człowiecze?
Komu ty grozisz? Niech cię Bóg w opiece,
I w łasce świętej wspierając, zachowa".

Usta otwiera nieszczęsny niemowa,
I biskupowi wskazuje migami,
Że mu ze złości ucięto kleszczami
Język w gardzieli.

„Kto? kiedy? i za co?
Spytuje biskup. Całych giestów pracą
Chce Wat wyrazić: Pożar Jakóbowej
Chaty, którą to z woli Jastrzębowej
W nocy podpalił; porwanie Krystyny,
Oraz wyrazić z jakiej mu przyczyny
Język ucięto. Wskazuje milczenie
Przez rąk obydwóch na ust położenie,
Które zaciska z całej ciała siły,
Tak, że mu na skroń krwią zbiegają żyły.
To okazując złoto w garście suje,
A pięścią grożąc na palcach rachuje
Dzień swojej zemsty.
„Człecze, co to znaczy?
Pojąć nie mogę".
Niemowa w rozpaczy
Palcem na gardle żezanie wskazuje...

„Ty?... zabić!"
Tak, tak! groźnie potakuje,
Trzęsąc Wat głową.
„Bój Boga! bój Boga!
Idź precz! idź precz... idź!... niech tu twoja noga
Z oną ohydą więcej nie postanie,
Tu, na mym progu. Ty Bogu karanie
Pozostaw człecze. Tyś spalił! gdzie? kogo?
Nie wiem... tyś zbrodniarz... tyś zawinił srogo,
I jeszcze serce twoje zemstą płonie?!
Twa dusza człecze w ogniu piekieł tonie.
Idź precz! idź precz... idź! obmyj grzechy w skrusze,
Ratuj człowiecze opłakaną duszę.
Ukorz się Bogu, błagaj w prochu łzami
Stwórcy Wszechświata drżącemi ustami,

Żebraj litości, grzechów rozwiązania,
Bo już twą duszę czarna noc pochłania".

Tak codzień biskup karcił i łagodził
Zemstę niemowy. Wat korny odchodził.
Cichła zawziętość. Łzy zbudziły ducha,
I serce Wata owładnęła skrucha.
Klęczał łez pełen na progu kościoła,
Bijąc się w piersi, nie śmiał podnieść czoła
W niebo gwiaździste.
„O, Matko jedyna! —
Modlił się w duszy — wielka moja wina".

XXXVIII.

POKUTUJĄCA.

W progu świątyni z krwawą łzą grzesznica
Klęczy i szepta pokornie pacierze:
Ojcze nasz; Zdrowaś; W Boga Ojca wierzę...
Przy słowie: grzechów... dłonią kryje lica,
W piersi się bije: grzechów odpuszczenie...
O racz... o Panie... zgłuszyć me sumienie.

Cierpienie łzami wryło się na twarzy.
Za próg świątyni stąpić się nie waży.
Klęczy w przedsionku.

Stare, nędzne szmaty
Całą jej suknią. Kraj biskupiej szaty
Kornie całuje pokryjomu, skrycie.
Biskup łagodzi:
„Pokój ci me dziecię“.
Zna on grzesznicę... Łza mu błyszczy w oku.

„Nie mam go, nie mam! chociaż w łzach potoku
Zmywam me grzechy“.
„Miłosierdzie Boże
O, głębsze, dziecię, niż bezdenne morze!
Najcięższe grzechy z duszy skrucha myje,
Jeżeli serce łzą wiary zabije.
I twoje grzechy Bóg pełen miłości,
Wybaczy Krysto, gdy pełna żałości
Błagać go będziesz. Srogoś zawiniła:
Siebieś, rodzinę i Króla zhańbiła.
Wielkie twe grzechy! Jednak miej nadzieję,
Że twą pokutą promień ci zadnieje,
Spuści ci światło, grzechów rozwiązanie,
Złagodzi ciężkie, a słuszne karanie“.

„Nie mam nadziei. Tam w chacie mąż jęczy...
Ślepiec... z mej winy. W boleściach się męczy
Duszy i ciała, i skonać nie może!
Ciężkiem mu, krwawe zgotowała łoże,
Ja, żona jego! Tam macierz zbolała
Klnie moją duszę. Ciężkich grzechów ciała
Już nie obmyję“.
„Ufności... ufności!
Ja żebrać będę Wszechstwórcy miłości
Za tobą dziecię. Mścisław ci wybaczy,
A Bóg twą szczerą skruchę przyjąć raczy.

Ja błagać będę. Więcej jest radości
Z zbłąkanej owcy, gdy pełna żałości
Cnotę ukocha, tam! w niebie u Pana,
A niż z stu wiernych. Padnij na kolana,
Wołaj ze łzami: Wielka moja wina...
Srogom zgrzeszyła... o Boże... Krystyna
Żebrze litości... o racz, o mój Panie
Zdjąć z duszy straszne, a słuszne karanie".

Tak codzień biskup ciszy pokutnicę,
Ona pokornie łzami zlane lice
Ku ziemi kryje i biskupa stopy
Kornie całuje. Ciężkiej łez żałoby
Nie składa z duszy. Z grodowej kaplicy
Z brzaskiem jutrzenki, z modlitwą w źrenicy,
Z skruszonem sercem już na Skałkę spieszy
Przed ołtarz Boży, gdzie ją biskup ciszy:
„Pokój ci, pokój".
Nikt nie zna jej twarzy,
Nikt łez jej skruchy, choć u stóp ołtarzy
Codziennie klęczy, wołając:
„O Boże,
Twe miłosierdzie głębokie jak morze...
Wybacz mi, przepuść!"
„Pokój ci me dziecię —
Biskup pociesza — nędzne twoje życie".

Koniec księgi pierwszej.

KSIĘGA DRUGA.

Świetność i upadek.

I.

NA RUŚ.

Król poruszony zmartwychwstania cudem
Uznaje wielkość Twórcy Wszechmocnego,
I na kolanach wraz z cnotliwym ludem
Korzy się Bogu. Z grzechu śmiertelnego
Duszę oczyszcza. Przybłędów wypędza
Na świat szeroki, na rozstajne drogi,
Wzywa do siebie spowiednika księdza,
I z nim pokornie Zbawiciela nogi
Płacząc, całuje.

Słysząc to żarliwy
Biskup Stanisław, tak nawróconemu
Winy wybacza, a jako mąż tkliwy
Cieszy się w sercu, i Bogu Wiecznemu
Dzięki zanosi, że owcę zbłąkaną
Powrócić raczył na łez skruchy drogę,
Pokuty świętej. Duszą nieskalaną
Woła do Pana: Ile tylko mogę,
Wielbić Cię pragnę!

Przez Króla wezwany
Ksiądz ojciec Otton pospiesza z radością

W progi królewskie goić słowem rany,
Cieszyć modlitwą, spokoić miłością
Serce i duszę zbolałego Króla,
Spieszy, by rzeknąć:
„Bóg, Stwórca wszechświata,
Winy wybacza, do łona przytula,
Gdy człek swe nędzne, marne ziemskie lata
W skrusze chce przeżyć, gdy dusza żałuje,
Gdy serce płacząc uznaje z żałością
Ciężkie swe winy".
Wszyscy się dziwują,
Że Król go wezwał, że go z pobożnością
Słuchając, mówi:
„Duszę moją trują
Grzechy me ciężkie. Ojcze mój jedyny...
Mścisławam shańbił... Stanko rozgniewany...
Bóg mię opuści zanim zdołam winy
Zmyć z mojej duszy... Ojcze mój kochany,
Ciesz mię w strapieniu".
„Pan Bóg litościwy —
Prawi ksiądz Otton. — Skruchy i ufności
Królu, mój Panie. Stanko wam życzliwy...
O wasze dobro pełen żarliwości
Za was o Panie ręce w niebo wznosi,
I z kazalnicy, słuchajcie jak głosi:

„Nauczycielu? — zapytują żydzi
Chrystusa Pana — Bóg sam krzywdę widzi...
Nie dość, że jęczym w sromotnej niewoli,
Jeszcze pogłowne każą płacić z roli?!
Mamyż uiszczać?... Powiedz, bo nie wiemy,
A zwłaszcza w chwili, gdy świątynię chcemy
Odnowić Bogu".

Pytają, bo Boga
Wydać chcą w ręce gniotącego wroga,
Skarżyć Go jako kraju buntownika
I wichrzyciela.
Chrystus ich przenika,
I rzecze:
„Wszelka władza na tej ziemi
Z Boga jest".
„W srogiej niewoli gnijemy —
Wołają żydzi. — Obcemu królowi...
Zwłaszcza pytamy, czy poganinowi
Podatek składać i uiszczać mamy?...
Rzeknij nam słowo, a drachmy nie damy".

„Okażcież pieniądz w którym to winniście
Składać pogłowne".
I Panu nad Pany
Podano srebrnik. Spojrzał, i:
„Zaiście —
Rzekł — obraz widzę, jednak zapytany,
Pytam: Czyj obraz?"
„Cesarza Rzymkiego!"

„A więc, oddajcież Bogu, co Boskiego,
A cesarzowi, co jest cesarskiego".

A rozkazawszy świętemu Piotrowi
Wydobyć z rzeki rybę pluskającą,
Wypról z niej srebrnik... i dał celnikowi,
Który nań czyhał z tłuszczą pytającą,
Aby go pojmać.
„I ja grosz mój daję —
Rzekł Pan niebiosów — sam przykładem staję!

Szanujcież i wy z prawa odwiecznego:
Prawa władz ziemskich z rozkazu Bożego...
Co Bóg daj. Amen.“

Mową wysilony
Przestał staruszek. Król słowem wzruszony
Otarł łzę dłonią.

Myśląc chwilę długą,
Szepnął ksiądz Otton:

„Boże, jam Twym sługą,
I wasz, o Królu. Wybaczcie starcowi...
Kochajcie Boga... Złości ku Stankowi
Wydrzyjcie z serca.

Rzekłem był kazanie,
By was pocieszyć, rzec, jak Stanko Panie.
Czcić was kazuje, głosząc słowo Boże,
Które jest wieczne.

Zginie ziemia, morze,
Bóg istnieć będzie.

Czcijcie Pana swego,
Woła Stanisław, z rozkazu Bożego!
Król Pan wasz ojciec! A, gdy poganina,
Cesarza w Rzymie Chrystus czcić kazuje,
To niech z nas każdy swe kolano zgina
Przed krwią swych ojców, niech stopy całuje
Panu z krwi swojej.

Rzeknąć jeszcze muszę,
Że ma on pieczę i o waszą duszę,
Albowiem woła:

Módlmy się za Pana,
A jego duszy zabliźni się rana,
Bóg mu wybaczy“.

Wtem rozgłos nadchodzi,

Że Kijów rokosz ponownie podnosi,
Że się buntuje, że i Wszewołd godzi
Na cześć królewską.
I przybył i prosi
Zasław o pomoc:
„Z ziemi mię wyparli
Bracia rodzeni, zuchwale wydarli
Gród mój Kijowski. Królu z winnym hołdem
Żebrzę twej pieczy. Swatosław z Wszewołdem,
Kniazie Czerniowcy, zaledwie powieki
Zamknął nasz ojciec, nieszczęście na wieki
Na tej tu ziemi, wraz zbrojno natarli
I mnie mój Kijów przemocą wydarli,
Depcząc nogami ojca Jarosława
Ostatnią wolę. Z testamentu prawa
Kijów mem mieniem i moją własnością!
Oni go grabią potyrając kością,
Popiołem ojca, oraz wolą jego.
Bóg już ukarał śmiercią wyrodnego...
Umarł Swatosław na grodzie w Kijowie.
Wszewołd jednakże i jego synowie
Na mojej ziemi urągają tobie
Panie, a Królu i lżą ojca w grobie.
Na klęczkach wołam, Panie! twej litości...
Twej wzywam łaski, twej sprawiedliwości!“

I ukląkł Zasław, i dłonie podnosi
I kornie błaga, i ze łzami prosi
O pomoc Króla.
Słuchał Król Zasława
Z wielką uwagą, wreszcie rzekł:
„To sprawa
Czysta i słuszna. Jak ojciec rozrządził,

To to tak być musi. Jam nigdy nie sądził,
By się synowie rozkazom rodzica
Sprzeciwiać mogli.
Rozjaśń blade lica
Drogi Zasławie... Rękę ci podaję
I z całem wojskiem w twej obronie staję.
Bóg mi pomoże.
Wduch rozesłać wici..
Nichaj już Zbilut, jak wrzeciono nici
Targając zwija, i on tak się zwija
Z grodu do grodu... lecz! niech mi nie mija
Najmniejszej chaty. Niechaj! już mi leci
Wzywać ziemiany, wzywać moje dzieci...
Niechaj już spieszy! niech chwili nie traci,
I na Ruś prosi ukochanych braci".

Zaledwie tylko Król objawił wolę,
A już Jastrzębcy u Wisły na dole
Łamią wiklinę śmigłą i wysoką
Tak, by ją wszelkie zobaczyło oko
Zaraz poznawszy, że nią Król Pan wzywa
Ziemian na wojnę.
I zanim proszący
O pomoc Zasław, mógł Panu kolana
Ścisnąć, dziękując, a już pęk wikliny
Na stole leży na rozkazy Pana.
Kanclerz już sznurek do każdej habiny
Wiąże u góry, i na końcach jego
Pieczęć królewską starannie wytłacza.
Habina gnąc się do stóp Pana swego
Zdaje się mówić:
Wiem ja co oznacza
Pieczęć twa Królu.

Już wici gotowe.
Król powstał z tronu i ujął prawicą
Jedną z nich, i rzekł:
„Pędź Zbilut na głowę
Prosto wzdłuż drogą, pędź mi błyskawicą
Z chaty do chaty i wzywaj ziemiany
Na Ruś po chwałę polskiego oręża.
Tu masz me wici, które wszech poddany
W prawo i w lewo, znając godność męża,
Oraz cześć berła, dalej braciom poda.
Spiesz się Zbilucie, pędź mi bez wytchnienia...
Niech wici moje najmniejsza zagroda
W dal, w dal, daleko, szeroko roznosi...
Niech wić ziemianów tak, jak Wisły woda
Płynie wzdłuż krajem, ona na Ruś prosi".

II.

ODWIEDZINY.

Jastrzębiec z braćmi przez miasta i sioła,
By zapożyczył lotek od sokoła
Pędzi dniem, nocą i roznosi wkoło
Rozkaz królewski, i na Ruś wesoło
Ziemian zaprasza.
Chętnie go witają
I w progi domu z braćmi zapraszają.

On za gościnność dziękuje serdecznie,
Prawiąc, że chatę będzie pomniał wiecznie,
Lecz spieszyć musi, bo skarb to czas drogi,
A on nie przebył jeszcze całej drogi,
Więc bez wytchnienia dalej spieszyć musi,
Że się zobaczą przypomną na Rusi.

Konie kurzawą, pyłem osłonione
Pędzą, by z procy w powietrze rzucone,
Kopytem ziemi prawie nie tykają,
Nawet odgłosu tententu nie dają.
Tu o jutrzence. tam o samem ranie
Stają Jastrzębcy, a skromne śniadanie
Już o mil kilka goszcząc, spożywają,
A w piątej wiosce do stołu siadają...
Nim noc zapadnie już wszelakie sioła
Głos ich obieży, na wojnę powoła.

Pędzą, by strzała od boru do boru,
Z chaty do chaty, od dworu do dworu.
Tu byli, tam są, i już rozkaz głoszą:
Na Ruś! kto żywy.
„Niedaremnie noszą
Imię Jastrzębca — chwalą ich ziemianie —
Bo ledwie wpadną, ogłoszą wezwanie,
A już ich nie ma. Pełni żarliwości,
Dzielni rycerze!“
Tak z włości do włości,
Pędząc Jastrzębcy i na ziemię dziadów
Swoich wjechali,
Zbilut pośród sadów
Poznaje chatę, poznaje jabłonie,
Lipy i dęby, ogród, staw i błonie.

Osadza konia jednym ruchem ręki.
Stanęli wszyscy.
Zdala słychać dźwięki
Z wieży kościoła. Koń strzyże uszami,
Piersiami wzdyma i parska nozdżami.

Zbilut się pilnie w głos dzwonka wsłuchuje,
A serce jego dziwnie się raduje...
W uroczy zachwyt lat dziecinnych wpada...
Oko w dal leci, dusza serce bada,
Czy w cnocie czyste.
Wolno, wolno, stępa,
Krok za krok jedzie, bo mu każda kępa
Ojca i matkę i dziada wspomina,
A z nimi ciotkę, bo każda brzezina
Mruga na niego, bo te dęby stare
Podobnie szumią, głosząc Bożą wiarę,
Jak niegdyś, gdy on... gdy wesoły w chatkę
Wiódł z pola dziada, ojca, ciotkę, matkę.
Widzi się dzieckiem na polu szerokiem,
Jak po nim biegnie coraz szybszym krokiem
Na głos ciotuni do chaty pod strzechę,
Gdzie go matula, jako swą pociechę
Jedną jedyną ze łzą oczekuje,
Gdzie go dziad siwy pieści i całuje,
Głaszcząc po główce.
Ojciec dawno w grobie...
I matka zgasła... i razem przy sobie
Śpią w świętej ziemi. Dziad Odalaj żyje.
Tak?!... żył... lecz dzisiaj może go już kryje
Zimna mogiła.
Kachna?... starowina —
Córka Odala, a siostra jedyna

Ojca Zbiluta, ta przypomni może...
Ze łzą przygarnie, i w Imię Twe Boże
Błogosławi.
Już lata minęły
Jak raz ostatni w chacie tej stanęły
Zbiluta nogi.
Niezły był on człowiek.
Nigdy nie spoczął, nie zasunął powiek
Zanim za ojców nie zmówił pacierza.
Dwór go był zepsuł, a pewność oręża
Butę dodała. Dziś mu z Krystą sprawa
Obrzydą była.
„Wojna! wojna krwawa
Spokój mi wróci“...
Westchnął, łzę uronił,
I drżącą ręką twarz bladą zasłonił;
Podbiegł ku niemu najmłodszy bratanek:

„Czego płaczecie? tak cudowny ranek.
Śmiać się wam trzeba. Spadło na was licho,
Czy co?“...
Nie skończył mówić, bowiem:
Cicho! —
Zgromił go Zbilut — to rodu świątynia...
To progi ojców... Ta cicha pustynia,
To gniazdo nasze. Jam się tu urodził...
Tu i twój ojciec obok dziada chodził.
Ty, dziada nie znasz, ja ledwie, że pomnę.
Tu nasze matki wiodły życie skromne.
Stójcie... popytam o ciotkę i dziada.
Lecz cicho stójcie, bo nam wszystkim biada,
Gdy dziad markotny“.

Skoczył lekko z konia,
I szedł na palcach cichutko przez błonia
Do starej chaty.
Stanął u drzwi progu...
Stał długo... wieki... zda się modlił Bogu...
Wreszcie wolniutko zakołatał w bramę...
Zląkł się odgłosu... Rozwarł gardła jamę,
Dech zapierając. Słuchał, zda się wieki
Kark przygarbiwszy. Słuchając oniemiał,
Zdało się nawet, że w słuchu skamieniał.

Cicho drzwi skrzypły.
„Kto? i z czem o świcie?“

„To ja, ciotuniu — wstrzymał serca bicie —
To ja, syn Mszczui. syn jego najmłodszy,
Zbilut Jastrzębiec“.
„Boże mój najsłodszy!
Bywaj Zbilucie“.
To rzekłszy wzruszona,
Kachna ciotunia, już ciśnie do łona
Bratanka swego, a ten rozrzewniony
Klęczy i stopy całuje wzruszony,
A płacząc woła:
„Ciotuniu!... Matulu!“

„Cicho, o cicho! mój ty złoty królu.
Dziad twój... śpi jeszcze“.
„Nas tu więcej braci,
A wnuków dziada“.
„Niech wam Bóg zapłaci
Za pamięć o nas... Bywajcie, prosimy
Lecz gdzież są oni?“

„My ze łzą spieszymy
Do kolan waszych.“ Cicho wyszeptali
Młodsi Jastrzębcy, bo z drżeniem czekali
Chwili wezwania.

„Cicho, cicho dzieci.
Ojciec mój, dziad wasz wstaje, gdy zaświeci
Pierwsza jutrzenka, teraz śpi cichutko,
Z uśmiechem w ustach, a tako słodziutko,
Jak święty Pański. Ja powiem dziadowi
Skoro się zbudzi, że chcecie starcowi
Winną cześć oddać“.

Rzekłszy ręką woła
W chatę do izby. Wszech z nich jako zdoła
Stąpa na palcach, aby snu dziadowi,
Ojcu ich ojców, nad grobem starcowi,
Cięższem stąpieniem nawet mimo woli
Chwilką nie przerwać, schyłek życia doli
Niczem nie skłócić.

„Pierwszy promień słońca —
Szepnęła Kachna — budzi ze snu ojca,
Dziada waszego. Pójdę doń powoli,
Bo sam mi mówił, że go serce boli,
A dusza płacze, że w śnie miał widzenie:
Że syn Jastrzębca zdepcze rodu mienie,
Że krwią się shańbi kapłana Bożego...
Boże! Ty Wielki!.. Już idę do niego,
Już pewnie nie śpi. Cicho więc me dzieci“.

Ledwie wyrzekła, a już we drzwiach świeci
Złoty blask słońca, a w blasku słonecznym
Srebrny włos starca.

„Kachno!“

„Ojcze.“

„Wiecznym
Mamże być dziadem? Słońce dawno wstało.
Po onę porę serce me czekało
Na ciebie Kachno, by się korzyć Bogu...
Wieki już chodzę od progu do progu...
Jam ślepy córko, ślepy ze starości...
Ty gwiazdy widzisz i słońca jasności.“

„Ojcze są goście“...

„Teraz duszy pora.
Bóg gości wiedzie. Chata i obora
Pełna łask Jego“.

Rzekłszy, ukląkł stary
I ręce złożył.

„Boże, Ty bez miary
W swem miłosierdziu! wejrzyj na kalekę,
Drżącego starca. Spojrz, że ledwie wlekę
Lata zgrzybiałe... O, ochroń mię Boże,
Zanim mię w zimne każesz złożyć łoże,
Bym żyw nie widział, to coś mi objawił.
Boże! błagam Cię, byś swą łaską sprawił,
Abym nie widział krwi mej upodlenia,
Abym nie widział krwi mej zaślepienia,
Abym nie słyszał grzechu sromotnego
Ducha Jastrzębców przeklinającego...
Boże mój, usłysz!“

Umilkł. Klęczał długo...
Powstał powoli.

„Kachno“.

„Waszą̨m sługą“.
„Gdzie twoi goście?“

„Pozwólcie powoli...

Spocznijcie chwilę, aż serce przeboli.
Ciężki sen pewnie mieliście mój ojcze".

„I życie marne w ciężkich snach zakończę...
Prowadź mię Kachno... a do mej świetlicy
Przywiedź mi gości, lecz... niech się łożnicy
Mojej nie zlękną. To skrypta na kości
W której spoczywać, myśląc o wieczności,
Pragnę me dziecię".
Wyszli wraz oboje:
Ojciec i córka... Starcy obydwoje.
On wiek zgrzybiały... Ona ze starości
Cała się trzęsie, wiodąc ojca kości,
Dziada Jastrzębców.
Świetlica starego,
Ojca a dziada, była z dębowego
Drzewa ciosaną, długa i szeroka,
Jakby kaplica, tak nader wysoka.
Sześć okien miała: Dwa na wschód w ogrody
Pełne drzewiny, przez nie szelest wody
Wpadał w świetlicę; dwa ku południowi,
A dwa na zachód w las ku gościńcowi.
Wzdłuż ściany lewej ciągnęły się ławy
Proste, dębowe. Po stronie zaś prawej
Stał stół szeroki, a w około niego
Stołki bukowe.
Z kloca dębowego
Łoże żłobione leżało na ziemi
W środku świetlicy, i formy swojemi
Szczerniałą trumnę, a nie miękkie łoże
Oku zdradzało.
Święte palmy Boże,
Jakby dwie ręce na piersiach złożone,

Tak liśćmi swemi ku niebu wzniesione,
W pośrodku ściany krzyż Pański trzymały,
Zda się, że jeszcze nad skonem płakały
Syna Bożego.
Po niedługiej chwili
Weszli Jastrzębcy, i głowy schylili
Do samej ziemi.
"Bywajcie". Rzekł stary.

„Czołem padamy".
„Jam zstarzał nad miary...
Oślepł z starości. Któryż z was dziś w rodzie
Głową i radą?"
„Zbilut, w tej zagrodzie
Ze Mszczui zrodzon".
„Bywaj mi, mój drogi"...
I Zbilut przypadł i ujął za nogi.
„Bywaj, mi bywaj — mówiąc twarz rękami
Macał Zbiluta, i szeptał ze łzami:
Zda się mi syn mój, podobnyś do ojca,
Syna mojego. Bóg mi promień słońca
Odjął na wieki, lecz czuję palcami
Krew mego rodu tak, że źrenicami
Lepiej nie pozna".
I tak rzędem długim
Do stóp staruszka szedł jeden za drugim:
On po ich skroni drżące wodził dłonie,
A chwilę tuląc każdego na łonie
Pytał się cicho o imiona matki,
Ojca i braci, o przygody chatki,
Ilość rodziny.
„A z czemże, gdzie droga?"
Zapytał nagle.

„Na zjadłego wroga
Wzywać ziemiany! Ruś się zbuntowała
I kniazia swego z ziem swoich wygnała.
Król wojnę głosi“.
„Król... Król... wnuk Chrobrego...
Znany mi z życia nader rozpustnego.
A, gdzie wy w służbie?“
„W królewskim orszaku“.

Starzec przez chwilę nie dał życia znaku,
Siedział, by z głazu. Naraz gniewem błysnął,
Z ust niewyraźne słowa gromu cisnął:

„Pod grozą klątwy! ja wam rozkazuję,
Porzucić Króla... Z imienia wyzuję,
Który się waży służyć zuchwalcowi...
Służcie Ojczyźnie! służcie narodowi!
Lecz nigdy ręką nie wspierajcie złego!
Król drwi, urąga z życia cnotliwego
Cichych ziemianów. Panu z Bużenina
Smiał porwać żonę... Przeklnę synów syna!!
Przeklnę ród cały!... Precz od progu Króla!
Służcie orężem... Król niech z piekłem hula...
Wy, precz!!... powiadam!“
Zamilkł, siedział długo...
Łzy mu nareszcie spadły cichą strugą
Po zwiędłych licach.
Jastrzębcy struchleli...
Że dziad zasłyszał?... o tem nie wiedzieli.

„Idźcie do Kachny, ona was ugości.
Mnie pozostawcie w smutku i w żałości“.

Kachna, ciotunia, pod drzwiami słuchała
Rozmowę z dziadem. Bladła i truchlała
W miarę słów groźnych. Żal jej biednych było,
Że dziad ich gromił, serce łzami biło
W łonie staruszki.
„I cóż oni winni? —
Szeptała cicho — służą jako inni...
Dziad się zestarzał. Śnią się mu dziś dziwy...
Ratuj nas, wspieraj Panie Boże żywy".

Wyszli Jastrzębcy z spuszczonemi głowy,
Smutni, markotni, spotyrani słowy
Dziada własnego. Kachna w sieni stała,
Bo na ich wyjście skwapliwie czekała.

„Zbilut — szepnęła — słyszałam rozmowę.
Dziad wasz ma słuszność! Wy szanujcie głowę
Rodu swojego... Cicho, cicho dzieci...
Ja wiem już wszystko. Król rozpustę nieci
We własnym domu. Wam zdala od niego,
Bo dziad was wyklnie!.., Boże zbaw od złego...
Król i biskupa za nic sobie waży,
Sądzić go kazał na mocy potwarzy".

„Ależ ciotuniu"...
„Ja córka Odala,
Dziada waszego, i z nim mówię: Zdala
Od dworu Króla!... Miejcie w sercu Boga,
Klnę was na ojców".
„Ależ ciociu droga,
Król się poprawił, biskup mu wybaczył
I sam Bóg w niebie. A gdy wybrać raczył
Nas do swej służby... to go rzucić mamy?

O nie! ciotuniu, za nic nie oddamy
Tej wielkiej łaski. Król grzechów żałuje,
A płacząc stopy Chrystusa całuje;
Mamyż go rzucić, gdy on wojnę głosi,
I na Ruś z sobą wszystkich ziemian prosi?“

Westchnęła stara.
„Chodźcie do komory,
Spocznicie chwilę. Przebyliście spory
Kawał już ziemi, więc i wytchnąć trzeba.
Zaraz przyniosę z Bożej łaski chleba,
Skrzepicie ciało“.
Sami pozostali
I nad przyjęciem boleśnie dumali.
Pierwszy rzekł Zbilut:
„Licha z dziadem sprawa,
Gdy snem markotny“.
„On nas nie ma prawa
Wyklinać z rodu“. Rzekł Bożywuj gniewnie.

„A kto mu wzbroni?“
„Król, Pan nasz!“
„Zapewnie?!“

„Król tu nie zjedzie, a on klątwę rzuci!
A kto ją zdejmie?“
„Ród z grona wyrzuci
Służalców pańskich“.
„Cóż więc czynić trzeba?“

„Na innym dworze szukać służby, chleba“.
Smutno rzekł Zema.
„Ja nigdzie nie idę!“

Mruknął Bożywuj.
„Na nędzę, na biedę
Zejść u pachołka?“ Zemy Zbilut spytał,
Bo w twarzy jego chęć prawdziwą czytał
Opuścić Króla.
„Ja nie rzucę Króla —
Zawołał Andrzej — miła mi koszula
Z dworu pańskiego.
„I ja, nie“.
„I ja, nie! —
Wołali inni — a... gdy Zema wstanie,
To niechaj rusza“.
Wtem weszły służące
I zastawiły wędliny gorące,
Miód i chleb żytni. Kachna niesie sery
I prosi siadać.
„Ser, rąb od siekiery
To ognia krzesze — zaśmiała się stara —
Samam suszyła... a kminku w nim miara,
Proszę was, bierzcie“.
Jastrzębcy zgłodniali
Bez prośby nawet ochoczo się brali
Do miodu, wędlin.
„Stryj wasz, syn Odala,
Biskup Wrocławski słał posłańca zdala
Prawić o Królu, o zbytkach na dworze,
Że Król był shańbił ziemianina łoże. —
Mówiła Kachna, Jastrzębcy słuchali —
Dziad był markotny. Żeście udział brali?...
W zbytkach na grodzie, to o tem nie wiedział.
Samiście rzekli. Dziad tak się zasiedział
W swojej świetlicy, że już nie wychodzi,

Z Bogiem się tylko łzą modlitwy godzi.
Było nie gadać".
„Cóż czynić matulu?...
Ciotuniu droga".
„Nie myśleć o Królu;
Dwór jego rzucić".
„To nam nie przystoi!
Serce się wzdryga, a dusza się boi...
To zdrada, hańba!"
„Ślijcie do Wrocławia
I tam rzeknijcie. Niech się biskup wstawia
Za was u ojca. Prawcie biskupowi,
Że Król już zabył złości ku Stankowi,
Że Boga żebrze... inaczej wam biada,
Bo dziad uparty".
Dobra była rada.

„Niech jedzie Zema, on rozważny w mowie —
Natrącił Zbilut — składnie złoży w głowie,
Jak rzec stryjowi".
Wszyscy się zgodzili,
I wszyscy Zemę w poselstwo prosili.

„Rzecz prawa, święta — rzekł Zema — pojadę,
Jednak wam wszystkim za warunek kładę,
Że gdy stryj rzeknie, aby iść precz z dworu,
To wszyscy pójdziem bez żadnego sporu".

„Niechaj tak będzie".
Skończyli śniadanie,
Więc Zema powstał:
„Dzięki Ci, o Panie,
Za chleb łaskawy".

Powstali i drudzy.
Zbilut postąpił:
„Wierni domu słudzy,
Tej starej strzechy — rzekł, klęknąwszy z braćmi
U nóg staruszki — wszakże, ciociu, snać mi
Błagać się godzi, byś nas przeżegnała
W daleką wojnę. — Kachna zapłakała —
Błogosław ciociu".

Pochylili głowy...
Ciotka nie mogła z piersi dobyć mowy,
Rękę podniosła.

„Bóg z wami me dzieci —
Szepła, krzyż czyniąc — niech wam jasno świeci
Droga prawości.

Załknęła się mową,
Oni klęczeli z pochyloną głową,
Tłumiąc łzy w piersiach.

„Służcie wiernie Bogu!
Służcie Ojczyźnie! — ozwał się na progu
Drżący głos dziada. — Idźcie w Imię Boże!
Wracajcie z chwałą!"

Łez rzęsiste morze
Spadło z ócz starca. Przypadli wnukowie
Do kolan jego... on krzyż na ich głowie
Kreślił swą dłonią. Cichość, by w świątyni...
Cicho próg przeszli, a dziad jeszcze czyni
Krzyż poza nimi.

„Krew mojego rodu —
Prawi do Kachny — wiedź mię do ogrodu
Niech tentent słyszę, gdy widzieć nie mogę.

Wiedź mnie o Kachno po nad samą drogę,
Niech ich raz jeszcze w bój pobłogosławię,
A swem obliczem od złego ich zbawię.

III.

ZJAZD ZIEMIAN.

Jeszcze Jastrzębcy z drogi nie wrócili,
A już ziemianie z całymi tabory
Na głos królewski, tak licznie spieszyli,
Że już w Krakowie nie znajdzie obory,
By konia wstawić.
Namiot przy namiocie
U stóp Wawelu rączo rozbijają.
I przy tej nagłej, pospiesznej robocie
Wesołe pieśni ochoczo śpiewają.

Przez noc namioty, gdyby grzyby z ziemi
Mnożąc się, rosną, ścielą się szeroko
Tak, że już błonia oponami swemi
Całkiem pokryły.
W farbach tonie oko,
Bo każdy namiot innego koloru,
A wszystkie razem, by tęcza na niebie,
Łudzą źrenicę.

Codzień w gronie dworu
Król obóz zwiedza, i prosi do siebie
Mężnych ziemianów.
„Prosi was ma chata...
Nim inni zjadą, nim gród opuścimy,
Proszę was do niej. a jako bogata,
Tako wam rada“.
„Na rozkaz czekamy
Panie nasz miły“.
„Teraz w chatę proszę.
W pochodzie rozkaz! Ruś jeszcze daleko.
Na czas ja, na czas, wymarsz wam ogłoszę,
Co gdy nastąpi, to nie jedno oko
Łzą żalu błyśnie, że strzechę ojczystą
Na lata rzuca“.
Tak codzień proszeni
Na gród ziemianie spieszą duszę czystą
Okazać Panu.
Król się szczęśliw mieni,
Przyjmując wiernych. Spieszy i Wszesława,
Spieszy i matka. Biskup wita gości,
Bo mu ten zaszczyt przysługuje z prawa;
A rad go pełni, bowiem Król Pan złości
Dawno porzucił.
Szli na gród w gościnę:
Poppy, Bosuty, Arony, Bogdany,
Najstarsze rody, co Piastów rodzinę
W siermiędze znały. Szli Wygi, Wiskany,
Targossy, Żyry, Radychy, Zabory,
Gietkowie, Rudni, Pożary, Trojany,
A z nimi zawsze na wyprawę skory
Wszebor, wódz wojska.

Stare te rodziny
Wiodły ze sobą i wnuki i syny
Tak, że ród jeden, jedna siwa głowa
Wiodła za sobą dwieście głów po dziadzie
Mężnych, walecznych.

Postać czerstwa, zdrowa
Każdego rodu, a ręka co kładzie
Dłoń na szablicę, silna, by ze stali,
Gdy ją podniesie w obronie Ojczyzny,
To śmierć wam wrogi!

Król na środku sali
Stoi i wita, i rachuje blizny
Na każdej twarzy. Każdemu prawicę
Szczerze podaje. Każdy lgnie do niego,
Z pełną ufnością podnosi źrenicę,
Rad, że mu wolno powitać Śmiałego
Króla, a Pana.

Król mówi z Bogdanem,
A ten mu syny i wnuki przedstawia,
I ze czcią prawi:

„Tyś nam Królem, Panem!
Krew nasza, twoją".

„Wierność ziemian sprawia,
Że tron mój silny. Dzięki ci Bogdanie".
To ledwie rzekłszy już wita Arona,
Bosuta, Żyrę. A ci:

„Miłość Panie
Do stóp się ścielem. Krew naszego łona
Wiedziem ci radzi... To syny i wnuki,
Służyć ci pragną".

„Witam was — Król woła —
Nie wiele będzie potrzeba nauki,

Albowiem widzę z ich mężnego czoła
Wierność, odwagę".
A tu już Wiskany,
Targossy, Jaxy, Rudni i Gietkowie,
Radychy, Wygi, Zabory, Trojany
Z setkami rodu, a rodu dziadowie
Pierwsi, wstępując idą witać Pana.
Każdy z nich rosły, a jak dąb barczysty.

Dziad rodu Poppów idąc, zgiął kolana
Przed Królem Panem.
Potok łez rzęsisty
Spłynął z ócz Króla. Chwilę stał, by niemy
Przed drżącym starcem. Starzec siwą głowę
Klęcząc, pochylił.
„Panie — szepnął — gniewy
Zabyj ku Stanku. Racz mą nędzną mowę
Przyjąć o Panie".
„Popponie, me serce!
Dawnom już zabył... Stanko mi wybaczył,
I żadnej złości, nawet i w iskierce
Do mnie nie żywi. Ale, żeś ty raczył?
Ty! druhu dziada przybyć w moje progi...
Dzięki ci za to".
To rzekłszy w ramiona
Ujął staruszka. Ten uścisnął nogi
Królowi Panu, wołając:
„Korona
Niech ci cześć niesie!"
A Król:
„Witaj druhu
Dziada mojego! Witaj bracie ojca.

Dawnom o tobie słyszał, jak o duchu...
Dziś cię dopiero widzę w blasku słońca.
Witaj Popponie!“
Tak codzień, co rano,
Coraz to inne rody na gród płyną
Powitać Pana.
Na grodzie nie znano
Takiej wyprawy, choć od wieku słyną
Męstwem Polanie. Tak licznie nie byli
Nawet Chrobremu służyć na wyprawy,
Chociaż go sercem i duszą wielbili,
Iż był Król mężny, sumienny i prawy.

Inny to gród dziś, nie ten, nie ten dawny
Na którym zbiegi, zuchwalcy z obczyzny
Naród Piastowski cnotą, męstwem sławny
Zbytkiem kalili, dla których krwi blizny
W obronie kraju męstwem osiągnięte,
Szyderstwem były.
O! ten gród dziś inny...
A przecież ten sam, bo te ściany święte
Tak samo stoją, jak wonczas gdy słynny
Wojciech w nie stąpał, którego Prusacy
Później zabili, a którego ciało
Chrobry wykupił, dając skarb swej pracy
Za święte zwłoki.
Dzisiaj każdy śmiało
Na gród przybywa. Tu codzień zabawy
Huczne, rycerskie. Jedni więc do celu
Z łuków strzelają, inni zaś rękawy
W tył zarzuciwszy na liczniejszych wielu,
Niby swych wrogów, mężnie nacierają
Z rapirem w dłoni. Inni zaś wokoło

Dziedzińca grodu konie ujeżdżają,
Że, aż im gruby pot oblewa czoło.
Król się przygląda. Tu chwali lot strzały,
Więc oko wprawne. Tam chwali skład ręki
I pewne cięcie, a ówdzie zwrot śmiały
Jeźdźca na koniu.
„Gdy tniesz, to bez męki
Wróg ducha odda — woła zachęcając —
Gdy strzałę rzucisz, to serce przebije!
Wyborne oko! Gdy tak nacierając,
Konia osadzisz, to wróg skręci szyję".

Nieraz sam nawet naciera w szeregu
Z szablicą w dłoni, jednakże niedługo,
Bo już na koniu w rozhukanym biegu
Ścigać się każe wprost ulicą długą
Z grodu ku błoniom, wzdłuż Wisły wiodącą.

Wieczory w gronie starszyzny i dworu
Spędza wesoło. Z twarzą jaśniejącą
Słucha rozmowy. Do mądrego sporu
Sam słowo wtrąca.
Jastrzębcy nareszcie
Na gród wrócili, przywiódłszy ze sobą
Setki ziemianów, i prawią o reszcie
Co jeszcze ciągnie, że ich tylko dobą
Pędząc, wyścigli.
„A więc ruszać trzeba —
Rzekł Król wesoło do wodza Wszebora —
Aby co rychlej pokosztować chleba
Z pieca ruskiego".
„Wielka, wielka pora.
Wydam rozkazy". — Rzekł Wszebor ochoczo.

„Jutro Msza święta, a po Mszy ruszamy
Ruś upokorzyć — wyrzekł Król proroczo —
A poczem Kijów Zasławowi zdamy“.

Wrócił i Zema od stryja z Wrocławia
Tegoż wieczora. Bracia przybieżeli:

„Mów, mów! a prędko, czy biskup wyprawia
Do dziada posła? — Wszyscy wraz krzyczeli:
Jako cię przyjął?“
„Pozwólcie, powoli,
Niechaj tchu złapię“.
„Będziesz odpoczywał,
Lecz teraz, praw nam“.
„Stryja bardzo boli,
Że dziad markotny“.
„A! że nas wyzywał
Rzekłeś stryjowi?“ Zbilut zapytuje.

„Trudno z nim mówić, człek ostry, surowy,
Ledwie mię przyjął, w mowie nie żartuje,
Twardszy on, niż dziad“.
„Jakiejś zażył mowy?“

„Prawiłem wszystko, jak ciotka radziła.
Słuchał, lecz milczał. Ja stałem u progu.
Pobożność Króla gniewem go raziła,
Bo krzyknął na mnie: Nie urągaj Bogu,
Broniąc zuchwalca!... To mówiąc, tak srogi
Wzrok na mnie rzucił, żem skamieniał cały,
A, by głaz padłszy, objął jego nogi,
Nie mogąc dyszeć. On wołał: Zuchwały!
Zbrodnie chcesz bronić!?

Stryju drogi, panie! —
Jęknąłem, leżąc — Kachna mnie przysyła,
Ona nam rzekła: Macie pieczę w Janie,
On kapłan Boży, może dla was siła
Zdziałać u dziada.
Imię Kachny... może?...
Serce wzruszyło. Kazał wstać mi z ziemi.
Powstałem cicho. On szeptał: Mój Boże
Ileż lat temu? po rozstaniu z niemi?...
A potem głośno pytał mię o dziada,
O Kachnę, Leszka. Jam mu opowiadał.
Słuchał uważnie, a twarz jego blada
Życia nabrała. To chodził, to siadał.
Gdym skończył mówić, on ukląkł przed krzyżem,
I złożył ręce. I ja na kolana
Upadłszy, tak się zapomniałem, iżem
I nie czuł, kiej wstał."
„Za naszego Pana,
Za dziada i was — rzekł wzruszonym głosem —
Błagałem Boga. Jedź i służ Królowi
Wraz z braćmi swymi, lecz nie tyraj włosem
Ojca mojego. O, lepiej dziadowi
Wodę ci nosić, niźli złe popierać.
Tak rzekł wam dziad wasz, i ja tako prawię,
Albowiem ciężko jest w grzechu umierać.
Teraz jedź na gród... do ojca się wstawię.

Padłem mu do nóg, on mi ścisnął głowę
I pocałował. Wypadłem spłakany,
Dosiadłem konia, pędzę... Pierwszą mowę
Z wami prowadzę... Dziad nasz przebłagany".

IV.

WYPRAWA.

Nareszcie słowo przez Króla rzeczone
Ściele bez końca wozy rozlicznymi
Podwórze grodu, konie założone
Już je za miasto z zbrojami wszelkimi,
Ciągną powoli.
Na błoniu obozy,
By mgła znikają. Już się wojsko roi
Mrowiem rozległem, oczekując pory
Pierwszej jutrzenki.
W środku ołtarz stoi
Na podwyższeniu.
Rody się grupują
W osobne działy, lecz tak, że ród rodu
Ramieniem tyka. Na czele przodują
Ojcowie, dziady, a oko ku grodu
Zwróciwszy, milcząc, oczekują Pana.
Przy starcu młodzian sztandar trzyma w dłoni
Z herbami rodu, a źrenicą goni
Również na Wawel, również czeka Pana.

Wszebor objeżdża dookoła błonia,
I niecierpliwie sam wygląda rana.
Nareszcie stanął, zsiadł, odmienił konia,
Właśnie w tej chwili już szarzeć zaczęło.
Powiódł więc konia po szerokiem błoniu,

I sam się zdumiał, że oko tonęło
Bez końca w wojsku.

Wtem na białym koniu
Król oraz Stanko, dworem otoczeni,
Zwolna wjechali. Podbiegł Wszebor cwałem
Powitać Króla.

Jutrzenka promieni
Nad inne gwiazdy, i swem światłem małem
Odsłania widok wojska rozlicznego.
Król spojrzał wesół, bo nie sięgnął okiem
Ostatnich rodów, narodu Polskiego.

Pod ten czas biskup szedł poważnym krokiem
Przed ołtarz Boży, a mężni ziemianie,
Na znak Wszebora, tysiąckrotnym głosem
Wołają:

„Na Ruś, na Ruś! wiedź nas Panie,
Aby Rusinów pogodzić z swym losem".

„Witam was bracia!"

„Król Pan niech żyje!"
Hukli ziemianie. Sztandary wionęły,
I swoje długie pochyliły szyje
Ku samej ziemi, i znowu stanęły.

„Wiele chorągwi?" — Pyta Król Wszebora,
Jadąc wzdłuż błonia.

„Pięćset naliczyłem".
Król się uśmiechnął.

„Ilość nader spora,
O której nawet, powiem, nie marzyłem".

Mówiąc z Wszeborem jechał w środek błonia
Zwolna, uważnie, prawie krok za krokiem.
Każdy ród witał, wprost zwracając konia
Ku głowie rodu. Witał ręką, okiem.
Każda chorągiew do ziemi się słała,
Dając hołd Panu i zwolna wstawała.

Król skończył przegląd z samem świtem rana.
Msza się poczęła. Hufce modły wznoszą
Do Stwórcy nieba, do wszech Królów Pana,
I za Ojczyznę, i za Króla proszą:

„Boże, co światy dzierżysz w świętej dłoni,
Co wszech królestwo na ziemi i niebie
Chowasz w swej pieczy, a ratujesz z toni
Nawet robaczka, spiesząc mu w potrzebie...
My do Cię Panie podnosimy dłonie,
Żebrząc: Racz pomnieć o Piastów koronie.

„Boże, co polne okrywasz lilije,
I żywisz ptactwo na lądzie i morzu,
Co z Twej dobroci motyl rosę pije,
A słońce, gwiazdy świecą nam w przestworzu...
My do Cię ręce, pochyliwszy skronie,
Wznosim błagając: Świeć Piastów koronie.

Boże, co słońcu każesz chodzić w złocie,
By ogrzewając przyświecało światu...
Boże, co leśne rozmnażasz paprocie
Swą tajemnicą, nie dając im kwiatu...
My Cię żebrzemy, wznosząc serce w łonie:
Rozmnóż w nas miłość ku Piastów koronie.

Boże, co w pszczółce dałeś wzór pilności,
W słowiczej piersi tony niebu miłe,
Coś w mrówce wskazał obraz cnót skrzętności,
W ptactwie roztropność, we lwie męstwo, siłę...
Daj i nam Panie świętą radość w skonie,
Że serce nasze było lwem w koronie.

Boże, co piorun woli Twojej czeka,
Bezdenne morze drży na Twe skinienie,
Co bez Twej woli ani włos człowieka
Z głowy nie spadnie, liść nie wie, co drżenie...
My Cię błagamy: Niech krew nasza płonie
Ku Twojej chwale, ku Piastów koronie.

Boże, co światy dzierżysz w świętej dłoni,
Coś słońcu, gwiazdom nadał bieg bez końca,
Co potworami rządzisz w morskiej toni,
A błyskawicę używasz za gońca...
Spraw, byśmy zawsze w Ojczyzny obronie
Gromem Twym byli, a perłą w koronie.

Boże coś nadał wszelkiemu stworzeniu
Nam niepojęte prawa ku obronie,
Boże, coś nawet łzę wzbudził w kamieniu,
Gdy Syn-Bóg konał na tej ziemi łonie...
Daj nam tę łaskę, że gdzie zwrócim skronie,
Boga czcić będą w cierniowej koronie.

Boże miłości, któryś Syna swego
Na świat ten zesłał, by odkupił ludy...
Przez Syna-Boga ukrzyżowanego
Żebrzem Cię Panie, zmyj z serc naszych brudy,
By dusza czysta mogła podnieść skronie
I wielbić Ciebie: Czcią Piastów w koronie.

Boże Ty wielki! racz przyjąć wołanie
Dzieci Twej ziemi, i spuść promień słońca,
Każ mu nam świecić, z woli swojej Panie,
Wśród walki życia, aż do światów końca.
O to Cię błaga naród wznosząc dłonie,
O to Cię żebrze Król w Piastów koronie".

Król stał bez hełmu. Biskup celebrował
Świętą Ofiarę i rzewne łzy chował
Między rzęsami, bał się, by lud zbożny
Łzy mu nie zajrzał, bał się, aby możny
Król, a Pan jego, nie zajrzał w źrenicy
Drżącego serca, zanim z kazalnicy
Słowo swe rzeknie, bał się, bo modlitwy
Tak cicho szeptał, jak ranny wśród bitwy
Litości wzywa.
Czytając, wzniósł ducha
Do Pana Panów, a ze łzami słucha
Modlitwy ludu.
Pieśń zcichła powoli...
Biskup się zwrócił...
„W opłakanej doli
Wojny, pożogi — rzekł wzruszonym głosem —
Jakąż pociechę nad nieszczęsnym losem
Kraju naszego mam wam przynieść mili?
Daremnie dusza modlitwą się sili!...
Rzewnie błagałem Pana ponad Pany,
Ażeby raczył krwawe łzy i rany
Od kraju, braci łaskawie odwrócić,
Żeby brat bratu nie śmiał serca kłócić.

Rusin z krwi naszej, a my z jego kości...
Więc żebrać trzeba: O Boże! jedności
Użycz nam, użycz!

Lecz, gdy nasz dostojny
Zasław nas prosi, aby wyrok wojny
Tron mu ustalił... więc ja sługa Boży,
Syn z kości waszej, co chętnie położy
Za was swe życie, wołam:

Idźcie dzieci!
Niechaj wam chwała zwycięstwem zaświeci.
Lecz, nim was sercem, drżąc... pobłogosławię
Ewangelią do Boga się wstawię.

„Mistrzu — rzekł Andrzej — naród wygłodniały
Upadł na ciele... już i omdlał cały,
A dać mu nie ma i okruchy chleba..,
Do chat go zatem już rozesłać trzeba.
Jest wprawdzie chłopię z dwoma rybeczkami,
Oraz i z pięciu chleba bochenkami,
Lecz, cóż to znaczy dla tysiąca ludu?
Tym go nakarmić?... trzeba Panie cudu!

„Wiary Andrzeju!... Niech przyjdzie pacholę.
Naród niech spocznie, niech usiędzie w kole".

I usiadł naród tysiączny dokoła,
A Andrzej chłopię do Chrystusa woła.
Chrystus z modliwą oko w niebo wznosi,
Chleb błogosławi... Andrzej go roznosi,
Łamie w kawałki i daje łaknącym.
Chleb w jego rękach cudem jaśniejącym
Rośnie i naród zasila na ciele,
Który się Rabi do stóp ze łzą ściele:

„Bądź naszym Królem! Bądź głową narodu,
Albowiem cudem ratujesz od głodu,

Cudem, jakiego już widzieć nie zdoła
Nikt na tej ziemi!“
Gdy tak rzesza woła,
Chrystus okruchy zebrać rozkazuje:

„Zebrać w kosz resztki, aby łaska nieba
Za poniewierkę nie zabrała chleba“.

Co gdy spełniono, rzesza się dziwuje,
Że aż dwanaście pełnych koszów było
Onych odpadków.. i że wszech co żyło
Do syta jadło, a chleba zostało
Więcej, niż przedtem chłopię w koszu miało.

Temu ja błagam:
Panie! Jezu miły,
Racz w naszem ciele tak rozmnożyć siły,
Jakoś rozmnożył pięć bochenków chleba
W ręku Andrzeja, jednem słowem nieba.
Rozmnóż w nas męstwo, odwagę, wytrwałość
Wolę prawości, posłuszeństwo, stałość!
By temi cnoty na duszy wzmocnieni
Pod ręką naszą, by gromem rażeni,
Padali wrogi naszych chat, spuścizny,
Ku chwale Twojej, ku chwale Ojczyzny!“

Skończył. Łzę otarł, i wraz błogosławi
Zastępy wojska, głosi chwałę Bożą,
Mówiąc proroczo:
„Stwórca Bóg nasz sprawi,
Że rokosznicy u stóp twych bunt złożą,
Królu nasz Wielki, że i czcią okryty
Zajmiesz ich miasta, bowiem Bóg oręża

Udziela wiernym, którzy owoc zgnity
Z serca wydarli kuszącego węża,
Korząc się duchem. Ja więc błogosławię
Oręż twój Królu. Do Boga się wstawię
I Matki Jego, byś tak namaszczony,
Modłami memi, był Wiary obroną!“

Błogosławieństwem Bolesław wzruszony,
Zapala wojska:
„Wołam wraz z koroną:
Tylekroć razy zbieraliście plony
Męstwa swojego, i tylekrocrazy
Krwią i ranami praojców zagony
Obroniliście, ślubując koronie,
Którą po ojcach dostałem bez zmazy...
Wierność bez granic.
W kim więc miłość płynie
Do Wiary świętej, do Polskiej korony,
Do ojców ziemi niechaj zemną śmiało,
Niezatrwożony zapuści zagony
Na ziemię Ruską, by ją w jedno ciało
Z Polską połączyć.
Wszak nasi ojcowie
Wiele mniejszemi siłami narody
U stóp swych kładli, tusząc w Bożem słowie.
I my pobijem kijowskie zagrody,
Granicę kraju aż tam rozciągniemy,
Gdzie nam je dziady z dawna zaznaczyły...
I hardość Rusi w miłość zamienimy;
Lecz prośmy Boga, by nieba raczyły
Wzniecić w nas męstwo“.
I wojsko wraz z Królem
Pokornie klęka. Biskup błogosławi

I żegna mężnych z krwawym w sercu bólem,
Jak ojciec dzieci.
„Niech Bóg Stwórca sprawi,
Abyście zdrowi z zwycięstwem wrócili,
I Polskę chwałą na wieki okryli“.

To rzekłszy w licznem duchowieństwa gronie,
Ostatni jeszcze hołd daje Koronie,
Żegnając Pana, dobrą wróżbą cieszy
Sławy zwycięstwa. W końcu z księżmi spieszy
Aż poza miasto, zkąd wojsko pomyka
Coraz to chyżej... wreszcie z ócz mu znika.

Biskup drżąc stoi, krzyż podnosi w dłoni
I błogosławi. Wojsko niknąc, śpiewa
Podniosłym głosem. Biskup uchem goni
Każdy ton pieśni, a drżąc łzy wylewa,
Gdy głos go dojdzie:
O Bogarodzico!
Przeczysta Panno! Niebiosów Kotwico!

Pieśń coraz cichnie ... i już jej nie słychać.
On stoi z krzyżem, zda się nie oddychać...
Duch jego z wojskiem.
„Ojcze nasz kochany,
Czas już powracać“. Szepnął zapłakany
Dziekan katedry.
Biskup podniósł głowę
I w głos zawołał:
„Chroń królewską głowę
Od złej przygody, błaga Cię w pokorze
Robak tej ziemi, Ciebie, Wielki Boże!“

V.

ZDOBYCIE GRODÓW.

Ciągnie Bolesław wprost przez Chełmską ziemię
Na gród Wołyński, i zuchwałe plemię
Rokoszan tępi i niszczy dokoła
Krwawemi łuny i miasta i sioła.
Grabi dobytek i między rycerzy
Dzieli wspaniale. Uraganem bieży,
Morzem wezbranem: śmierć, zniszczenie niesie.
Naród się korzy i do ziemi gnie się
Żebrząc litości.
Jak wicher przybywa
I gród Wołyński do poddania wzywa.
Leży obozem... Czeka odpowiedzi...
Nie chcą?... a zatem, jak przypadł, tak siedzi,
Ani się ruszy.
I mijają doby...
Płyną miesiące. I liczniejsze groby
Sypie zaraza w oblężonym grodzie;
Ludzie się wiją i konają w głodzie.
Bolko spokojnie leży pod murami.
I idą posły na klęczkach z prośbami:

„Daruj nam życie, wybacz nasze złości!
Naród już wysechł do skóry i kości,
Pada jak muchy z głodu i zarazy.
O, wybacz Panie złości i urazy.

My się na łaskę niełaskę zdajemy,
I do stóp twoich kornie się ścielemy".

„I trzebaż było czekać aż tej chwili,
W której się naród już ze śmiercią sili? —
Gani łaskawie Król zdjęty litością —
Serca nie macie nad własną ludnością!
Ja wróg, mówicie, a łza drży mi krwawa..
Gnębić tak naród nie mieliście prawa!
Idźcie, uczynię... uczynię co mogę.
Szczędzić was będę, lecz zdacie załogę
I broń w me ręce. Niechaj wraz ruszają
Z żywnością wozy i niechaj rozdają
Chleb wygłodniałym".
Rzekł i skłonił głową.
Posłowie Króla poruszeni mową,
Padłszy mu do nóg kolana całują,
I świętą wierność do grobu ślubują.

Ruszają w miasto z pożywieniem wozy,
A Król z pośpiechem zwija swe obozy
I ciągnie na gród Grzegorza, książęcia
Włodomirskiego. Grzegórz przedsięwzięcia
Ubiega jego i posły z prośbami
Śle doń w te słowa:
„Z ludem, że zamkami
Na łaskę waszą miłościwy Panie,
Kniaź się wam zdaje, zanosząc wołanie,
Prośby pokorne, byś nie niszczył roli,
Zagród nie palił, nie zwiększał złej doli
Ludu biednego. Kniaź twoim lennnikiem
Jak był, zostaje. Kniaź twym niewolnikiem
Nazwać się pragnie, i błaga w pokorze:

Wstrzymaj, o Panie, krwawych ogni morze
Od ziemi mojej".
„Niech da zakładnika,
Że szczerze myśli, niech da niewolnika...
Przyjmę układy, ja chętny do zgody.
Pominę ziemię i pominę grody...
Niechaj mi stawi".
Wojna zawieszona.
Wracają posły do grodu Grzegorza.
Słucha ich książe... słuchając do łona
Ciśnie swe dłonie.
„Chyba łaska Boża
Wesprze mię w doli".
Rzekł, konia dosiada
I w obóz jedzie.
„Bóg, co światem włada,
Widzi me serce miłościwy Panie,
I słyszy szczere duszy mej wylanie:
Łaknę pokoju, Panem cię swym głoszę,
Lecz o opiekę nad ludem cię proszę.
Chroń mój lud biedny... ja sam w zakład staję,
Sam ci się Królu w ręce twe oddaję".

I książe Grzegórz odpiął miecz od boku,
I złożył u stóp Króla, Pana swego.
Bolesławowi łza zadrżała w oku,
Podniósł Grzegorza kornie klęczącego,
A przyciskając go do swego łona
Zawołał rzewnie:
„Jakążby Korona
Siłą ożyła, by jak ty Grzegorzu
Do serca swego naród przycisnęła!?
O! wtedy szczęsna, jak na cichym morzu

Żeglarz z swą łódką w port by zawinęła!
Oto miecz książe... to godło wolności,
A pocałunek... to znak mej miłości.
I ja lud kocham, a kocham go książe...
Miłość narodu serca nasze wiąże".

Rzekłszy, Grzegorza w usta pocałował,
Ugościł sercem, hojnie obdarował.
I minął ziemie Wołyńskie z daleka,
I wprost na Kijów, w samo serce Rusi,
Ciągnie z pośpiechem i chwili nie zwleka.
Wojsko darami, lub groźbami musi
Do wytrwałości. Ciągnie dniem i nocą,
Pragnie wziąść Kijów głodem lub przemocą.

VI.

BITWA.

Na nieprzejrzanych równinach Kijowa,
Dokoła miasta legł Bolko obozem.
Strzeże rokoszan, pilnuje, by głowa
Nie uszła z miasta. I gdyby powrozem,
Twardymi węzły i ręce i nogi
Skrępował miastu, rzucił go bezwładnym
Głazem o ziemię.
Poobsadzał drogi
Wiernem rycerstwem, i ruchem układnym

Wszelaką żywność Rusinom płynącą
Odcina w drodze, i w obóz zabiera...
Miasto już z głodu powoli wymiera.
Bolesław z coraz więcej zwrastającą
Uwagą czuwa sam nad oblężeniem:
Objeżdża straże i we dnie i w nocy,
Daje rozkazy, i własnem ramieniem,
Gdzie tylko jego wzywają pomocy
Niesie obronę.
Na twardym tapczanie
Śpi z bronią w ręku, broń ciśnie znużony
Tak, jak on żuraw na straży stawiony
Z kamieniem w dłoni, co gdy ledwie stanie
Na obu stopach budzi się strwożony,
Że zaspał czujność! i kamień podnosi,
I ciśnie w dłoni, i wzdłuż okiem śledzi,
I słucha wiatru czyli nie przynosi
Wieści o wrogu.
Tak Król nie posiedzi
Na jednem miejscu, lecz o każdej dobie
Wszędzie go pełno. Śpiąc, zda się, rozkazy
W obóz rozsyła, albo ręce obie
Z mieczem podnosi i śmiertelne razy
Na karkach wrogów krwią i trupem znaczy,
A wszędzie na ład i porządek baczy.
Wojsko przywykłe do onej karności,
Rozkazy Króla wypełnia w cichości,
W mrugnieniu oka, w locie błyskawicy
Pierw, nim zabłyśnie myśl w jego źrenicy.
Karność surowa nałogiem się staje.
Do boju wojsko, jak jeden mąż staje,
Walczy z zaparciem i z pogardą życia,
Wypiera wroga z okopów ukrycia.

Rusini szczęścia codziennie próbują,
Lecz każdą razą krwi braci żałują
Darmo przelanej, i z wstydem uchodzą
Przed wojskiem Polan, bo toż Króla wodzą
W bój prowadzone gromi ich prawicą,
Piorunem razi, ślepi błyskawicą
I trupem ściele.
Z murów wyzywają
Rusini Króla. Butnie się stawiają,
Grożąc pięściami. Wojsko niecierpliwie
Czeka rozkazu.
„Niech mielą językiem,
A, niechaj mielą zanim swe jadliwe
Wypną ozory, i zanim się z łykiem
Naszem poznają. Niechaj sobie mielą,
Na nich się skrupi. Jak sobie pościelą,
Tak się i wyspią.“ Łagodzi starszyzna.

Tymczasem coraz powiększa się blizna
Dzikiej rozpaczy i głodu i moru
W zamkniętem mieście. Nie ma już i dworu,
Nie ma i chaty, w którejby co rano
Z głodu pomarłych braci nie grzebano.
I jęk się wznosi, rozpacz targa włosy,
Coraz groźniejsze biją ludu głosy:

„Poddać się! poddać, lub... krwią do zwycięstwa!...
Jeszcze Rusinom nie zabrakło męztwa!...
Gromem uderzyć!!“
Krzyk, wrzask, pisk, świstanie
Naraz się w mieście dokoła rozległo.
Bramy rozbito i jedno wołanie:

Bij! morduj!!... jękło. Całe miasto biegło
Z nożami, z kosy, z widłami i z młoty...
„Bij! zabij!!... morduj!!!
Świsnęły kamienie
W szeregi polskie.
Gnają przed namioty...
„Zginąć, to zginąć! lecz ratujmy mienie
Ziemi ojczystej!“ Uraganem pędzą,
Gromią piorunem. Krzyk, wrzask, gdyby w piekle
„Zginąć, to zginąć, a nie walczyć z nędzą
Głodu i moru. Raz uderzyć wściekle...
Paść, lub zwyciężyć!“
I jak lwy zażarte
Walą Rusini na szeregi zwarte
Króla polskiego.
Oko w oko stają,
Pierś na pierś pada... za łby się chwytają,
Drą pazurami, pod gardła się duszą,
Ściśnieniem piersi kości łamią, kruszą.

Miecz na miecz pada... sto iskier się sypie...
Młot o młot bije i o pancerz rypie,
Jak kowal w kuźni. Dźwięk mieczów z jękami
Młotów mięsza się i grzmi piorunami!
Miecze się wznoszą tak szybko, gwałtownie,
Jak błyskawice, lub, jak żaru głownie
Wiatrem pędzone, miotają iskrami,
Tak one świecą błyskawic wężami
Po zbrojach, hełmach, stalowych pancerzach,
Po mieczach, dzidach, żelaznych orężach.

Naraz się w jedną czarną masę zbili...
Broń odrzucili... skoczyli ku sobie,

I zda się głazem w ziemię się zaryli,
I skamienieli.
Cisza, gdyby w grobie...
I tchu nie złapie... Cichy brzęk komara
Słychać zdaleka po szerokiej niwie...

Naraz ryk jeden, jak dziś znana para,
Prąc na bok kotła targa go straszliwie,
Tak buchnął jękiem! Naprzód się stoczyli
I pole czarne trupami pokryli
Sinemi, z oczmi na wierzch wylazłemi,
Serca krwi ciepłej jeszcze drgającemi.

I przez sekundę, jedno mgnienie oka
Tak głucha cisza, że szelest potoka
Słychać z daleka jak o kamyk trąca...
Lecz nagle, jako woda kłębem wrząca,
Ukrop spieniony buchli dzikim rykiem,
I obie masy z przeraźliwym krzykiem
Padły na siebie ponownie z młotami,
I poraz wtóry duszą się dłoniami.

Wpili się w siebie stanąwszy kamieniem,
Nie mogąc ruszyć z zażarcia ramieniem.
Zęby do ciała tak wbili głęboko,
Że na wierzch czoła z krwią wytrysło oko,
Szczęka skostniała w dzikiej zajadłości,
Ząb zapuściwszy aż do szpiku kości
W mięsiwo wroga. Tak się wpletli nogą,
Ręką i piersią, że i drgnąć nie mogą.
Wiją się jak wąż olbrzymi bez końca,
Który się w walce tak wznosi wysoko,

Że ciałem swoim kryje promień słońca...
A, jak daleko padnie grozy oko,
Nie zajrzy głowy, nie rozezna człeka!

To jedna masa burzy się i wścieka,
Dyszy zjadliwie, walczy z własnem życiem
I głosi rany przeraźliwem wyciem.
Raz się do góry wzdyma i grubieje,
Zda się, że pęknie, morze krwi wyleje...
Raz znowu z sykiem, jak wąż długą szyję
Het w pole rzuca, jak potwór się wije
I śmierci drogę trupami oznacza.
To znowu naraz w jeden kłęb się stacza,
Wstrząsa się, pieni, toczy krew zsiniałą
I ryczy klątwą. Wyje piersią całą...
Odrzuca rannych, pazurem z nich ciało
Drze krwawą szponą, bo się w niej zażarło
Mięsiwo wroga tak, że go z swej pięści
Wydrzeć nie może.
Nareszcie na części
Pękła i skacze masa krwią zalana,
Jakoby żmija siekierą zrąbana

Szerokie miejsce naraz się rozwarło...
Ostrze na ostrze iskrami natarło.
Rycząc, rzucają z klątwą oszczepami,
Walą się po łbach ciężkimi młotami.

Ranionę konie z grzywami do góry
Na oślep gnają na walczące kupy,
Kopią kopytem, drą czaszki ze skóry,
Tratują rannych, rozbijają trupy.
Świst kopyt, rżenie i parskanie koni,

Szczęk żelaz, mieczy, przekleństwa walczących,
Głuchy jęk rannych grozą w duszy dzwoni,
A młotem bije w serca konających.

Tu wpół pod żebra ujął Rusin wroga
Dusi go cisnąc, Naprężona noga,
By z spiżu była, tak krwią mu zczerniała
Że sine żyły z za skóry wylała.
Stoją na miejscu, by posąg walczących
Gladyatorów. Do piersi gorących
Cisną się wzajem... Uściskiem się duszą,
Skonają razem, a z miejsca nie ruszą,
Nie drgną powieką. Ręce zakostniały
I jak obręcze w piersiach się zassały.
Trzaskają kości... krew tryska oczyma...
Lecz puścić niechce, jak ujął, tak ima...
Cisną się wzajem do wzdętego łona...
I wróg na wrogu dogorywa, kona...
I już trup trupa w swem objęciu trzyma,
Zdala się zdaje, że brat brata ima.
Zwisnęły głowy, lecz żelazna noga
Nie drgnęła z miejsca w ostatecznym skonie,
Stoją, jak stali, wróg przyciska wroga...
Stoją, jak stali na czarnym zagonie.

Tam koń na konia padł piersią zakutą
W żelazną blachę, odskoczył i dębem
Stanął do góry, stanął z taką butą
Na wprost rywala z wytrzeszczonym zębem,
Że ten się uląkł, i na tylnich nogach
Osiadł na chwilę i zrzucił rycerza
Trupem zsiniałym... i już w lot na drogach
Stanął rozstajnych... Spojrzał... zwraca... zmierza
Wprost na rywala i zębami zdziera

Jeźdzca zwycięzcy, ciska nim o ziemię,
I z dumą patrzy jak w jękach umiera,
Jak się mu noga zaplątała w strzemię,
Jak swą ostrogą do krwi rani konia,
Jak koń już z trupem na szerokie błonia
Pędzi szalony, by piekielna burza,
Jak za nim krwawa lśni skrzepła kałuża!
Rumak zwycięzca podniósł łeb do góry
Zarżał i pognał prosto w miasta mury.

Tu koń nad trupem stoi pana swego,
Kryje go piersią, a ogień nozdrżami
Pryska, parskając i krwawi każdego,
Kopie i gryzie i targa zębami,
Gdy się przybliżyć waży do zmarłego.

Tam znowu rycerz zjadliwego wroga
Objął kolanem. Okręcona noga
O goleń nogi jego przeciwnika,
Łamiąc kość z trzaskiem powala na ziemię.
Padają oba. Rozpacz z śmiercią dzika
Klnie duszę jego: A zjadliwe plemię!
Ranny z wściekłości wbił zęby w Rusina
I skonał na wierzch wywaliwszy ślepie.
Rusin klnąc z bólu: Przeklęta gadzina!...
Chce trupa zrzucić... daremnie się trzepie,
Zżyma i szczękę pazurem rozdziera...
Nie może... wspomniał... już w dłoni siekiera...
Tnie nią oburącz... wpół głowę rozwala,
I z trupią szczęką, ciepłą krwią broczącą
Wpada w tłum walki, i już się powala
Z najbliższym wrogiem na ziemię kipiącą
Samą krwią ludzką, walcząc, kona z bólu!

I znów się w jeden krwawy kłębek zwili,
Toczą się, brzęcząc, jako pszczoły w ulu,
Trupy zsiniałe rzucają co chwili,
Jak strzałą z procy.
Kłębek raz się toczy,
To znowu skacze, by piłka do góry
I krwią zsiniałą i bryzga i broczy,
Jakoby mięso obdarte ze skóry.

Coraz się chyżej toczą po zagonie
Ryczące przekleństwem... i już, już po stronie
Mężnych Rusinów zwycięstwo i chwała...
Gdy wtem Bolesław w środek skacze ciała
Spienionej masy, mieczem śmierci błyska,
I wkoło siebie krwi strugami pryska!
Padają trupy, jak pod sierpem zboże
I już wzdłuż krzepnie czarne, sine morze
Z samej krwi ruskiej.
Z rykiem się cofnęli
Rusini z pola, i z trwogą pierzchnęli
W okopy miasta. Bolko miecz skrwawiony
Otarł w płaszcz własny, i kazał zagony
Z trupów oczyścić, by je grzebać z chwałą.

Więc wybierano groby przez noc całą,

VII.

NA POBOJOWISKU.

Jeczcze śpi słońce, a z murów Kijowa
Bieży lud z jękiem na pobojowisko.
Jęk tak okropny, że własnego słowa
Słyszeć nie można. I już tuż, już blisko,
Już są na polu gdzie ranni i trupy
Leżą pospołu.
Starcy i dziewczęta,
Dzieci, wyrostki rozrzucają kupy
Ciał ludzkich, rycząc.
Matki niemowlęta
Obok ciał zmarłych bezwiednie rzuciły,
Szukając mężów.
Dzieci krzyczą, wrzeszczą,
Nogami kopią, głową z całej siły
Biją o ziemię... Serca co was pieszczą
Szukają ojców, więc myśli nie mają
Cisnąć was dzisiaj do łona drżącego.
Krzyczcie i płaczcie, ile wam sił dają
Łzy, gniew i rozpacz!
„Na Boga żywego!
Zabierzcie dzieci... na rękach czołgają
Między trupami, krwią ojców się broczą!“
Krzyczą rycerze.
Krzyku nikt nie słucha,
Wszech woła, jęczy. Gromadą się tłoczą,
Ryczą i wyją.

„Jedyna otucha!
Syn mój jedyny!“
Jękła u zwłok syna
Zgrzybiała matka, i na ziemię padła
Z siniałym trupem.
Tu młoda dziewczyna
Zaledwie: Tato! — krzykła, jak śmierć zbladła...
Jękła rozpaczą i z nóg się zsunęła,
I już swą główką na piersiach się wspiera
Ojca drogiego. Padając, ujęła
Ręką włos kruczy... ręka się roztwiera...
Wiatr włos unosi i skostniałe zwłoki
Ojca osłania.
„Mężu, Janiu! Janie...
O mówże, przemów! bo jak Bóg wysoki,
Tak oszaleję!“
„O, on już nie wstanie —
Jęknął tuż przy niej ojciec siwowłosy —
Chodź, chodź do dzieci“.
„O, to być nie może!
On żyje! żyje“. Krzyczy w niebogłosy,
Ciało ze ziemi oburącz porywa
I silnie wstrząsa.
„Wiekuisty Boże...
Janie! mój Janie!“ woła ledwie żywa.

Starzec stał niemy, łzy mu tylko krwawe
Po zwiędłych licach wolno się toczyły.

„Chodź Marto — szepnął — Jana serce prawe
Już bić przestało... Zbierz ducha i siły“.

Tu jęczy ranny:

„O, kto w Boga wierzy
Niechaj sztyletem w serce me uderzy!
Ból pali, piecze! Wody... kroplę wody!
Na miłość Boską“.

Tu brat brata szuka...
Znalazł... nie poznał... zsiniałe jagody
Grozą go rażą. Na piersiach więc szuka
Danego znaku. Znalasł... krzyż drewniany...
„To on!“ wyszeptał i siadł obok trupa,
Ręce skrzyżował i wzrok obłąkany
Zatoczył wkoło.

U namiotu słupa
Polak swym płaszczem okrywa Rusina,
I łzy ociera. Rusin patrzy mile
I cicho jęczy.

„My jedna rodzina,
Ja brat twej matki... Już o własnej sile
Usiedzieć mogę. Opowiedz staremu
O matce swojej“.

„W zdrowiu zostawiłem
Ojca i matkę“.

„Rzeknij ojcu swemu,
Gdy do dom wrócisz, że nieraz marzyłem
O nim i siostrze. O, dawne to lata...
Błogie... szczęśliwe... Dziś rany okryty...
Za małą chwilę zejdę z tego świata...
Może dziś jeszcze“.

Jęk długo ukryty
Wydarł się z piersi Polaka młodego,
I przypadł do nóg i łzami starego
Zlewał kolana.

Tam między kaleki,

Ostatnie słowo pocieszenia niesie
Ksiądz młodziuteńki.
A tu owcarz leki
Choremu w usta to wlewając, gnie się,
To znowu kości złamane odrzyna,
I ranę wiąże.
„Gdzie moja dziecina!“
Tuż obok woła, matka nieszczęśliwa.

„Synek mój!... gdzie on?... tum go posadziła!“...

„Gdzie moja córka?!... może już nieżywa!
Gdzie jest na Boga! tu mi się bawiła,
Tu u zwłok ojca“...
Wtem głos szałem dziki
Rozdarł powietrze!
Jęki zaniemiały...
Zamarła rozpacz i pogłuchły krzyki...
Niewiasty ze łzą w oku skamieniały...
Ranni zadrżeli...
Krew!... krew!... i krew Panie!
Trupy!... i trupy!... i trupy dokoła!
Trupa potyka, gdzie człek stopą stanie!
Krew!... trupy... i krew!!“
Tak pędzi i woła
Ów ksiądz młodziutki, co w ostatniej chwili
Ciszył gasnących.
Zwaryował z bólu
I gna, wołając:
„Tu dziecina kwili...
A tu trup ojca!... Precz! uciekaj Królu!...
Krew cię zatopi!“

Głos jego w oddali
Cichnie i cichnie... i już go nie słychać...
Przepadł i zginął.
Przerażeni stali
Wszyscy nieszczęśni, a niezdolni dychać
Łzami świadczyli, jak ich serce drżące
Płacze boleścią.
Pierwsze się ocknęły
Z srogiego żalu ręce w grób niosące,
Bo wolnym ruchem po ciała pomknęły.
I jedno ciało szło za ciałem drugiem
Do snu wiecznego... szło szeregiem długim
W jeden dół ziemi, w grobowiec jedyny,
Gdzie obok dziada legły wnuki, syny.

VIII.

PODDANIE SIĘ KIJOWA.

Z głodu jak muchy w oblężonem mieście
Ludzie padają. Codziennie po dwieście
I więcej nawet w jeden dół wrzucają.
Nędza okrutna! Z głodu się wieszają!...
Wychudłe dzieci u nóg swej macierzy,
Co wpół nieżywa w obłąkaniu leży,
Wiją się z bólu i z głodu konają.
Ludzie już nawet i Boga nie znają!

Spożyli konie, koty i szczury,
Spożyli rzemień i zbutniałe skóry,
Na mąkę starli poczerniałe kości
I naraz połkli, bijąc się z chciwości.
Liście i korę i siano i plewy,
I słomę zjedli. Już nie ma rzemyka,
Już nie ma w mieście nawet i trzewika..
Zjedli do szczętu.
Ciche, głuche gniewy
W srogie przekleństwa, w groźby się podnoszą,
I Wszewołdowi śmierć i zemstę głoszą.
I głodne tłumy na wpół już szalone
Pędzą do grodu, jak fale spienione
I ryczą burzą:
„Śmierć, śmierć Wszewołdow!
Wydać go na śmierć, jak zdrajcę Królowi,
Niech go powiesi!“
I bramy pękają,
I zgraje z krzykiem Wszewołda szukają...
Daremnie jednak... uszedł pokryjomu
Wśród ciemnej nocy nie rzekłszy nikomu,
Że gród porzuca. Z gniewu i z wściekłości
Niszczą komnaty i w dzikiej radości
Na cztery rogi ogień podkładają
I w jasny płomień jak owce skakają.

Po domach gniją trupy posiniałe,
Już nikt nie grzebie. Dzień trzeci jak całe
Miasto okruchy strawy nie widziało.
„Poddać się, poddać!“ wreszcie zajęczało.

I idą posły do Króla polskiego
Z białą chorągwią, idą do mężnego

Z zgiętemi plecy, idą żebrać Pana,
I upadają kornie na kolana.

„Łaski żebrzemy! Łaski i litości!
Klniemy cię Panie na Chrobrego kości!
Litość miej z nami! Naród z głodu ginie,
Wymrze nim jeszcze jedna doba minie...
Litość miej nad nim!“
„Żywo mi!... a z duszy,
Niechaj już stolnik z chlebem w miasto ruszy...
Niechaj już jedzie! niech naród ratuje...
Łaskę wam daję, miłość obiecuję...
Jednak Wszewołda! tu! stawić mi macie...
Tu! tu! w me ręce oddać mi go macie!“

„Panie, a Królu! Wszewołd uszedł w nocy...
Gdzie? jako? kiedy? przy czyjej pomocy?
Słowa nie wiemy“...
„Hejno... obozowy! —
Krzyknął Król gromko w połowie ich mowy —
Hejno mi, tu sam!“
„Miłościwy Panie“...

„A Wszewołd gdzie jest?! Niechaj już tu stanie!...
Uszedł dziś z miasta, straże go mieć muszą...
Tu mi go przywiedź, jeźli uszedł z duszą.
Tu mi go zaraz!... albo ty zań głową
Własną odpowiesz!“... I załknął się mową.

„Panie, a Królu! schwycono dziś zbiega —
Rzekł obozowy — mówiono, że szpiega“...

„Tu mi go stawić, a rzec podstolemu

Niechaj już jedzie nieść pomoc biednemu
Ludowi w mieście, lecz niechaj mu strawę
Skąpo podaje, lud bowiem znędzniały
Rzucić się może, jak wilk wygłodniały
Na chleb, dar Boży, jak wilk na obławę...
A zwłaszcza ona najbiedniejsza warstwa,
Chciwie się rzuci i zginie z obżarstwa.
Niech więc podstoli z miarą i powoli
Żywność podaje... aż nędza przeboli. —
Rzekł i do posłów zwrócił się łaskawie:
Zaraz mych ludzi do miasta wyprawię,
By nieśli pomoc i zmarłych grzebali.
Czynię, abyście łaskę mą poznali,
Abyście serce raz uczcili Piasta...
Pojutrze ruszę sam z wojskiem do miasta...
Szczędzić was będę, obelgi zapomnę..
Rzekłem, a słowo królewskie niezłomne".

Właśnie Rusini namiot opuszczaja,
Gdy straże zbiega przed Króla stawiają.
Ledwie że idzie, tak opadł na ciele,
Głowa mu zwisła. Do kolan się ściele
Królowi Panu... Łykiem powiązany.

„Ciężkom, o Panie! za bunt ukarany.
Rusini sami godzą na me życie.
Uszedłem w nocy, pokryjomu, skrycie.
Litości!... Łaski!... Królu miłościwy,
Żebrze cię nędzarz z głodu ledwie żywy!"

Rusini w więźniu Wszewołda poznają,
A grożąc pięścmi... „Śmierć mu! śmierć!" wołają.

Bolesław spojrzał... i krzyki skonały
W kipiących gardłach.
„Wszewołdzie zuchwały —
Zagrzmiał Król groźnie — dziś żebrzesz litości,
Gdyś wczoraj jeszcze ojca swego kości
Tyrał zuchwale, depcząc jego wolę...
Śmiercią się karze takową swawolę!
Jednak... twym sędzią nie chcę być Wszewołdzie...
Uchodź nieszczęsny! lecz niechaj na grodzie
Kijowskiej ziemi noga twa nie stanie,
Bo cię nie minie hańby rusztowanie!
Rozwiązać więźnia, za obóz przeprawić,
I tam go własnej woli pozostawić...
I łasce Boga".
Wszewołd na kolana
Upadł wzruszony z wdzięcznością i z łzami,
A jakby dziecko zawodzi, szlochając
Składa podzięki.
„Pojutrze mię zrana
Z kluczami miasta czekać przed bramami".
Rzekł Król, Rusinów łaskawie żegnając.

IX.

GŁÓD.

Z rozkazu Króla, Bolesława Piasta,
Na licznych wozach podstoli do miasta
Wiezie chleb Boży, wiezie mięso, ciasto,
Kaszę, pszenicę.
Zgłodniali przed miasto
Falą wylegli... doczekać nie mogą.
Silniejsi zatem na czworakach drogą
Suną się naprzód, lecz na środku drogi
Giną, by muchy, wyciągając nogi
W straszliwym skonie.
Wozy się zbliżają.
Zgłodniali ręce ku nim wyciągają,
Nie mogąc powstać... Lecz! naraz, by z procy
Strzała rzucona, wytrzyszczywszy oczy
Pędzą ku wozom z przeraźliwem wyciem...
Na twarz padają... rozstają się z życiem.

Nieszczęsne trupy wojsko, chleb wiozące
Zwolna usuwa, a tłumy łaknące
Ciszy, łagodzi.
Jednak w samej bramie
Lud go rozbija, szereg wozów łamie,
I nie pytając na wozy wskakuje,
Przy czem się na śmierć bezwzględnie tratuje.
Trupy na ziemi, po trupach do góry

Pną się na wozy, rozrywają sznury,
I grabią żywność.
Próżno wojsko woła,
Hamując chciwość, ile tylko zdoła:

„Powoli, pomału! Chleba jest dostatkiem,
Wszyscy go jeszcze zadość dostaniecie,
Tylko powoli... Król się i ostatkiem
Z wami podzieli. Z głodu nie pomrzecie“.

Wjechali w miasto, lecz oko nie wierzy!...
Ludzie... szkielety! w obdartej odzieży,
Wpół nadzy prawie z obłąkanym wzrokiem
Gnają kupami... ani postąp krokiem
Przeciw tej fali... Wyją uraganem,
Tłoczą się, krwawią.
Napróżno dziś panem
Wojsku się głosić między głodnym ludem,
Bo głód króluje. Darmo walczyć z trudem.
Wszelki więc żołnierz na uboczu staje
I chętnie wozy na łup zgrai zdaje.
Czulszy jednakże z wstrętem wzrok odwraca,
Widząc, jak z jękiem wpółtrup się obraca,
Gryząc pięść własną, lub jak obłąkane,
Głodne niewiasty, tocząc białą pianę
Z ust wykrzywionych z nożem się rzucają
I konającym łydki odrzynają
I z nich krew chlepcą.
„Szakały!... a, huże! —
Straszy je wojsko — na wozy! a nuże!
Tam chleb i mięso“.
Więc na wóz wpadają,
I ze zdobyczą, rycząc, uciekają.

Tu wyschły starzec drży jako osika...
Porwał bochenek, kawałami łyka,
Oczy zapadłe zarzewiem mu błyszczą,
Jak w nocy ślepie kocie lub tygrysie,
Bowiem się zdaje, że iskrami pryszczą.
Ręce mu drgają. Co kawał ugryzie,
To za zanadrze chowa chleb trwożliwie,
Łokciem go ciśnie, i zęby wyszczenia.
A tak pożera łakomo i chciwie,
Że aż pachołki plują z obrzydzenia.
Połknął nareszcie ostatni kęs chleba...
Zachwiał się, upadł, jakby gromem nieba
Dotknięty został, bo jak wąż się wije,
Jęczy i stęka, kurczy się i bije
Pięścią po brzuchu, z głowy włosy targa
A pianę toczy posiniała warga,
Zwija się w kłębek i ciśnie do łona
Głowę i nogi i straszliwie kona.

A tam się bracia o kęs mięsa biją...
I już się w własnej krwi tarzają, wiją...
Ojciec podłazi... mięsiwo porywa...
Syn za nim pędzi, sromotnie wyzywa,
Dogania ojca, powala z wściekłością
I targa mięso z wilczą żarłocznością.

Tu o garść mąki walczy aże pięciu,
Raniąc się na śmierć.
A tu niemowlęciu
Matka pcha w gardło chleb suchy jak kości,
I dziecko kona... macierz w dzikiej złości
Rzuca chleb z klątwą, kopie go nogami
I kona z głodu nad dziecka zwłokami.

Tam obłąkany pędzi z głową trupią,
Wychudłe zgraje tłumami się kupią
Około niego. On jej opowiada...
Czaszkę podnosi, na ziemi przysiada,
Drże ją zębami, skrwawiony ząb szczeni
I pyta zgraji:
„Co, chcecie pieczeni?
Sam przyprawiłem! Bardzo smaczna była...
Kto?!... córka moja... Wczoraj jeszcze żyła.
Sam ją zjeść chciałem, lecz sąsiedzi moi
Poczuli pieczeń, i już ćma się roi
Tych głodnych hyjen, nożami naciera,
I już mą pieczeń z pod ognia wydziera!
Macie hyjeny!... Ogryzajcie kości!“ —
I rzucił czaszką, jednak żar chciwości
Pędzi go za nią, podnosi ją, siada
I drże zębami, i znów opowiada:
Rączki składała, a ja nóż chwyciłem
I w samo serce tak trafnie rzuciłem,
Że już na ogniu pieczeń obracałem
Przyczem tak szczerze, rozkosznie się śmiałem,
Że te hyjeny głos mój usłyszały,
I mnie mą pieczeń z pod ognia wyrwały!
Chcecie pieczeni? Oto trupia głowa...
Macie ją, żryjcie! ojciec jej nie chowa!“

I rzucił głową. Głowa zadudniała
Po gruzach ziemi i grozą powiała...
On skoczył za nią, porwał ją do ręki
I biegł, wołając:
„Ja nie mam pieczeni!
Główkę mi tylko hyjeny rzuciły!
Gryzę ją chciwie, bo w smaku się mieni...

Gnałem hyjeny, lecz opadły siły.
Chcecie pieczeni?!“ — Woła i ucieka,
A szałem grozy drży jego powieka.

Nadchodzi wreszcie nowy tren z żywnością,
I chleb rozdaje jednak z oględnością
Po małej kromce, rozdaje bez końca,
Rozdaje jeszcze po zachodzie słońca.

I głód się śmierzy, ból cichnie powoli...
Król niesie pomoc w rozpaczliwej doli.

X.

WJAZD.

Złotym promieniem słońce się rozśmiało,
I morze ciepła na ziemię wylało.
Śmieje się światu, śmieje się Bolkowi,
Śmieje się ludom, śmieje obozowi.
W obozie wojska w pochód się sposobią,
Hełmy, pancerze dębim liściem zdobią.
Stoją chorągwie, buńczuki w paradzie,
I już się szereg za szeregiem kładzie
Na nieprzejrzanych równinach Kijowa.

Wtem zatrąbiono... i cisza dokoła

Taka zaległa, że królewskie słowa
Słychać z dal w dale.
„Honor na nas woła,
Abyśmy głodem wynędzniałych braci
Pieczą okryli, pomoc nieśli w doli,
By ból się ciszył pomału, powoli...
Abyśmy sercem, które się bogaci
Wzajem miłością, do się przytulili
Brata Rusina, abyśmy się mile,
Jak najprzychylniej z ludem obchodzili,
Abyśmy wszystko co jest w naszej sile
Z chęcią spełniali, abyśmy się wżyli
W potrzeby miasta. Zgodą i miłością
Zyskamy serca.
A co rzekłem, żądam,
Tego wymagam... liczę zaś z pewnością
Na karność waszą. Spełnienia wyglądam
Rozkazów moich. Posłusznych nagrodzę,
Zuchwałych wieszać rozkażę po drodze!...
Dać znak pochodu".
Wojska się rozwiły.
Chorągwie przodem wspaniale ruszyły,
Przed nimi z trąby czterdziestu trębaczy
Rozgłosem miedzi chwałę Króla znaczy.
Jadą na białych, ognistych rumakach,
Jadą w laurowych zwycięstwa oznakach.
Dalej za nimi, poza chorągwiami
Zwarci rycerze z czarnemi tarczami,
W piórach na hełmie, a dalej z gołymi
Mieczami w górę ostrzem wzniesionymi
Żelazną nogą idą mieczownicy,
W pochodzie sypiąc ognie błyskawicy.
A tuż za nimi z strzały i z łukami

Lekka piechota, dalej z toporami,
Z oszczepy, z młoty szereg nieprzejrzany
Ziemian walecznych ciągnie wzdłuż wylany.
Za nimi konno kniazie i hetmany,
Przed każdym buńczuk niosą pachołkowie.
Jadą tak dumnie, jak ziemi królowie,
Lśniąc zdala zbroją pozłocistą w oczy.
Za nimi szereg młodością ochoczy,
Sami giermkowie.
I już widać Króla
Na białym koniu. Przed nim złota kula,
I miecz dziadowski, berło i korona
Przez dostojników państwa jest niesiona.
On sam w kołpaku, w purpurę odziany,
Nad nim baldachim gwiazdami zasiany
Ośmiu rycerzy trzyma rozpostarty.
Wokoło jadą honorowe warty
Z gołemi mieczmi. Tuż za Bolesławem
Jedzie kniaź Zasław z swem do grodu prawem,
Jedzie w koronie. A za nim giermkowie,
A dalej znowu hetmani, wodzowie,
Chorągwie, znaki i rycerskie roty
Konno i pieszo. W końcu hufiec złoty
Straży królewskiej wjazd wojska zamyka.
Z dala z daleka tabor się pomyka
Podwód i służby.
Przed bramami miasta
Kornie Rusini czekają na Piasta,
Króla, a Pana. Z głowy odkrytemi
Chylą się nisko, aż do samej ziemi.
Bolesław Śmiały, idąc w ślady dziada,
Z Chrobrego mieczem pod bramę przypada

I tnie w niej szczerby... odgłos trąb się wznosi
I Króla, Panem Ruskiej ziemi głosi.

Wjechali w miasto. Bolesław na tronie
Zasiadł już z jabłkiem, z berłem i w koronie.
Rusini pokłon i dary przynoszą,
O ich przyjęcie na kolanach proszą.
Król je przyjmuje, jednak wraz rycerzom,
Jako i w boju zasłużonym mężom
Szczodrą swą ręką, jak ojciec rozdaje,
A zarząd ziemi Zasławowi zdaje,
Mówiąc z naciskiem:

„To pan wasz i książe!
Pan życia, śmierci! Jemu was oddaję,
I jego słuchać przysięgą was wiążę.
Ja tu sam! ja sam z prawa woli staję
Ojca zmarłego, księcia tej tu ziemi,
I rozkazuję ustami własnemi:
Zasław tu rządzić i panować będzie,
Zasław po ojcu na grodzie osiędzie.
Tak testamentem kazał książe ojciec,
Tak ja kazuję!... a biada onemu...
Biada!... powiadam... coby pragnął dociec
Gwiewu mojego... bo wraz zuchwałemu
Łeb uciąć każę!

Sam Bóg Swatosława
Śmiercią ukarał, że wbrew woli ojca
Hardo się stawił.

A ta wojna krwawa
Z bólem, z ranami i z nędzą bez końca
Nie jestże pomstą Boga Wieczystego?!
Nie jestże karą Boga zgniewanego,

Żeście zdeptali księcia ojca wolę?
Ja was potargam! z łbów wydrę swawolę,
Gdy się raz jeszcze przeciw mnie zerwiecie!
Gniew mój was, jako marne muchy zgniecie!

Dziś poraz drugi Zasława prowadzę
Na ziemię ojców!... a jak ojciec radzę:
Nie igrać z ogniem, bo wraz płomień buchnie,
I śmierć was pożre... a gniew mój was zdmuchnie,
Gniew mój!... gniew Pana!...
Wy poznacie Piasta!...
Spalić i zorać każę wasze miasta,
I jak wilk nory, tak szukać będziecie
Leżyska na noc po szerokim świecie...

Czołem tu! czołem, tu! do pana swego...
Ja już chcę widzieć, tu! do nóg Zasława!
Tu, tu! i plackiem z rozkazu mojego...
Już, już!... chcę widzieć! Tu do nóg Zasława! —
Ryknął, posiniał i zatrząsł się z gniewu —
Stopy całować, ściskać panu swemu,
By się ochronić od łez, krwi rozlewu...
Już do nóg padać kniaziowi prawemu".

I padli drżący, wybladli Rusini
Do nóg Zasława. Bolesław źrenicą
Na wskróś przeszywa, pachołków z nich czyni,
Karki im zgina żelazną prawicą.
Chylą się do nóg, chylą się w pokorze...
Bolesław ryczy, jak wzburzone morze:

„Zasław wam panem! a ja... jego Panem! —
A wpiwszy palec w księcia rudą brodę

Trząsł jego głową. — Ja ze żadnym stanem
W przeżadną w świecie nie zachodzę zgodę...
Każę!... już spełnić!... Wszech więc słuchać musi..
Tę tu!.. tę głowę... A kto się pokusi
Rękę swą podnieść na moją koronę
Tego bez względu sądem ścigać będę
I śmiercią skarzę! Śmierci mu oponę
Kat mój zawiąże.

Sam na trupie siędę
I poćwiartuję!... Wilkom rzucę kości,
Bo okrom Boga, ja nie znam wyższości
Żadnej na ziemi!

To słowa i wola
Moja królewska, a od niej i dola
Wasza zawisła. Baczcież jej, jak oka!
Baczcie, że karność jest wolności cnota,
Baczcie! by czarna nie spadła powłoka
I źrenic waszych nie zżarła ślepota."

Rzekł i wstał z tronu... W kotły uderzono...
On księcia własną przyodział oponą.

XI.

UPADEK.

Drżeli Rusini, drżąc w norach się kryli,
Po wjeździe Króla. Sami z sobą żyli
Zdala od wojska. Z chaty żaden głowy
Ani wychylił. W żadne się rozmowy
Wdawać nie chcieli.
„Lepiej nie żartować!
Wściekły — mówili — życia nam pilnować,
Bo łeb spaść może. Nie wywołuj wilka,
Gdy on śpi w lesie".
Tak trwało dni kilka.
Wojsko królewskie cicho i spokojnie
Wypoczywało po trudach i wojnie,
Rusinów mile, z szlachetną godnością
Witało sercem, braterską miłością.
Na każdym kroku niosło pomoc, radę,
A nawet nieraz obopólną zwadę
Na rzecz Rusinów chętnie rozstrzygało.
Słowem rzec można, braterskiem się stało.

Rusini zwolna serca nabierali,
I Polan w chatę codzień zapraszali
Na wieczorynki, a goszcząc łaskawie
Pieśnią chęcili ku wspólnej zabawie.

Bolko, Król hojny, złoto sypie z skrzyni...
Prosi Rusinów, proszą go Rusini.

On się im śmieje, oni cisną nogi
Króla zwycięzcy.
I tak Bolko srogi
Ojcem się staje, kocha Rusi dzieci,
I okiem swojem, by gwiazdą im świeci,
Więc lgną do niego. On im spokój rodzi,
On ich zbłąkanych z prawym panem godzi.

Ościenne Państwa, że mężnem ramieniem
Bolko Ruś zajął, ślą z powinszowaniem
Posłów do niego, prawiąc:
Twoja sława
Nader nas cieszy; a żeś Izasława
Na tron powrócił niech ci płynie chwała
Z ust wszelkich książąt; niech dłoń twoja śmiała
Gnie karki wrogom.
Na tron powrócony
Książę Izasław dworem otoczony
Posłów przyjmuje, z każdym się rozprawia
Zanim go Panu pokornie przedstawia.
Król posła słucha rozparty na tronie,
Izasław obok w książęcej koronie
Stoi, by sługa, a nie pan Kijowa!
W prochu się chyli kniazia Rusi głowa...
Tu Król panuje!... a on nizki sługa
Pana swojego. Kniazia broda długa,
Siwa z cierpienia gnie się aż do ziemi
Przed wzrokiem Króla. Kniaź usty drżącemi
Nie wie co szepta, gdy jest zapytany.

„To być nie może! A, na Boże rany! —
Krzyczą dworzanie — by się Król rozpierał
Na naszym tronie, z rąk berło wydzierał

Prawemu panu! By kniaź był mu sługą!
Gdy tak Król myśli, to krew czarną smugą
Rusią popłynie... Lecz nim... trzeba radzić,
Jakby go z wojskiem z Rusi wyprowadzić".

I uradzono: Z pęt dźwigniem Ojczyznę,
Lecz trzeba Panu podawać truciznę
Wolno, powoli z grzechu opiłości,
A wojsko jego odwieść od karności.

Codzień więc uczty na grodzie w Kijowie,
Bo niby codzień z obcych stron posłowie
Ze życzeniami do stóp Króla spieszą
I jego męstwem, by się swoim cieszą.
Bolko biesiady codziennie zaszczyca,
Lecz, gdy już widzi, że Rusinów lica
Coraz czerwieńsze, to zamek opuszcza
I w obóz spieszy, bo podpita tłuszcza
Razi go wstrętem. Darmo sypie złoto
Kniaź na biesiady. Król nie pójdzie w błoto
Sromu opilstwa.

Kasa Izasława
Co dzień próżniejsza, a droga do prawa
Berła mu jego z każdym dniem to dalej,
Bowiem choć Król go prosi grzecznie: Nalej
Kubek mi wina, to tak nań spoziera,
Że ten ze strachu, prawie już umiera.
I znów Rusini:

Całe greckie morze
Wina wypili! a Król zda się łoże
Ściele na zimę. Wojsko w cnej karności,
Jak żyło, żyje... ni cienia gnuśności...

Król go w żelaznej trzyma swej prawicy,
Bowiem nie zdjęło nawet z głów przyłbicy,
Lecz czuwa pilnie. Co czynić? już chleba
W kraju zabraknie!.., Ha!... użyć potrzeba
Niewiast do rady, one złemu zradzą,
I Króla z hańbą, z Rusi wyprowadzą.

I uradzili... Lecz, grzech mówić o tem,
Jak własną cnotę obryzgali błotem!

Z rady więc niewiast miód ponownie płynie,
A w miodzie pamięć obowiązków ginie.
Bawią się wspólnie... igrają jak morze,
Nocne zabawy wita słońce Boże.
Rusinki słodko do Króla się śmieją,..
Śmieją się jeszcze, gdy już zorze dnieją.
I Król się śmieje i tonie w gnuśności,
A w szale zbytku, w rozwiązłej miłości,
Szarga blask tronu.
Bóg dał mu zwycięstwo,
Jednakże nad nim straszliwe przekleństwo
Dawniejszych grzechów, za które pokuty
Nie odbył jeszcze, jak zmora ciężyło
I złością swoją kusiło dopóty,
Dopóki ciała sromem nie zwalczyło.

Upadł Król Wielki!
Tarza się w gnuśności,
Kazi się w srogiej, w zgniłej rozwiązłości,
Żyje w rozpuście. Całemi nocami
Głośno ucztuje z Kijanów żonami...
W końcu popada w Rusinów nałogi...

I pośmiewiskiem staje się Król srogi
U samych wrogów.
Upadli rycerze,
Wszelki z nich bowiem z Króla przykład bierze,
Kazi się, gnijąc.
Wojsko rozpasane
Codziennie do snu kładzie się pijane,
We dnie się tarza po ulicach w błocie...
Zabyło nawet o swych ojców cnocie:
O posłuszeństwie. Niczem mu rozkazy...
Już się nie lęka i Bożej obrazy.
Bachanalije i nocne uciechy,
Grzeszne rozmowy, wyuzdane śmiechy,
Tajne miłostki z Rusinów żonami
Jego zabawą, jego rozkoszami.

Hulają zatem i żyją w sromocie,
Nie myślą nawet do chat o powrocie.
Dzień za dniem płynie, rozwiązłość się szerzy,
I już w rozpuście całe wojsko leży;
Ginie na ciele i ginie na duszy;
Na głos rozsądku zamyka swe uszy.
Król coraz innej szuka miłośnicy...
Zdjął hełm i pancerz, i chodzi w spódnicy.
Szydzą Rusini:
„Jemu wraz z babami
Len prząść w komorze, a nie rządzić nami.
Patrzcie na niego, toczy się pijany...
Patrzcie purpurą wyciera wzdłuż ściany.
I on... Król Polski?!... On!... Bolesław Śmiały,
Który nam groził, jak śmierć posiniały!?
Patrzcieno, patrzcie... za nim zawierucha
Zszargana pędzi, szepta mu do ucha...

Śmieją się razem.... Fuj!... kopnąłbym nogą...
Dziw! że się oczy na nich patrzeć mogą!
Patrzcieno, patrzcie! jak się Polski Książe,
On mocarz wielki z brudem, z kałem wiąże.“

Król choć pijany stał jednak za blisko,
I słyszał mowę, zatrząsł się z wściekłości.
Owe publiczne z niego pośmiewisko
Krwią go raziło, poczerniał ze złości...
Poznał mówiących, ledwie z gniewu dyszy...
Zatoczył oczy i zgrzytnął zębami,
Jednakże udał, że śmiechów nie słyszy,
I poszedł na gród, i zatrzasł wrotami.
Lecz, w tejże chwili zbrojni wyruszyli,
I lud stojący kołem otoczyli,
I na gród pędzą.
Bolko stał spieniony.

„Wyrwać ozory, bo szydzą z korony!
I na pal wsadzić wszystkich do jednego!
Mówił... nie mówił... winny, czy nie winny!
Ja was nauczę jak czcić Pana swego!
Rozpocznę z wami dziś porządek inny...
Ja was nauczę!... Wyrywać ozory!

I wyrywano aż do późnej pory
Z gardła ozory, na pale wbijano...
I noc minęła i zadniało rano,
A jeszcze mordów i mąk nie skończono,
Jeszcze się w jękach podnosiło łono,
Oddając ducha, jeszcze ku wszem grozie
Nowe ofiary ciągli na powrozie.

XII.

HAŃBA ZIEMIANEK.

Pod onczas właśnie, gdy Bolko panował,
Wojując w Rusi, w Czechach był piastował
Berło po bracie, Królu Spitygniewie,
Wratysław Drugi. Spitygniewa lwicą
Dziką, krwiożerczą, a piekieł prawicą
Czesi przezwali, że rozżarty w gniewie
Własną swą matkę wygnał z czeskiej ziemi,
Że Niemką była... Ten! co dążył z tronu
Upartą myślą, z zamiary dumnymi,
By Czechy z Polską węzłem aż do zgonu
Połączyć w jedno Królestwo Słowiańskie,
I sam nim władać, by pobiwszy Piasta,
Sam trząść tronami, sam oznaki pańskie
Przywdziać na siebie, ukorzywszy miasta.
W myśl tę więc jego, Wratysław podmowy
Śle do ziem polskich, kusi białogłowy,
Prawiąc przez sługi:

„Daremnie czekacie
Na mężów waszych, darmo wyglądacie...
Oni w Kijowie w zbytkach i w wsawoli
Żyją wszetecznie, nie myślą o roli,
Nie chcą powrócić. Tam się osiedlili,
I z Rusinkami już się pożenili.
Tam już zostaną, Darmo więdniejecie,

Szkoda młodości. W płaczu siwiejecie...
Szkoda was, szkoda".
Tak kusząc powoli,
Cieszyli niby w opłakanej doli
Chytrą podmową:
„Połączcie się z nami,
Ukójcie płacze, zostańcie żonami
Wiernych sług waszych. Raz się tylko żyje,
Raz się z kielicha rozkosz ziemską pije".

Na każdym dworze Czesi wysiadują,
I wiarołomstwo chytrze podszeptują:

„Nie bądźcie głupie, wolno im, wolno wam,
Bierzcie pachołków".
„Wierności dochowam —
Prawi im wierna, cnotliwa ziemianka —
Mężowi memu".
„Ja nie oddam wianka —
Mówi im dziewczę — nigdy pachołkowi,
Ani też służyć nie będę Czechowi,
Nigdy, jako żyw!"
Lecz chłopstwo zuchwałe
Podmową Czechów gwałtem napastuje,
I zmusza siłą.
I już dwory całe
Leżą w plugastwie.
Biskup nawołuje,
Wzywa do żalu, o litości prawi
Boga żywego! Woła, że się wstawi
Sam za grzesznicę do Chrystusa Pana,
Któremu z Ojca wszechmoc jest nadana.

Przytacza nawet ze łzami krwawymi
Przykład z biblii słowy niniejszymi:

„Ukamienować każ jawnogrzesznicę —
Wołają żydzi, przywodząc grzesznicę
Przed Zbawiciela — tak pismo kazuje,
A Tyś nasz Rabi!“
„Kto z grzesznym obcuje
Winien jest kary“. — Rzekł Chrystus.
„Na siebie
Samego, rzekłeś. Mamy Cię w potrzebie...
Ty bowiem z grzesznym jedną łyżką jadasz,
Za jednym stołem z celnikami siadasz.“
Chytrze odparli Faryzeuszowie,
Pragnący Boga zgubić w własnem słowie.

„Nie trzeba zdrowym, lecz chorym lekarza.
Chcę miłosierdzia, a nie krwi ołtarza.
Przybyłem grzesznych, ale nie cnotliwych
Wzywać ku Bogu“.
„Na mowę złośliwych
Nie zważaj Panie. Wszak Faryzeusze,
Jako wiesz Rabi, zatracili duszę...
Jednakże mówisz: by ukamienować?“...

„Tak jest!... tak mówię... Tak, ukamienować!...
Wszelako kamień ten niech pierwszy rzuci,
Który się z Pismem i Bogiem nie kłóci,
Który jest czystym“.
Rzekłszy, począł laską
Kreślić po piasku.
„O Panie! Twą łaską
Zbawioną jestem. Nikt za próg swej chaty

Wpuścić mię nie chciał — całując kraj szaty,
Woła grzesznica.
„A, gdzie są sędziowie?“

„Uszli cichaczem po Twem Mistrzu słowie“.

„Idź więc i ty, idź — rzekł Chrystus łagodnie —
I żyj cnotliwie, z prawem Bożem zgodnie“.

Bóg się zlitował nad nędzną grzesznicą,
Wydarł ją śmierci! Bóg sam swą prawicą,
Rzeknę, osłonił, bo zajrzał w jej oku
Żałość za grzechy, bo w jej tęsknym wzroku
Zoczył poprawę.
Lecz ona grzesznica
Swobodną była... jakżeż wy swe lica,
Wy matki, żony do Boga wzniesiecie?
Wy! co hańbicie swego serca dziecię,
Zacny ród męża?!
O, panie rodzone!
Patrzcie na ludy nawet nieochrzczone...
One się wzajem w małżeństwie szanują,
A nigdy grzechom obcym nie hołdują...
A wy! w Chrystusie?“
I wraz piorunuje,
I żadnej, żadnej słowa nie daruje.

„Ty wiarołomna! i ty jeszcze żywa?
Ty jeszcze ciśniesz plugastwo do łona,
Hańbę swych dzieci!... Precz jawnogrzesznico,
Bo cię uderzę klątwy błyskawicą!
Precz z wrót kościoła!“
Daremnie się sroży,

Daremnie karci... Rozpusta się mnoży...
Upadły panie. Cieszą się z sługami,
Przestają nawet z chytrymi Czechami...
Do łona cisną cnoty napastników,
Mienie wydają w ręce rozpustników.

XIII.

WEZWANIE.

W wszystkich obozach hulanka, swawola,
Śpiewy gorszące.
Opłakana dola
Mężnych Rusinów zmienia się w wesele,
Bo Rusin, Polak dwójduch w jednem ciele
Do wszego grzechu.
W jedynym obozie,
W jednym, jedynym smutno o tej grozie
Rozpusty prawią.
To dwór z Zębocina,
Dwór Mikołaja.
Mikołaj w zadumie.
Strapienie pańskie cały dwór rozumie.
Cisza więc w izbach, wszech na palcach chodzi
I smętnym okiem po Zębockim wodzi.
On to spostrzega, więc cierpi i boli,

Jednak się cieszy, że w sprosnej swawoli
Jego dworzanie udziału nie biorą,
I Bogu za to dziękuje z pokorą.
Całą rozrywką o wieczornej dobie
Są dla nich baśnie o zaklętym grobie,
Cudownym zamku, lub pieśni o cnocie,
Lub słowo wzgardy o chełpliwem złocie.
Legendy prawi raz jeden, raz drugi
Całemu gronu, w pośród których sługi
Najniższe nawet ciekawie słuchają,
I mowcy dzięki źrenicą składają.
I dziś zagadnął rycerz siwy, stary:

„Mości Zębocki świerzbi mię nad miary
Język... chcę mówić... Wolno ojcze drogi?“...

„Proszę was mile“.
„Ścielem się do nogi...
Prosimy wszyscy“.
Więc się uciszono.
On począł mówić... im dech zaparł łono.

Szedł Piotr święty z Niebios Panem. —

„Chryste Panie jak nad ranem
Nic nie jadłem, iść nie mogę,
Ledwo że i wlekę nogę
Za nogą. Panie mój wspomóż,
Lub się tutaj w lesie połóż
Niech wypocznę“.
„Patrzno Piotrze...
Tam się świeci, tam ci otrze
Litościwa ręka oczy

Za nim północ nas zaskoczy.
Dla nauki przecież można
Coś wycierpieć. Myśl bezbożna
Ciągle marzyć o tym brzuchu,
O obżarstwie, a o duchu
Ani rusz!“
„Panie, o Panie!
Wszak o ciele mieć staranie
Sam polecasz w swej nauce.
Panie, Panie, że się smucę,
Że mi marny głód dokucza..
Toć i wybacz. Człek poucza
I na deszczu i na słońcu
Ludy zbożne, a że wkońcu
I tchu braknie — nie dziwota?
Bo gdy Ciebie ta robota
Morzy Panie tak młodego, —
Cóż dopiero mnie starego?“

„Mój Piotrusiu przyspiesz kroku,
A to światło miej na oku,
Może cię tam czem uraczą,
Gdy głodnego cię zobaczą
Jednak Piotrze... wspomnij na mnie...
Zostaw trochę z daru dla mnie,
Bo mnie także głód dopieka“.

„Panie, Panie! chłostasz człeka!
Matko nasza litościwa!
Matko, Matko sprawiedliwa!
Jabym na Cię Panie drogi
Miał zapomnieć? bodejm nogi
Powlec nie mógł!“

„Idź więc Piotrze;
Powiedz w chacie: Kto łzy otrze
Biedakowi... Kto wspomoże...
Temu ścielą w niebie łoże
Święci Pańscy Aniołowie“.

Po tem Pana Boga słowie
Krok przyspieszył Piotr nasz święty;
Lecz że domek był zamknięty,
A więc puka, chleba prosi,
I o głodzie z płaczem głosi.
Wyszła z chaty jak świat stara
Drżącym krokiem matka Sara,
Wyszła, pyta czego żąda,
I do koła go ogląda.
Piotr się skurczył, jęczy z głodu,
I zębami dzwoni z chłodu.

„Saro, Saro daj mi chleba...
Bóg użyczy za to nieba,
Bo on wyrzekł: kto wspomoże...
Temu ścielą w niebie łoże
Aniołowie“.
„Sara głową
Ze łzą kiwła i połową
Gotowego podpłomyka
Piotra raczy, Piotr go wsmyka
W płaszcza sakwy i dziękuje
I zbawienie obiecuje
Za podaną kromkę chleba.

„Nie ma za co, to dar Nieba,
Którym hojnie Bóg wspaniały

Nas obdarza, którym trzeba
Wesprzyć zawsze ubogiego,
A nakarmić zgłodniałego.
Dobry człeku idźcie z Bogiem".

Rzekła słodko i za progiem
Chaty znikła. Piotr zgłodniały
Aże drży z radości cały,
Placek ręką w sakwie maca,
I do Pana swego wraca.

„Panie! Panie, umrzem z głodu,
Owi ludzie serce z lodu
W piersiach mają. Nic nie dali,
Jeszcze przy tem obiecali
Psami wyszczuć. A jam głodny
Ledwo idę. O nie godny
Ludu Boga!"
„Cicho stary,
Ci nie znają jeszcze wiary;
Wybaczyć im zatem trzeba,
A i prosić Stwórcy Nieba,
Ojca Mego, by ich ducha
Ogarnęła święta skrucha,
By ich serca ogniem cnoty,
Miłością zabiły".
„O Ty,
Zbawicielu! Ty wybaczasz,
Ty miłością ich otaczasz!"
Rzeknął, idąc za Chrystusem
Piotr nasz Święty jednak z musem
Bowiem już był ugryzł placka
Pokryjomu.

Wtem znienacka
Chrystus go spytuje:
„Święty
Piotrze głodnyś?“
Zagadnięty
Wypluł placek prędko z gęby,
I cichutko rzekł przez zęby:
„Głodnym Panie!“
„Twe łzy otrze
Bóg, mój Ojciec w niebie Piotrze!
Bo ty znosisz dla mnie znoje,
Niewygody, niespokoje“.

Gdy tak Chrystus rozpowiada,
Piotr po cichu placek zjada,
Raczej gryzie i wypluwa,
I znów gryzie, i znów spluwa,
Bowiem właśnie w tejże chwili,
Gdy już połknąć chce chudaczek
Chrystus albo drogę myli,
I spytuje: Co ten znaczek
Na rozdrożu ma oznaczać?
Albo prawi, że rozpaczać
Grzechem ciężkim jest u Boga,
Że do nieba tylko droga
Miłosierdzia i miłości
Nas prowadzi. O radości
Nieba pyta nad zgubioną
Owcą świata nawróconą.
Na to wszystko Piotr zgłodniały,
Dając odpowiedzi, cały
Placek marnie gryzie i na
Ziemię spluwa.

„Nasza wina
Żeśmy głodni Piotrze drogi,
Żeśmy i strudzili nogi,
Boć nam było zanocować,
A nie po nocy wędrować“.

„Prawda, prawda Panie miły,
Ja styrałem całe siły“.

„Więc prześpijmy noc w tym lesie,
Zmówmy pacierz, on przeniesie
Nas do nieba i o głodzie
Zapomniemy, a o wschodzie
Jutro słońca w dalszą drogę
Wyruszymy. Dziś nie mogę“.

Po modlitwie kornej, cichej,
Na pościeli bardzo lichej,
Bo złożonej z samych prawie
Zwiędłych liści na murawie
Legli społem jak anieli,
I o głodzie zapomnieli.
I cichutko snem szczęśliwych,
Snem cnotliwych, sprawiedliwych
Wraz usnęli.
„Słońce wstało
Zbudź się Piotrze. Za nie mało
Dzień się zrobi, a nam droga“.
A Piotr na to:
„Moja noga
Chryste Panie bardzo boli.
Ja nie dojdę“.
„Według woli

Twojej Piotrze pragnę zrobić.
Czegóż żądasz?“
„Przysposobić
Słabe nogi w tak daleką
Jak dziś drogę. Wszak z kaleką
Podróż ciężka. Wróć się zatem;
Ja pomówię z moim bratem
Coś poradzi, a i ciało
Wiele głodu wycierpiało
Trza pokrzepić“.
„A więc wstajmy
I do domu powracajmy“.

Słońce zrazu tak nieśmiało
Przez konary się skradało,
Że zaledwie jeden promień
Drżący, jako błędny płomień
W wewnątrz lasu przepuściło,
I drożynę oświeciło.

I szedł Chrystus, za nim Święty
Postępował na pół zgięty
Piotr staruszek. Szli powoli.
Piotr rozmyślał o swej doli,
O tym placku podpłomyku,
I o dalszym stąd wyniku:
Że oszukał swego Boga,
Że stracona marnie droga,
Którą z trudem wraz odbyli.
I znów myślał: Gdyby byli
Tym się plackiem podzielili,
Byłby przecie nabrał siły,
I stałby się Bogu miły.

Gdy tak duma ó tej szkodzie
Ruszyło się w nim sumienie,
I łzy spadły mu po brodzie.

W tem czy mara? omamienie!
Stary zadrżał, bo na drodze,
A tuż, tuż! przy samej nodze
Placek leży. Przy nim drugi,
Dalej znowu: trzeci czwarty,
Piąty, szósty!
„To nie żarty
Chryste Panie!... to są czary".

„O nie Piotrze, tylko wiary
I miłości trza mieć więcej.
To są grzyby, ich tu więcej;
Tyś je posiał".
„Co?... ja Panie?!".

„Tak jest Piotrze. Wypluwanie
Podpłomyka, który ci to
Sara dała, jak przez sito
Grzyby one tu posiało,
Aby biednych nędzne ciało,
W nich posiłek znajdowało.
Prawakami będą zwane,
Bo w nich kłamstwo ukarane
Twe zostało. Święty Piotrze,
Nie jednemu grzyb ten otrze
Łzy boleści, bo nasyci.
Że się jednak kłamstwem brzydzi,
Bóg nasz Wielki, Ojciec w niebie,
Który wspiera nas w potrzebie,

Będziesz zatem ty co roku,
Miał wszech lasy na swem oku,
I zasiewał je grzybami
Nazwanemi „prawakami“.
Ni to kwiatu, ni nasienia
Nie dam grzybom, bo z ramienia
Mocy mojej tylko Ciebie
Upoważniam, byś w potrzebie
Głodu, nędzy lud ratował,
Nim się szczerze opiekował.
Siej więc Piotrze w święto swoje
Grzyby prawe, pomnąc znoje,
Któreś z głodu dziś wycierpiał,
Z tą nadmianą, byś nie ścierpiał,
Aby możne lasów pany
Zabraniali koić rany
Głodu, nędzy grzybem moim,
Którym posiał grzechem twoim“.

„Powiedziałeś prawdę... Źle się, źle się dzieje —
Rzeknął Zębocki. — Słońce tak się śmieje
Możnemu panu, jak i biedakowi...
Piotra nie sądźmy. On był Chrystusowi
Wierny w miłości... Teraz niech zaśpiewa
Który z pacholąt... Waść niech się nie gniewa,
Że rzekłem słowo“.
I wraz głos niewinny,
Głos rzewny, cichy, głos jeszcze dziecinny
Giermka młodego, który u stóp pana,
Siedząc wzniósł piosnkę, jak skowronek z rana:

„Ani mi tam: by tam było...
Byle się jakoś przeżyło,

Niech tam jedzą marcypany,
Mnie zaledwie chleb mi znany.
Aniby mi szło do głowy,
Że z łzą łykam żur jałowy,
Gdybym widział gdzie się ruszę
W prawdy cnocie zrosłe dusze.

Co mi tam — ot, by ot przecie,
Chociaż bieda za kark gniecie,
Raz choć winem rozgrzać czoło
I zaśpiewać pieśń wesoło:
Chodźcie do mnie przyjaciele
Ja się z wami dziś podzielę
Złotem, winem, dziadów cnotą,
Duszą, sercem i ochotą.

Co mi tam, byle ot by tam...
Ja się o to ani pytam
Kto tam kogo kiedy rodzi?
Lecz jako się z ludźmi godzi.
Czy nie chodzi mu ot: o to,
Że tam z kogoś kapie złoto,
Lecz, czy czci on onych ludzi,
Których serce: serce budzi.

Ani mi tam, by tam było,
Co się nawet i nie śniło,
Że mi sprawią dziś wesele
Drodzy sercu przyjaciele.
Bo i cóż mi? Że dziś piją
Zdrowie moje, laury wiją,
Kiedy jutro zedrą szatę,
Błotem znieważą mą chatę.

Nie żeby to, lecz by oto:
Zamiast kochać marne złoto,
Człek pokochał wielkość duszy,
Toby rzec mógł, że złe skruszy,
Że oczyści serce ludu
Z przywrzałego wiekiem brudu,
Że odgadnie myśl Boskości,
I podniesie pieśń wolności.

A co mi tam!... a co owo?
Że chce przebić ktoś mur głową,
Niechaj bije, o mur wali,
Lecz mej duszy niech nie kali.
Bo ja kocham Boże dzieci,
Słońce, które Polsce świeci,
W każdej trawce Boga witam...
Z resztą o nic się nie pytam".

Rycerze, pany słuchali w zadumie,
Ręce złożywszy. Każdy w swym rozumie
Badał i ważył dźwięczne pieśni słowa;
Tak dumającemu zwisła na pierś głowa.
Zębocki pierwszy przerwał ciszę słowem:

„Ładnie śpiewałeś. Wszech cię sercem zdrowem
Pojął, zrozumiał... Kocham Boże dzieci,
Kocham Cię Boże, że Twe słońce świeci
Ojczyźnie mojej. Wszech się trawki pytam
O wielkość Twoją... Wszech Cię trawce witam...

. . . . . .
. . . . . .

O, tęskno, tęskno za ojczystą chatką,
O, tęskno, tęskno za dziećmi, za matką!“

Wtem wpadł jak piorun, on kapłan nieboże,
Który w dniu bitwy, widząc krwawe łoże
Tysięcy braci uszedł obłąkany.
Wpadł i zawołał:
„A na Boże rany!
Polska w nierządzie!“

Obecni struchleli
I nawet mrugnąć powieką nie śmieli.
On stał z rękami w górę wzniesionemi,
Ciężko dychając piersiami wzdętemi.
Naraz wybuchnął przeraźliwym głosem,
Trzęsąc rozwianym, poszarpanym włosem:

Powracam z Krakowa...
Biednaż moja głowa!...

„Polska w nierządzie!... Wy tu gnuśniejecie
W zbytkach, w rozkoszach... wy serca nie macie!
Zabyliście Boga!
A Ojczyzna droga
Zapada i kona,
Albowiem do łona
Wasze córki, żony
Na hańbę korony,
Rój plugastwa cisną!
Grzechy ich zawisną
Na szali Boga!... Bóg oczy odwróci
Od domostw waszych, z zagród was wyrzuci!“

„Co on powiada? — pytano do koła —
Nikt nie rozumie".
„Bóg przezemnie woła:
Patrzcie, o pany,... gwiazdy, księżyc leci...
Słońce zagasło, już ziemi nie świeci,
I już noc czarna niebiosy zaległa,
A ziemia pękła i z osad wypadła,
Bo po niej kości
W trupiej nagości,
Z wściekłymi oczy,
Jak ogień smoczy
Z rozwartą dłonią
Za wami gonią,
I tłustą szczęką,
I zgniłą ręką
Przed sąd was Boga,
Jako ich wroga
Zapozywają!... Te skargi szkieletów
Ruszyły morza z odwiecznych odmętów;
I morza jękły,
Na poły pękły...
Ryczą przekleństwo
Na człowieczeństwo,
I falą groźną góry rozrywają,
I was na sądy Boga pozywają!

Ratujcie się dzieci!...
Słońce jeszcze świeci...
Jeszcze dzień do koła...
Jeszcze śmierć nie woła!
Zabyjcie już śmiechy,
Zmyjcie z duszy trąd!

Żałujcie za grzechy,
Bo się zbliża sąd!
Anioł w złotej szacie
Wznosi groźnie miecz!
Bóg na majestacie
Ciska słowo: precz!!
Trąd, trąd, trąd!
Sąd! sąd! sąd!!“

„Lecz za co?... za co? — z trwogą się pytają
Słuchacze wzrokiem — za co stanąć mają
Przed sądem Boga?“
„Dajcie spokój dzieci —
Szepnął Zębocki — chory szałem leci
Gdzie? oraz dokąd?... sam nie wie nieboże
Weźże go który i połóż na łoże,
Niechaj wypocznie. Choroba i nędza
Świeci mu z oczów“.
Okolono księdza,
Ciszając go słodko: Chodź, wypocznij bracie,
U nas tu jesteś, gdyby w własnej chacie.
Wtem wszedł służebny.
„Posłaniec z Krakowa...
Prawi, że nader pilna jego mowa,
Że od biskupa ma pismo zbyt ważne...
A prawdę mówi, bo lica poważne
Mowę stwierdzają“.
„Prosić go, na Boga! —
Woła Zębocki. — Wszak z Krakowa droga
Tu... do nas na Ruś, pewnie go strudziła...
O, proś go, proś go... O! to chwila miła
Słyszeć o swoich.“
Po niedługiej chwili

Wszedł smutno poseł i rzekł: Witam mili.
A potem dobył tajemnie ukryte
Pismo z za piersi w koszuli zaszyte
I Zębockiemu oddał w drżące dłonie,
I szepnął cicho: . . . . . .
„W grzechach kraj nasz tonie.
Stanko mię do was wysyła z prośbami
Byście radzili. Czesi pazurami
Szarpią Ojczyznę. Żony wasze... Boże!
Już pochłonęło czarne grzechu morze.
Wracajcie rychło ratować Ojczyznę,
Goić jej strasznie rozjątrzoną bliznę".

Pobladł Zębocki, lecz rzekł:
„Cicho dzieci!
Ni słowa o tem! Złe jak strzała leci.
Ja się naradzę, gdy pismo odczytam...
Cnotliwych mężów o radę zapytam.

XIV.

SPISEK.

Wratysław Drugi, on przebiegły książę,
Rozpustę Króla, by wodę na koła
Młyńskie upuszcza, buntu spisek wiąże,
I na ziemianów przez sługi swe woła:

„Zrzućcie despotę, tyrana wściekłego,
Co się poważył nawet święconego,
Bogu kapłana, kniazia Jaromira
Na mnie prowadzić, który i potyra
Wolą papieską!“
I spisek źreleje,
I w polskiem wojsku liczne zdrady sieje.
Przybyli Czesi stają buntu głową,
I podżegają chytrej żmii mową
Polskie rycerstwo:
„On was za łeb wodzi,
Gorzej, albowiem na cześć waszą godzi.
On tylko w chłopa, w chłopski zagon wierzy,
Bo sam się z kmiecia kołodzieja rodzi.
Zgania do Polski przeróżnych przybłędów,
Korzysta nawet i z chwilowych błędów
Człeka głupiego, złoto sypiąc z garści,
Aby go złapać jako wróbla w paści,
By łeb mu skręcić. On!... hojny?... o?... hojny!
Bo chce was podbić, ujarzmić bez wojny.
Tak, pachołkami, sługami będziecie,
On was, jak muchy, jak robaki zgniecie,
Bo sam chce rządzić i za łby was wodzić!
Sam chce być Panem i życia i śmierci.
A tak!... i będzie, gdy się pocznie rodzić
Z chłopa potomstwo. O! trzebaby w ćwierci
Korca pszenicy szukać wam takiego
Drugiego księcia, jako on chytrego.
On was umyślnie trzyma tu na Rusi,
I do pijaństwa i rozpusty kusi,
Abyście zgnili, by tam chłop dowoli
Co chciał zabierał ze szlacheckiej roli,
Byście zgnuśnieli, upadli na duszy,

Wtenczas on jednem, jednem słowem zgłuszy
Wasze szlachectwo. Równość wszelkich stanów
Chce zaprowadzić, chce zatracić panów!
Zniszczy was, zgubi. Wierna żona płacze
Tam, tam za wami, a on was tu gnębi
Wraz z Rusinami, serca wasze ziębi
Do waszych dzieci".
Tak to podżegacze
Mowy swe wiedli do polskich rycerzy:

„On waszą wolność łukiem śmierci mierzy!"

Słuchali pijąc, pijąc wyzywali
I gniewną pięścią zemstę wygrażali.
Tak chytrzy Czesi powoli, pomalu
Spisek szerzyli, chwaląc Wratysława.

„On z bratem swoim matczynemu ciału
Nie dał siąść w grodzie, by do ziemi prawa
Nie przywłaszczyła. Wygnał ją ze ziemi,
Wygnał ją na łeb pachołki własnymi.
A wasz?... przybłędów na grodzie osadza,
A każda włóka ohydnie was zdradza!
Runiecie jak kloc... Bolko Panem siędzie,
A jak wy chłopa, tak was smagać będzie."

I siedli Czesi, Polacy, Rusini...
I knują zdradę. Każdy Króla wini!

„Biada mu, biada! Wezwać Wratysława,
Niech nam panuje. Zrzucić Bolesława!"

Na tę to chwilę wysłańcy czekali
Kniazia Czeskiego.

„On już ród wasz kali.
Tam w grodach waszych służalcy z żonami
Za pan brat żyją... wiążą się ślubami...
Już was nie pomną. Pachołków pojmały,
Chłopstwu się śmiejąc, hańbią ród wasz cały!“

Wściekłość w obozie już i nie zna miary,
Nikt się już Króla, nikt już nawet kary
Nie lęka jego.
Uchodzą do domu
Jawnie, w dzień biały nie tając nikomu,
I za powrotem walczą z służalcami,
Którzy się bronią wspierani radami
Żon wiarołomnych.
Król uciekać musi
Ze wstydem, z hańbą z zwyciężonej Rusi.

Koniec księgi drugiej.